

NR 5-6 (76-77)  
maj-czerwiec  
2007

Bezpłatny dodatek:

płyta DVD z filmem

„Polskie Państwo Podziemne 1939–1945”

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ



## Czarne Juwenalia – powstanie SKS

**KOR – geneza**

**Solidarność Walcząca**

**Zima wasza, wiosna nasza!**

**Dwie teczki, dwa życiorysy – jedno życie esbeka...**

**Głodem weźmiemy komunę!**

**W mroku PRL**

**Śladami zbrodni**

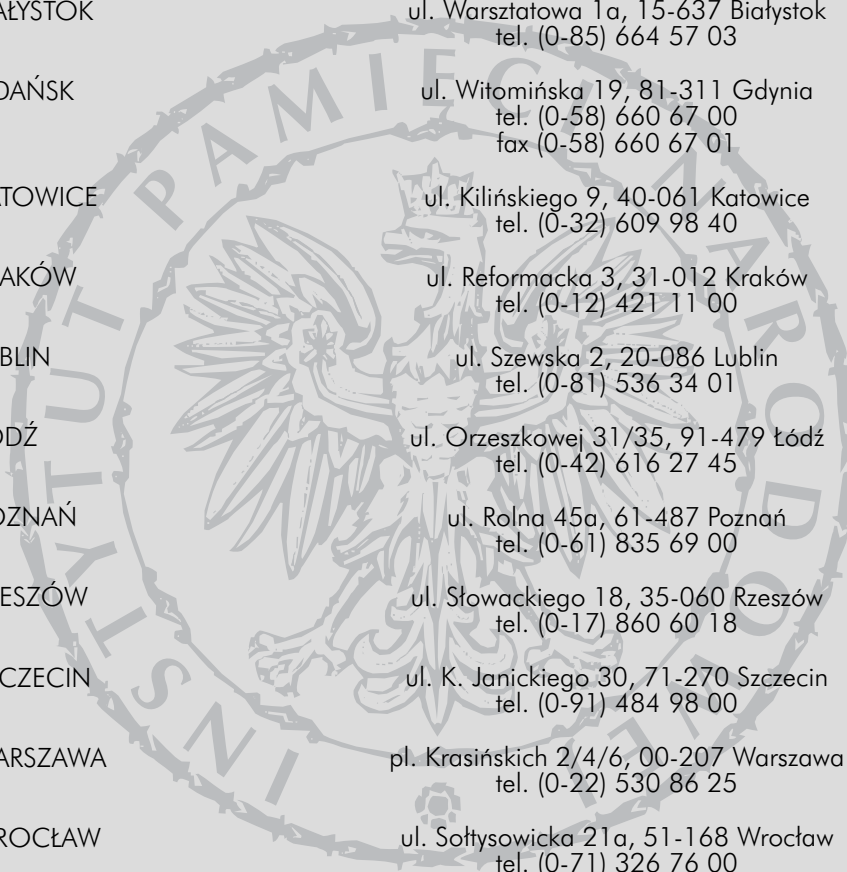
ISSN 1641-9561



numer indeksu 374431  
nakład 15000 egz.  
cena **7,50 zł** (w tym 0% VAT)

## ODDZIAŁY IPN

## ADRESY I TELEFONY



BIAŁYSTOK	ul. Warsztatowa 1a, 15-637 Białystok tel. (0-85) 664 57 03
GDAŃSK	ul. Witomińska 19, 81-311 Gdynia tel. (0-58) 660 67 00 fax (0-58) 660 67 01
KATOWICE	ul. Kilińskiego 9, 40-061 Katowice tel. (0-32) 609 98 40
KRAKÓW	ul. Reformacka 3, 31-012 Kraków tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	ul. Szewska 2, 20-086 Lublin tel. (0-81) 536 34 01
ŁÓDŹ	ul. Orzeszkowej 31/35, 91-479 Łódź tel. (0-42) 616 27 45
POZNAŃ	ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań tel. (0-61) 835 69 00
RZESZÓW	ul. Słowackiego 18, 35-060 Rzeszów tel. (0-17) 860 60 18
SZCZECIN	ul. K. Janickiego 30, 71-270 Szczecin tel. (0-91) 484 98 00
WARSZAWA	pl. Krasińskich 2/4/6, 00-207 Warszawa tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	ul. Sołtysowicka 21a, 51-168 Wrocław tel. (0-71) 326 76 00

### BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Kolegium: Jan Żaryn – przewodniczący,  
Łukasz Kamiński, Kazimierz Krajewski, Filip Musiał,  
Barbara Polak, Leszek Próchniak, Jan M. Ruman, Jacek Żurek

Redaguje zespół: Jan M. Ruman – redaktor naczelny (tel. 0-22 431-83-74), [jan.ruman@ipn.gov.pl](mailto:jan.ruman@ipn.gov.pl)  
Barbara Polak – zastępca redaktora naczelnego (tel. 0-22 431-83-75), [barbara.polak@ipn.gov.pl](mailto:barbara.polak@ipn.gov.pl)  
Jacek Żurek – sekretarz redakcji (tel. 0-22 431-83-55), [jacek.zurek@ipn.gov.pl](mailto:jacek.zurek@ipn.gov.pl)  
Piotr Życieński – fotograf (tel. 0-22 431-83-95), [piotr.zycienski@ipn.gov.pl](mailto:piotr.zycienski@ipn.gov.pl)  
sekretariat – Maria Wiśniewska (tel. 0-22 431-83-47), [maria.wisniewska@ipn.gov.pl](mailto:maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński; redakcja techniczna: Andrzej Broniak;  
tamanie: Wojciech Czaplicki, Tomasz Ginter; korekta: Anna Kaniewska

Adres redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa  
Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)

Druk: „2 K” s.c., ul. Płocka 35/43, 93-134 Łódź

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 5-6 (76-77)

MAJ-CZERWIEC

2007

SPIS TREŚCI

■ <b>WYDARZENIA</b> .....	2
■ <b>ROZMOWY BIULETYNU</b>	
<b>Poszliśmy własną drogą</b>	
<b>Z Andrzejem Czumą rozmawia Wojciech Muszyński</b> .....	9
■ <b>KOMENTARZE HISTORYCZNE</b>	
Grzegorz Waligóra – <b>KOR – geneza</b> .....	14
Jarosław Szarek – <b>Nim powstał SKS</b> .....	24
Łukasz Kamiński – <b>Solidarność Walcząca</b> .....	36
Piotr Serwadczak – <b>Kulisy kontrwywiadu „Solidarności Walczącej”</b> ....	44
Tadeusz Ruzikowski – <b>Zima wasza, wiosna nasza!</b> .....	57
Waldemar Handke – <b>Dwie teczki, dwa życiorysy</b>	
<b>- jedno życie esbeka...</b> .....	62
Ryszard Mozgol – <b>Głodem weźmiemy komunę!</b> .....	67
Joanna Żelazko – <b>Zasadzka</b> .....	77
Marek Klecel – <b>W mroku PRL</b> .....	80
Paweł Piotrowski – <b>Specyfika pracy operacyjnej wywiadu PRL</b> .....	88
Andrzej Poczobut – <b>Anatol Radziwonik „Olech”</b>	
<b>- zapomniany bohater Polski Walczącej</b> .....	94
Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski – <b>„Śladami zbrodni”</b> .....	101
■ <b>ABC KOMUNIZMU W POLSCE</b>	
Janina Hera – <b>Narodziny cenzury</b> .....	111
■ <b>RELACJE I WSPOMNIENIA</b>	
Piotr Szubarczyk – <b>„Ze Lwowa, bracie, ze Lwowa”...</b>	
<b>Tadeusz Szczudłowski</b>	
<b>- bohater gdańskiego środowiska ROPCiO</b> .....	119
Sławomir Cenckiewicz – <b>„Źle urodzony”. Pamięci Henryka Lenarciaka</b>	
<b>(1933-2006)</b> .....	124
Marzena Kozak – <b>Wyrok - kara śmierci</b> .....	133
Aleksandra Żaryn – <b>Podnieść życie z ruin</b> .....	139
<b>Noty o autorach</b> .....	147

Na okładce: str. I – Czarny marsz, Kraków 15 V 1977 r.; str. IV uroczyste obchody 30. rocznicy powstania SKS w Krakowie



## WYDARZENIA **TWARZE BEZPIEKI NA GÓRNYM ŚLĄSKU - 30 III**

Tego dnia na Rynku w Katowicach nastąpiło otwarcie wystawy „Twarze katowickiej bezpieki”, przygotowanej przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN. Podczas otwarcia rozdawano folder, zawierający krótki rys historyczny aparatu bezpieczeństwa oraz biogramy funkcjonariuszy śląskiego UB/SB. Po zwiedzeniu ekspozycji uczestnicy udali się do pobliskiego kina „Światowid”, gdzie odbyła się projekcja filmu dokumentalnego „Bezpieka – pretorianie komunizmu”. W uroczystości, nad którą patronat prasowy sprawował „Dziennik Zachodni”, wzięli udział między innymi przedstawiciele władz miejskich, wojewódzkich, Kuratorium Oświaty, stowarzyszeń „Pokolenie” i „Pokolenie NZS”, Chorągwi Śląskiej ZHP, Społecznego Komitetu Pamięci Górników Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek” w Katowicach poległych 16 grudnia 1981 roku, NSZZ „S”, środowisk represjonowanych i internowanych w okresie PRL oraz świata mediów. Ponure, ubeckie twarze można było oglądać do 19 kwietnia.



Wystawę tymczasem, po półtora tygodnia ekspozycji, zdewastowali w nocy pijani wandale. Była to już druga dewastacja. Tydzień wcześniej ktoś uszkodził jedną tablicę. Wszystkie tworzące wystawę tablice zdjęto. Pozostały puste stojaki...

Nieoczekiwany obrót zaś przybrała majowa ekspozycja „Twarze toruńskiej bezpieki”. Okazało się, że wśród prezentowanych zdjęć esbeków znajduje się oblicze... szefa ochroniarzy pilnujących wystawy IPN. Niewielka fotografia zawisła przy wejściu, wśród innych esbeckich portretów.

## IPN NA TARGACH KATOLICKICH – 13 IV



Za nami już XIII Targi Wydawców Katolickich, tradycyjnie w parafii OO. Marianów na warszawskich Stegnach. Po raz pierwszy w targach wziął udział Instytut Pamięi Narodowej, prezentując swą ofertę wydawniczą na stoisku nr 67. W ramach imprez towarzyszących w kaplicy bł. Jerzego Matulewicza odbyła się dyskusja na temat „Kościół w PRL – blaski i cienie”. W spotkaniu wziął udział dyrektor Biura Edukacji Publicznej Jan Żaryn oraz Bartłomiej Noszczak, naczelnik katowickiego biura Adam Dziurok, z Krakowa Marek Lasota i ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Dyskusję poprowadził doradca prezesa IPN Antoni Dudek.



## TWARZE WARSZAWSKIEJ BEZPIEKI – 27 IV



„Politycznie bardzo wyrobiony, pewny, oddany i mocno związany z Partią”, „z pracy wywiązuje się dostatecznie, musi być pod ciągłą kontrolą, wtedy wykonuje zadania mu powierzone”. Tego dnia warszawiacy mogli ujrzyć, w gmachu dawnego Komitetu Centralnego PZPR, zdjęcia i charakterystyki 56 funkcjonariuszy stołecznego aparatu bezpieczeństwa. Wystawę przygotowali pracownicy stołecznego Biura Edukacji Publicznej. Przybyłych gości powitał prezes IPN Janusz Kurtyka. W wystąpieniu podkreślił, że dawny budynek KC jest najważniejszym miejscem do zaprezentowania wybranych sylwetek funkcjonariuszy, jest to bowiem miejsce szczególne, gdzie – jak powiedział – „biło serce partii rządzącej Polską i sprawującej władzę nad aparatem bezpieczeństwa”. Tomasz Łabuszewski, naczelnik oddziałowego Biura, poinformował, że ekspozycja warszawska jest częścią ogólnopolskiego projektu, w ramach którego prezentowane są sylwetki pracowników bezpieki lat 1944–1989 z całego kraju.

Zaznaczył, że wystawa ukazuje nie tylko przebieg karier funkcjonariuszy, ale także pochodzenie społeczne, wykształcenie oraz ich przynależność partyjną. Ekspozycja jest zapowiedzią publikacji, w której opisane zostaną sylwetki osób pełniących kierownicze stanowiska w warszawskich strukturach aparatu bezpieczeństwa. Otwarcie spotkało się z bardzo dużym zainteresowaniem, przybyło bowiem kilkuset gości. Plansze, na których zamieszczono zdjęcia, charakterystyki osobowe oraz przebieg służby oglądali zarówno ludzie młodzi (uczniowie, studenci), jak i kombatanci z Armii Krajowej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowych Sił Zbrojnych oraz ich rodziny. Imprezę zakończyła projekcja filmu „Bezpieka – pretorianie komunizmu”. Wystawę odwiedzać można do końca czerwca tr. w godzinach 6.00–18.00. Czekamy na kolejną ekspozycję, zapowiedzianą na peerelowskie święto 22 lipca – tym razem ujrzymy pracowników centrali Urzędu Bezpieczeństwa.





## 30 LAT TEMU...

W Krakowie odbyły się uroczystości upamiętniające 30. rocznicę śmierci Stanisława Pyjasa, studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego zaangażowanego w działalność opozycyjną i zamordowanego z inspiracji Służby Bezpieczeństwa, a także – powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, najważniejszego środowiska opozycyjnego Krakowa końca lat siedemdziesiątych.

7 maja z udziałem prezesa IPN otwarto w Rynku Głównym w Krakowie wystawę „Studencki Komitet Solidarności. Bunt w imperium”, po czym zebrani przeszli na ulicę Szewską 7, gdzie złożyli kwiaty w miejscu śmierci Stanisława Pyjasa. Wieczorem w „Klubie pod Jaszczurami” odbyła się dyskusja z założycielami krakowskiego SKS-u.

18 maja w budynku polonistyki UJ przy ul. Gołębiej 20 odsłonięto tablicę poświęconą Stanisławowi Pyjasowi. Tego dnia w Uniwersytecie Jagiellońskim zorganizowano także debatę „Czarne juwenalia. Początek buntu”. Historycy i uczestnicy wydarzeń sprzed trzydziestu lat dyskutowali na temat miejsca SKS-u na tle opozycji lat siedemdziesiątych, działaniach SB wobec SKS-u, oraz SKS-ach powstałych w ośrodkach akademickich poza Krakowem. Odbyła się także debata z udziałem prof. Alaina Besançona „Wolni w czasach zniewolenia. Zniewoleni w czasach wolności?”. Natomiast w Centrum Kultury „Rotunda” zespół Habakuk wystąpił z koncertem piosenek Jacka Kaczmarskiego poświęconych pamięci Stanisława Pyjasa.

Uczestnicy czarnego marszu z 15 maja 1977 r., działacze i sympatycy SKS-u mieli możliwość spotkania się po latach, rozpoznania na starych zdjęciach oraz oglądnięcia filmów m.in. „Gry uliczne”, „Śmierć studenta”. Odsłonięto także tablicę poświęconą pamięci Zygmunta Chylińskiego, Mirosława Dzielskiego i Janusza Szpotańskiego. Dwutygodniowe uroczystości zakończyła Msza św. w bazylice ojców Dominikanów.

JS

## WYDARZENIA **KONFERENCJA O STRATACH OSOBOWYCH – 8 V**



W sali konferencyjno-wystawienniczej IPN w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej odbyła się konferencja prasowa przedstawiająca stan zaawansowania ogólnopolskiego programu „Straty osobowe i ofiary represji pod okupacją niemiecką”. Program badawczy został uruchomiony przez Instytut Pamięci Narodowej oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przyjęto, iż przydatna dla niego będzie metodologia „Indeksu Represjonowanych”, prowadzonego od blisko dwudziestu lat przez Ośrodek KARTA. Celem przedsięwzięcia jest imienne upamiętnienie obywateli polskich represjonowanych pod niemiecką okupacją w latach 1939–45 oraz zebranie – we współpracy kompetentnych instytucji i środowisk w Polsce – wszelkich informacji na temat osób prześladowanych. Dane te umieszczane są w ogólnodostępnym portalu internetowym [www.straty.pl](http://www.straty.pl), przedstawiającym wszystkie ofiary różnych form represji.





## TVP HISTORIA – 9 V

Nareszcie! Po długim starcie, 3 maja ruszył nowy kanał tematyczny telewizji publicznej – TVP Historia. Kanał oferuje programy niekomercyjne, o charakterze dokumentalno-historycznym. Oferta opiera się przede wszystkim na polskiej produkcji telewizyjnej i filmowej, zwłaszcza na dokumentach i materiałach archiwalnych, notacjach, a także formach teatralnych (teatr faktu). „Historię” można oglądać za pośrednictwem satelity Astra. Twórcy kanału i zespół programowy nawiązali współpracę z instytucjami publicznymi



zajmującymi się badaniami naukowymi i edukacją historyczną, w tym z Instytutem Pamięci Narodowej. 9 maja w siedzibie IPN w Warszawie odbyło się robocze spotkanie dyrektora kanału Artura Dmochowskiego z przedstawicielami Instytutu (dyrektor generalny Jan Baster, dyrektor BEP Jan Żaryn, dyrektor Sekretariatu Prezesa Dorota Kalita), podczas którego omówiono formy przyszłej współpracy.



## WYDARZENIA **ŻOŁNIERZE WYKLĘCI I ATLAS PODZIEMIA – 9 V**

W siedzibie Sejmu odbyła się konferencja prasowa, przygotowana przez IPN oraz Komitet Budowy Pomnika Żołnierzom Wyklętym. Podczas konferencji przedstawiono ideę wybudowania pomnika żołnierzom antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. Żołnierze ci do dziś nie mają symbolicznego miejsca pamięci. O ich tragicznych lo-



sach, pomimo upływu wielu lat, ciągle zbyt mało wiadomo.

IPN przygotowuje jednocześnie wydanie „Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944–1956”. Publikacja ta przedstawi zasięg i struktury organizacji konspiracyjnych oraz zbrojną aktywność polskiej partyzantki powojennej. Ukazane w atlasie zagadnienia były do niedawna niemal nieobecne w świadomości historycznej Polaków. Celowo je przemilczano, co wynikało z przyjętej tezy, że w 1944 r. zdecydowana większość Polaków poparła nową władzę. Tych, którzy przeciwstawiali się władzy komunistycznej, oficjalna propaganda nazywała „zdrajcami”, „faszystowskim, reakcyjnym podziemiem”, „zapłutymi karłami reakcji”.



# POSZLIŚMY WŁASNĄ DROGĄ

Z ANDRZEJEM CZUMĄ ROZMAWIA WOJCIECH MUSZYŃSKI

**W.M.** – Trzydzieści lat temu, w marcu 1977 r., należał pan do grona członków-założycieli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Skąd wziął się pomysł powołania ROPCiO?



**A.C.** – Kiedy opuściliśmy kryminał we wrześniu 1974 r. – gdzie siedzieliśmy z wyrokami za przynależność do organizacji „Ruch” – stwierdziliśmy, że ludzie, którzy podzielają nasze przekonania i gotowość do działania na rzecz wolności, jest więcej niż wówczas, gdy zamykano nas w celach. Nasze działania w „Ruchu” zostały spopularyzowane – deklarację organizacji *Mijają lata* przedrukowała paryska „Kultura”, prasa zachodnia informowała o nas i o tym, jaki jest cel naszej walki. Gdy znaleźliśmy się znowu na wolności, pojawili się u nas ludzie, dużo młodszy zresztą od nas, którzy zadeklarowali wspólne działania na rzecz niepodległości Polski. Razem z kolegami z „Ruchu” postanowiliśmy wznowić naszą działalność, ale ponieważ były już inne warunki,

należało kontynuować ją w innej postaci i formie. Tym, co odróżniało naszą nową formułę od tej stosowanej w „Ruchu”, była jawność działania. To było istotnie *novum*.

Środowiska, z którymi nawiązaliśmy wówczas kontakt, były bardzo różne. My, wywodzący się z „Ruchu”, byliśmy najstarsi. Mieliśmy wówczas po mniej więcej 35 lat. Spotykaliśmy się głównie z młodymi ludźmi. Część z nich wywodziła się z gdańskiego Duszpasterstwa Akademickiego – to późniejsi działacze Ruchu Młodej Polski. Najpierw poznałem Macieja Grzywaczewskiego, później Aleksandra Halla, Janka Samsonowicza, Arkadiusza Rybickiego i innych. Kolejnym środowiskiem byli studenci z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego – Marian Piłka, Andrzej Nastula, Adam Cichocki. Ważnym ośrodkiem niezależnej myśli było środowisko późniejszej Biblioteki Historyczno-Literackiej, skupiające się wokół Jana Dworaka, Piotra Krawczyka i Bronka Komorowskiego. Wojciech Ziemiński był takim jednoosobowym oddziałem – znany jako organizator obchodów patriotycznych rocznic, bardzo dzielny i ofiarny. Dołączył też Leszek Moczulski, który mówił, że ma za sobą całe środowisko, ale dość szybko okazało się, że jest to zaledwie kilka osób. Jeden z tych ludzi, Andrzej Szomański, został później, gdzieś około roku 1977, przyłapany na potajemnym nagrywaniu naszych zebrań – dowiedzieliśmy się w ten sposób, że był agentem SB.

Znaleźliśmy też dojście do środowiska młodzieży licealnej, które w późniejszym czasie, już pod skrzydłami ROPCiO, wydawało własne pismo podziemne „Uczeń Polski”. Wszystkie te środowiska połączyliśmy, a raczej zebraliśmy w jeden nurt. Takie były początki.

**W.M.** – Zanim zawiązał się ROPCiO, od kilku miesięcy w Warszawie działał już Komitet Obrony Robotników...

**A.C.** – Wszyscy ci ludzie, z którymi miałem kontakty, zarówno przed oficjalnym powołaniem ROPCiO, jak też wówczas, gdy ruch już działał, równolegle wspierali Komii-

tet Obrony Robotników. Jednak naszym pragnieniem było stworzenie i przedstawienie społeczeństwu innej formuły i celu działania, niż czyniło to środowisko Jacka Kuronia. Mieliśmy szacunek dla ludzi KOR – nie pozwalaliśmy sobie na żadne wojny czy spory, mimo pewnych smutnych rzeczy, które spotkały nas z ich strony. Była między nami istotna różnica. KOR zwrócił się do społeczeństwa z apelem o pomoc lub objęcie opieką represjonowanych – chcieli służyć pomocą biednym ludziom, tak brutalnie potraktowanym przez władze, gdy odważyli się zaprotestować w czerwcu 1976 r. To bardzo szlachetny gest, ale to była formuła działań doraźnych. My chcieliśmy działać w szerszej perspektywie, wiedzieliśmy z góry, że będziemy proponowali obronę niezbywalnych praw człowieka i obywatela, których nikt nie może odebrać – w tym prawa do wolności i prawa do powoływania swoich władz państwowych w drodze wolnych wyborów. Kwestię praw człowieka wiązaliśmy od początku z chrześcijańską koncepcją człowieka i nauką społeczną Kościoła katolickiego.

Już po kilku tygodniach istnienia KOR wiedzieliśmy, że komunistom udał się pewien socjotechniczny zabieg propagandowy. Grupą dominującą w KOR byli ludzie, którzy kiedyś należeli do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, niektórzy z nich żywili jeszcze złudzenia co do obłudnej ideologii zwanej socjalizmem. Widzieliśmy, że duża część społeczeństwa przyjęła podsufane przez propagandę komunistyczną twierdzenie – KOR to jedna z grup partyjnych, która będzie wspierać jakąś kolejną frakcję w łonie PZPR w jej walce o władzę. Tworzony przez nas Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela adresował swoją zachętę do działań na rzecz niepodległości do tych ludzi, którzy brzydzili się widokiem pezetpeerowskich koterii i nie mieli ochoty słuchać o socjalizmie z ludzką twarzą.

#### **W.M. – Czy próbowaliście podjąć bliższą współpracę z KOR?**

**A.C.** – To było trudne. Pierwotnie chcieliśmy powołać Ruch Obrony Praw Człowieka wspólnie z KOR. Prowadziliśmy rozmowy z Jackiem Kuroniem i innymi przedstawicielami tego środowiska. Szybko okazało się, że jakkolwiek Jacek chciał, żebyśmy pracowali razem, to jednocześnie chciał mieć absolutną kontrolę nad wszelkimi działaniami w przyszłości. Nie mogliśmy się na to zgodzić – nie dlatego, że chcieliśmy toczyć z KOR jakąś wojnę czy kłótnię. Mieliśmy różne środowiska, każde miało własny profil działania, własne metody – nie chcieliśmy nic nikomu narzucać siłą albo do czegoś zmuszać. Widząc tego rodzaju próby dominacji u Jacka i jego przyjaciół, bez możliwości jakiegokolwiek dyskusji – bezwzględnej kontroli nad organizacją mającą połączyć nas i KOR – postanowiliśmy rozpocząć działalność osobno. Podkreślam, bez żadnych agresywnych zamiarów w stosunku do KOR.

Zanim jeszcze został powołany KOR, dysponowaliśmy własnym powielaczem woskowym, co na owe czasy było absolutnym ewenementem. Przedtem pracowaliśmy na powielaczach hektograficznych, spirytusowych, mało wydajnych. Ten powielacz pozwalał nam na szybką produkcję dużych nakładów ulotek i drukowanie pism, co było jeszcze istotniejsze. Powielacz dał nam Jerzy Giedroyc, a my przerzuciliśmy go na teren Polski przez Tatry. Początkowo, za naszym przyzwoleniem, drukowane były na nim komunikaty korowskie, niedługo później produkowaliśmy na nim już własne wydawnictwa – najpierw pismo „U progu”, później „Opinię”, no i oczywiście „Bratniaka”.

**W.M. – Współistnienie obu opozycyjnych organizacji nie było łatwe. Po warszawskich (dodajmy – „korowskich”) salonach chodziły plotki, że ROPCiO, najłagodniej mówiąc, ma powiązania z SB. Jaka była pana reakcja?**

**A.C.** – Nasz stosunek do KOR od początku był pełen szacunku, cechowała go chęć pomocy, czego wyrazem było upowszechnianie ich wydawnictw. Jednak w 1977 r., kiedy bezpieka aresztowała ich głównych działaczy, nastąpił nieprzyjemny zgrzyt. Halina Mikołajska w jednym z wywiadów powiedziała takie niezręczne zdanie, że co do ROPCiO, to „jest tam parę znaków zapytania”. Była to zawołowana sugestia, że jest to organizacja w jakiś sposób powiązana z SB. Mikołajska mówiła mi później, że była wtedy zmęczona, nie znała się na polityce, a kiedy nastąpiły aresztowania, musiała stać się rzecznikiem KOR i udzielać wywiadów dla zachodniej prasy. Powiedziała mi też, że wypowiedź ta dotyczyła jednego z naszych kolegów, Leszka Moczulskiego, o którym wiedziała od swoich znajomych, że ma kontakty z bezpieką. Na początku nie dawaliśmy temu wiary i gniewaliśmy się na tamto środowisko, że taką sugestię o nas pozwolili sobie wypowiedzieć przed prasą zagraniczną. To poszło do Wolnej Europy i rozniosło się szeroko. Bardzo nas to zmartwiło, ale nadal byliśmy bardzo aktywni.

Nasza działalność rozwijała się, dołączali nowi ludzie, powstawały nowe czasopisma, np. pismo dla wsi „Gospodarz”, powstawały punkty konsultacyjno-informacyjne. Po pewnym czasie stosunki się poprawiły. Nawet otrzymałem pożyczkę od KOR na wydanie nowego pisma. Jesienią 1979 r. zorganizowaliśmy wspólnie z KOR głodówkę protestacyjną przeciw uwięzieniu naszych kolegów z Czechosłowacji. Starłem się dbać o to, żeby stosunki z KOR były dobre, mimo że niektórzy koledzy z ROPCiO mieli mi to za złe. Mają zresztą do dziś – mówią, że wspierałem rewizjonistyczne skrzydło w PZPR, i patrzę na mnie nieco „bokiem”. Ale ja się tym nie przejmowałem, poza tym mój przyjaciel Emil Morgiewicz, jeszcze ze starego „Ruchu”, był członkiem KOR. Wojtek Ziemiański i Stefan Kaczorowski także. A to byli także ludzie ROPCiO.

Cieszę się bardzo, że nie dopuściłem do walki między ROPCiO a KOR. Kiedyś, podczas manifestacji w listopadzie 1979 r., jakiś prowokator albo głupiec – trudno rozróżnić – wznosił okrzyk „Precz z KOR-em!”. Wykorzystałem tubę, którą miałem akurat w ręku, zagłuszyłem człowieka, powiedziałem, że to wspaniałe przedsięwzięcie – cele mamy podobne, tylko drogi różne, po czym wznosiłem okrzyk: „Niech żyje KOR!”, który tłum dziarsko podchwycił. Pisał o tym zresztą Jan J. Lipski w historii KOR. Nasze przyjazne działania wobec KOR, brak agresji i łagodzenie napięć, mimo oświadczenia Haliny Mikołajskiej, odbiły się echem w pełnych wściekłości i jadu raportach SB. Można je znaleźć w archiwum IPN.

**W.M. – Czy udało się nawiązać kontakty z wolnym światem? Czy do ROPCiO docierała pomoc stamtąd?**

**A.C.** – Otrzymywaliśmy pomoc z zagranicy od indywidualnych osób, a od 1979 r. także od niektórych organizacji polonijnych. Nigdy żadnej pomocy nie udało się nam natomiast otrzymać od Rządu RP na Wychodźstwie. Nie wiem do dziś, z czego to wynikało. Wszystko, co otrzymaliśmy, pochodziło z ofiar i składek indywidualnych ludzi. Największymi naszymi pomocnikami byli: Andrzej Jachowicz – mój kolega z sekcji koszykówki w Legii, oraz Bolesław Gauza, którzy mieszkali w Norwegii. Mogliśmy liczyć na Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej działający przy Kongresie Polonii Amerykańskiej – tam pracowali Bonawentura Migata i płk Jan Jurewicz. Staraliśmy się o pomoc ze środowisk bliskich

nam ideowo, zwłaszcza od Stronnictwa Pracy, niestety nic się nie udało od nich uzyskać. Nie wiem dlaczego, ale tak to właśnie było.

### **W.M. – Jak wyglądała sprawa penetracji SB w waszych strukturach?**

**A.C.** – Nauczeni już doświadczeniem nabytym w tajnej działalności „Ruchu”, organizując ROPCiO, byliśmy pewni, że SB zacznie nam nasycać agentów. Dziś, gdy mamy dostęp do dokumentów z archiwum IPN, sprawy wyglądają inaczej, konkretyzują się. Wertując moje „teczki”, a jest ich bardzo dużo, nie jestem jednak zaskoczony. Dwóch najbardziej szkodliwych agentów, których SB zdołała umieścić w naszych szeregach, nie tylko donosiło na nas, ale obmyślali wspólnie z SB prowokacje, mające nas skłócić wewnętrznie i przeszkadzać w pracy. Byli to Andrzej Mazur z Łodzi i Paweł Mikłasz z Warszawy. Esbeckie analizy, do których dotarłem, stwierdzały, że jako środowisko umieliśmy się bronić przed penetracją – ich autorzy pisali to z wściekłością. Głównie chodziło im właśnie o Mazura, którego pozbyliśmy się szybko, bo w czerwcu 1978 r., oraz Mikłusza – rok później. Byli też inni, ale mniej groźni. Trzeba pamiętać o tym, że w ROPCiO działało łącznie kilkaset osób. Pojawianie się różnych wtyczek, mniej lub bardziej szkodliwych, było nie do uniknięcia.

### **W.M. – Nie sposób nie zapytać o konflikt między panem a Leszkiem Moczulskim.**

**A.C.** – Proces lustracyjny Leszka Moczulskiego wykazał, że był on współpracownikiem SB, ale nie mogę powiedzieć, że był przeszkodą w pracy od momentu podpisania deklaracji założycielskiej. Prowadził jakieś gry, chodził na spotkania z SB. Wiem, że miał jakieś przedziwne koncepcje, w których było miejsce i na rozmowy z bezpieką, i na pisanie płomienych artykułów na łamach „Opinii”. Jakoś mu się to nie kłóciło – do dzisiaj nie rozumiem, w jaki sposób. Wiem natomiast, że swoimi artykułami w „Opinii” uczynił wiele dla sprawy niepodległości Polski. Były pisane w świetnym stylu publicystyki politycznej i na pewno pobudził nimi wielu młodych ludzi do działania. I tej zasługi nie chcę mu odbierać. Jak on to w sumieniu łączył – nie wiem...

Nie tylko ja miałem konflikt z Moczulskim. W czerwcu 1978 r. większość członków redakcji „Opinii” głosowała za wykluczeniem Moczulskiego z jej składu. Było kilka tego powodów. Przede wszystkim Moczulski w swojej publicystyce przedstawiał nadmiernie optymistyczny scenariusz odzyskania wolności, przepowiadając, że już tej wiosny coś się wydarzy i odzyskamy niepodległość. My nie chcieliśmy tracić wiarygodności u czytelników tego rodzaju obietnicami bez pokrycia. Drugi powód był taki, że zauważyłem jego kontakty ze środowiskiem moczarskim – Ryszardem Filipskim, Bohdanem Porębką i innymi. To była wręcz przyjaźń. Mało tego, on pisał dla nich teksty, które tu i ówdzie ogłaszały. Stwierdziłem to ponad wszelką wątpliwość. Wreszcie, na wiosnę 1976 r. opublikował w „Stolicy” tekst *Cena niepodległości*, w którym udowadniał, że gwarantem niepodległości Polski jest Związek Sowiecki, a najlepszym stróżem dobrych stosunków z Sowiecami jest PZPR – wobec tego PZPR jest gwarantem niepodległości Polski. Otrzymałem ten tekst po dłuższym czasie. Był podpisany inicjałami, a wtedy w „Stolicy” był tylko jeden dziennikarz o inicjałach „LM” – Moczulski. Oczywiście wypierał się, ale wówczas już wiedziałem, że ma on wielką umiejętność mówienia nieprawdy – co było zresztą kolejnym powodem zerwania współpracy. Nie wierzyłem mu i nie chciałem dalej z nim współpracować. Nic więcej. Żadnej anatemy nie ogłaszaliśmy.

Jeszcze raz podkreślam – z analizy moich akt wiem, że od momentu kiedy pracowaliśmy razem, tj. od podpisania deklaracji ROPCiO, nie ma żadnych oznak agenturalnej działalności Leszka Moczulskiego. Co było wcześniej, to już co innego...

### W.M. – Jaki był, pana zdaniem, największy sukces ROPCiO?

A.C. – Najważniejszą rzeczą było to, że wydawaliśmy stopniowo coraz więcej pism, w coraz większych nakładach, w których głosiliśmy potrzebę wolności człowieka i niepodległości państwa. Bez wolności nie może być ani moralnego, ani materialnego rozwoju człowieka. Powtarzaliśmy to bez przerwy, nie tylko w prasie – postanowiliśmy wyjść z tym na ulice. To właśnie ROPCiO jako pierwszy w latach 1978 i 1979 wyprowadzał na ulice tysiące ludzi, m.in. w Gdańsku, Warszawie, Przemyślu, Kaliszu i Łodzi. Przez pewien czas wydawaliśmy więcej pism niż KOR, który miał przecież nieporównanie większe zasoby finansowe niż my. Oni mieli bardzo dobre kontakty z Europą Zachodnią, które wykorzystywali do promowania siebie, nie tylko w Polsce, ale i na Zachodzie. To było świetnie zorganizowane. Ubolewam, że my nie mieliśmy takich przyjaciół na Zachodzie, w konsekwencji mieliśmy mniejszy rezonans w mediach. Ale już pod koniec 1978 r. oświadczenia ROPCiO były podawane w Radiu Wolna Europa razem z oświadczeniami KOR, co jeszcze rok wcześniej było po prostu niemożliwe (z powodu tego znaku zapytania postawionego przez Halinę Mikołajską). Z upływem czasu udało się nam przebić i wyjść z izolacji. To też był nasz wielki sukces.

Kiedy przyglądam się okresowi mojego życia w ROPCiO, a dzięki aktom w IPN przeświadcza mi się on przed oczami jak film, mam satysfakcję. Ci wszyscy agenci, ogromne pieniądze włożone przez SB w obalenie nas, skompromitowanie, oplucie, aresztowania, pobicia etc. – wszystko to nie zmieniło naszego kierunku działania. A taki był cel SB. Byliśmy aresztowani pięć razy częściej niż inni, ukradli nam powielacze, ja byłem aresztowany pięćdziesiąt parę razy i miałem około 30 rewizji w domu. Inni koledzy podobnie. To były nasze straty. Ale nie udało im się wpłynąć na nas i zmienić kierunku naszej działalności. Nie daliśmy się zepchnąć z raz obranej drogi.



Rodzina Czumów z Prezydentem RP

## KOR – GENEZA

**Komitet Obrony Robotników był największą organizacją opozycji demokratycznej w PRL przed powstaniem „Solidarności”. Bezpośrednią przyczyną utworzenia Komitetu były wydarzenia czerwcowe 1976 r., czyli brutalnie spacyfikowany przez władze protest robotników Radomia, Ursusa i Płocka. To właśnie w ich obronie i z pomocą dla nich pospieszyła grupka inteligentów, rozpoczynając tym samym nowy rozdział w historii działań niezależnych w PRL. Po raz pierwszy od wielu lat pojawiła się bowiem jawna, zorganizowana opozycja, zmierzająca do współpracy dwóch jakże odległych od siebie grup społecznych: robotników i inteligencji.**

Geneza KOR jest jednak znacznie głębsza. Powstanie Komitetu było wynikiem różnych nachodzących na siebie procesów. Na ostateczny jego kształt złożyły się zarówno wcześniejsze doświadczenia działaczy opozycji, ewolucja systemu w PRL, jak i uwarunkowania zewnętrzne.

Lata siedemdziesiąte XX w. to w polityce światowej okres odprężenia na linii ZSRS–Zachód, czego wynikiem były m.in. porozumienia ograniczające zbrojenia: SALT w 1972 r. oraz SALT II w 1979 r., a także końcowe ustalenia Konferencji KBWE podpisane w Helsinkach 1 sierpnia 1975 r. przez 33 państwa europejskie (w tym Polskę) oraz Stany Zjednoczone i Kanadę, które potwierdzały nienaruszalność granic w Europie oraz pokojowy tryb rozwiązywania konfliktów. Najważniejsze jednak okazały się zobowiązania dotyczące poszanowania praw człowieka oraz podstawowych wolności obywatelskich. Ustalenia te wyznaczyły nowy kierunek działań dla ruchów dysydenckich i opozycyjnych w krajach bloku wschodniego, dla których najważniejszym orężem w walce z totalitarnym reżimem stawała się obrona przestrzegania praw obywatelskich.

Dla wielu osób angażujących się w prace środowiska KOR-owskiego istotne znaczenie miał Marzec '68, nie tylko dlatego, że znaczna ich część była uczestnikami marcowego protestu, ale przede wszystkim dlatego, że kończył on pewien etap związany ze sposobem ich myślenia. Marzec '68 to ostateczne załamanie się koncepcji rewizjonistycznych, związanych z budową „socjalizmu z ludzką twarzą” i „polskiej drogi do socjalizmu”, które zdominowały formy aktywności środowisk opozycyjnych w PRL po Październiku '56.

Kolejny ważny punkt odniesienia to Grudzień '70 i wystąpienia robotników na Wybrzeżu. I chociaż inteligencja nie wystąpiła wówczas w ich obronie, to jednak po latach oceniano to jako błąd, którego starano się nie powtórzyć sześć lat później.

Grudzień '70 przyniósł przede wszystkim zasadnicze zmiany w aparacie władzy. W dramatycznych okolicznościach na stanowisku I sekretarza KC PZPR Wiesława Gomułkę zastąpił Edward Gierek, który rozpoczął nowy etap w historii PRL, „otwierając Polskę na Zachód”. Wobec katastroficznej sytuacji gospodarczej podjął on próbę szybkiego unowocześnienia przemysłu za pomocą pożyczek masowo zaciąganych w wysoko rozwiniętych krajach zachodnich, co początkowo przynosiło nawet efekty. Nastąpił znaczny, odczuwalny przez społeczeństwo wzrost gospodarczy. Szybko jednak okazało się, że droga wyjścia z kryzysu obrana przez eki-



pę Gierka prowadzi donikąd. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych rozpoczynał się okres spłaty kredytów, a nietrafione inwestycje nie przynosiły spodziewanych dochodów, w wyniku czego nierozwiązane problemy ekonomiczne po kilku latach powracały niczym bumerang. Skutkiem tej polityki – korzystnym z punktu widzenia kształtowania się opozycji – było coraz większe uzależnianie się gospodarki polskiej od Zachodu. Gierek, przedstawiany na Zachodzie jako demokrat, starając się o kolejne kredyty, do problemu rodzącej się w kraju opozycji musiał podchodzić elastycznie, zostawiając jej pewien margines swobody.

### Opozycyjne salony

Jak słusznie zauważył Andrzej Friszke, opozycja w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych była zorganizowana w nieformalne środowiska czy też w nieoficjalne salony. Najbardziej wpływowy i opiniotwórczy był tzw. salon warszawski, skupiający intelektualistów, byłych „komandosów”<sup>1</sup> oraz aktywnych opozycjonistów z lat wcześniejszych, mających za sobą działalność w Klubie Krzywego Koła, członków Klubu Inteligencji Katolickiej itd. Liderami politycznymi salonu, potocznie nazywanego lewicą warszawską, byli Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń, Adam Michnik i Jan Olszewski<sup>2</sup>.

Środowisko lewicy warszawskiej łączyły wypracowane przez lata przyjaźnie i więzi towarzyskie, a także wspólne doświadczenia. Był to praktycznie elitarny, dość hermetyczny krąg, do którego trudno było przeniknąć osobom z zewnątrz. Bliskie były mu tradycje PPS, radykalnego nurtu reformatorskiego polskiego Października oraz wspólnie przeżytego Marca<sup>3</sup>. Posiadał też dosyć rozległe kontakty z emigracją.

Mniej więcej od połowy lat sześćdziesiątych środowisko lewicy zaczęło gromadzić fundusze, pochodzące z dobrowolnych składek i darowizn. Stały się one podstawą założenia kasy pomocy dla represjonowanych działaczy opozycji i ich rodzin. Nadzór nad pieniędzmi sprawował Jan Józef Lipski, wspierany przez Jana Olszewskiego, a później także przez Jacka Kuronia<sup>4</sup>.

Z inicjatywy tego środowiska wyszło wiele listów protestacyjnych adresowanych do władz, w obronie działaczy skazanych za występowanie przeciw systemowi. Jesienią 1971 r. grupa pisarzy stanęła w obronie działaczy „Ruchu”<sup>5</sup>, skazanych m. in. za „przygotowania do obalenia przemocą ustroju” wyrokami do siedmiu lat pozbawienia wolności. Rok później broniono braci Jerzego i Ryszarda Kowalczyków<sup>6</sup>.

Listy te, bez względu na wytworzony stopień nacisku na władze, spełniały cele integracyjne środowisk opozycyjnych. W ich powstanie angażowali się nie tylko sygnatariusze,

<sup>1</sup> „Komandosi” – określenie grupy studentów, którzy przed Marcem ‘68 nadawali ton niezależnemu życiu politycznemu i intelektualnemu młodzieży akademickiej. Odegrali również istotną rolę w wydarzeniach marcowych, szerzej zob. J. Eisler, *Marzec 1968. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 1991, s. 87–115.

<sup>2</sup> A. Friszke, *Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*, Warszawa 1994, s. 300–301.

<sup>3</sup> *Ibidem*.

<sup>4</sup> A. Friszke, *Jan Józef Lipski – szkic biografii* [w:] J.J. Lipski, *KOR*, Warszawa 2006, s. 27.

<sup>5</sup> „Ruch” – tajna organizacja niepodległościowa, działająca w latach 1965–1970. Czołowi działacze: Andrzej i Benedykt Czumowie, Stefan Niesiołowski, Marian Gołębiowski, Emil Morgiewicz. W 1970 r. zamierzali w proteście przeciwko zniewoleniu Polski podpalić muzeum Lenina w Poroninie. Do akcji nie doszło, dzień wcześniej nastąpiły bowiem aresztowania czołowych działaczy.

<sup>6</sup> Bracia Kowalczykowie 6 X 1971 r. wysadzili w powietrze aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu w proteście przeciwko organizowanym tam uroczystościom z okazji święta SB i MO. Za ten czyn Jerzy otrzymał karę śmierci, a Ryszard 25 lat więzienia.





którymi byli z reguły przedstawiciele świata kultury, ale przede wszystkim znani działacze opozycji, tacy jak Kuroń, Lipski, Michnik, Olszewski, Karpiński, na których spoczywał ciężar zbierania podpisów, uzgodnienia ostatecznej wersji listu itp.

W połowie lat siedemdziesiątych coraz częściej zastanawiano się również nad stworzeniem niezależnej organizacji, nagłaśniającej przypadki represji politycznych, na wzór utworzonego w 1970 r. Komitetu Obrony Praw Człowieka Andrieja Sacharowa w ZSRS<sup>7</sup>.

### **Czarna Jedyńka**

Obok tzw. starej opozycji w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych zaczęły kształtować się również załążki nowych środowisk młodzieżowych, na ogół młodszych o kilka lat od „komandosów”. Największe takie grupy powstały w Gdańsku, Warszawie i Lublinie.

Dla historii KOR istotne znaczenie ma grupa warszawska. Tworzyli ją wychowankowie 1. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta, czyli „Czarnej Jedyńki”. Część jej aktywnych działaczy miała za sobą udział w wydarzeniach marcowych, a jeden z jej liderów, Antoni Macierewicz, nawet kilkumiesięczny areszt.

Od końca lat sześćdziesiątych o charakterze i obliczu „Czarnej Jedyńki” decydowała grupa instruktorów: Marek Barański, Janusz Kijowski, Wojciech Onyszkiewicz, Piotr Naimski i Antoni Macierewicz. Ich celem było połączenie pracy harcerskiej z długofalowym programem działań na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości. Starali się realizować program ukierunkowany na kształtowanie postaw patriotycznych i obywatelskich, wsparty na wiedzy o najnowszej historii Polski oraz rozeznaniu struktury społeczno-politycznej kraju<sup>8</sup>. Dotykano problemów nieobecnych w oficjalnym przekazie. Podczas letnich obozów docierano do żołnierzy AK i WiN, zachęcano ich do składania relacji, podejmowano także próby rozpoznania problemów mniejszości narodowych. Z myślą o dorastających harcerzach w 1969 r. stworzono grupę starszoharcerską, rodzaj klubu dyskusyjnego pod nazwą „Gromada Włóczęgów”. W grudniu 1970 r. jej członkowie angażowali się w oddawanie krwi dla robotników Wybrzeża. Wychowanków „Czarnej Jedyńki” cechował zdecydowany antykomunizm oraz niechęć do rewizjonizmu i tradycji z nim związanej. Mocno akcentowano potrzebę odzyskania niepodległości i podejmowania działań prospołecznych. Do liderów grupy należeli: Macierewicz, Naimski i Onyszkiewicz.

W grudniu 1971 r. Służba Bezpieczeństwa przerwała jedno ze spotkań dyskusyjnych zorganizowane przez Gromadę w Zalesiu koło Warszawy. Na miejscu odbyły się przesłuchania, a niektórzy z uczestników zebrania wzywani byli dodatkowo na komendę MO. Z powodu nadmiernego zainteresowania SB funkcjonowaniem Gromady zawieszono na jakiś czas jej działalność, niemniej nadal utrzymywano kontakty towarzyskie. Od 1974 r. jej przedstawiciele stali się stałymi bywalcami „salonu warszawskiego”, szybko też nawiązali kontakty z byłymi „komandosami” i młodzieżą z Klubów Inteligencji Katolickiej.

### **Protesty przeciwko konstytucji**

Duże znaczenie dla konsolidacji środowisk opozycyjnych miały protesty przeciwko poprawkom do konstytucji na przełomie lat 1975/1976. Pierwsze zapowiedzi wprowadzenia zmian do ustawy zasadniczej zostały przedstawione we wrześniu 1975 r. w *Wytycznych na*

<sup>7</sup> A. Friszke, *Opozycja...*, s. 334; J. Kuroń, *Gwiazdny czas. „Wiary i winy” dalszy ciąg*, Londyn 1981, s. 7.

<sup>8</sup> A. Macierewicz, *Jak powstał Komitet Obrony Robotników*, „Głos” 2006, nr 39.

VII Zjazd PZPR, w których pojawiła się propozycja wprowadzenia zapisu o kierowniczej roli PZPR. Trzy miesiące później zapowiedziano także uzupełnienie konstytucji o zapis nienaruszalności więzi z ZSRR, będący w rzeczywistości konstytucyjnym ograniczeniem suwerenności, oraz uzależnienie praw obywatelskich od wypełniania obowiązków wobec Ojczyzny<sup>9</sup>.

Jedyną formą sprzeciwu wobec proponowanych poprawek były listy protestacyjne. I chociaż pojawiały się one już wcześniej, po raz pierwszy jednak stawiane w nich żądania miały charakter wyraźnie polityczny. Największy rozgłos, a zarazem i znaczenie uzyskał tzw. List 59<sup>10</sup>, złożony w kancelarii Sejmu 5 grudnia, w dniu rozpoczęcia VII Zjazdu PZPR<sup>11</sup>. Poza krytyką proponowanych zmian<sup>12</sup> zawierał on daleko idący program demokratyzacji państwa. Domagano się m.in. zapewnienia wolności sumienia i praktyk religijnych, prawa do strajku i tworzenia niezależnych związków zawodowych, wolności słowa (w tym zniesienia cenzury prewencyjnej), zapewnienia autonomii szkołom wyższym, umożliwienia obywatelom wysuwania i wybierania swoich przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach, zapewnienia niezawisłości sądów oraz uczynienia z Sejmu rzeczywiście najwyższej władzy ustawodawczej<sup>13</sup>. Wśród sygnatariuszy znaleźli się reprezentanci wielu środowisk, zarówno osoby z komunistyczną przeszłością, jak i kombatanci z AK, działacze Klubów Inteligencji Katolickiej oraz katolicy księża. Pod listem podpisy złożyło 18 późniejszych członków Komitetu Obrony Robotników.

Protesty znacznie nasiliły się w styczniu 1976 r.<sup>14</sup> Do Sejmu i Rady Państwa wpłynęły kolejne listy, wśród nich memoriał Episkopatu, list środowiska „Znak” oraz podpisany przez 101 osób list Jerzego Andrzejewskiego. W kampanię konstytucyjną zaangażowały się różne środowiska, począwszy od dawnych rewizjonistów i uczestników Marca ’68, przez działaczy kojarzonych z Polską Podziemną, aż po nowe środowiska studenckie i młodzieżowe, w tym grupę „Czarnej Jedyńki”. Pod wpływem opinii publicznej, a także Episkopatu, władze wycofały się z uzależniania praw obywatelskich od wypełniania obowiązków, a zapis o kierowniczej roli partii złagodniono do określenia, że PZPR jest „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu”. Pomimo licznych protestów Sejm 10 lutego 1976 r. niemal jednogłośnie przyjął poprawki. I chociaż środowiskom opozycji nie udało się doprowadzić do zaniechania proponowanych zmian, to sam fakt przyjęcia ich w złagodzonej postaci należy uznać za jej duży sukces. Protesty przeciwko poprawkom miały jednak o wiele głębsze znaczenie. Przyspieszyły integrację poszczególnych grup i środowisk opozycyjnych, zwłaszcza tych, które po Czerwcu ’76 współtworzyć będą środowisko KOR-owskie. Było to największe wystąpienie inteligencji od czasów wydarzeń marcowych 1968 r. Według Andrzeja Friszke łącznie w protestach uczestniczyło parę tysięcy osób związanych przeważnie z życiem kulturalnym i naukowym. „Udało się ożywić ważną metodę nacisku na władze – zbiorowe petycje [...] sprecyzować i upowszechnić systemy wartości i najważniejsze cele opozycji. Ujawniła

<sup>9</sup> A. Friszke, *Opozycja...*, s. 329.

<sup>10</sup> W rzeczywistości list podpisało 66 osób, jednak na skutek nieporozumienia 7 nazwisk zostało pominiętych i w dniu wysłania pod listem figurowało ich tylko 59. Nazwiska siedmiu pominiętych osób dołączono w terminie późniejszym.

<sup>11</sup> *Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych*, red. J. Eisler, Warszawa 2001, s. 19.

<sup>12</sup> List 59 powstał jeszcze przed ogłoszeniem poprawek na temat sojuszu z ZSRR i uzależnienia praw obywatelskich od wypełniania obowiązków.

<sup>13</sup> Pełny tekst listu oraz lista sygnatariuszy: m.in. „Kultura” 1976, nr 1/2, s. 234–236.

<sup>14</sup> Ich przebieg szczegółowo omawia A. Friszke, *Protesty przeciwko poprawkom do konstytucji w 1976 r.*, „Więź” 1994, nr 10, s. 212–228.

# RADOM, CZERWIEC '76



Fot. AIPN



się zbieżność wielu postulatów środowisk świeckich i Kościoła katolickiego. Wyznacznikiem nowej sytuacji stała się znaczna liczebność i jawność ruchu sprzeciwu<sup>15</sup>.

### **Podwyżka cen i wydarzenia czerwcowe**

Tymczasem od początku 1976 r. coraz wyraźniej zaczęły ujawniać się nieprawidłowości wynikające z wadliwej polityki gospodarczej. Nadmierne rozwarcie nożyc pomiędzy wielkością dochodów ludności a masą towarów i usług na rynku sprawiało, że sytuacja finansowa kraju stawała się coraz trudniejsza. Jedynym wyjściem dla rządu była drastyczna podwyżka cen towarów konsumpcyjnych. Operacja taka stanowiła jednak nie lada problem dla władzy, która obawiała się niekontrolowanego wybuchu nastrojów społecznych. Problem dysproporcji cen pogłębiał się więc z roku na rok coraz bardziej. Ostatecznie jednak w obliczu poważnych trudności finansowych 24 czerwca 1976 r., na posiedzeniu Sejmu, ówczesny premier Piotr Jaroszewicz wystąpił z projektem podwyżek cen artykułów żywnościowych (m.in. wzrost cen mięsa i ryb o 69 proc., drobiu o 30 proc., masła i tłustych serów o ponad 50 proc., cukru o 100 proc., mąki, fasoli, grochu i przetworów jarzynowych o 30 proc.). Skutki podwyżki łagodzić miała rekompensata polegająca na podwyższeniu najniższych zarobków o 20 proc., średnich o ok. 11 proc., najwyższych zaś o 7 proc.<sup>16</sup> Zgodnie z obawami władz wywołało to głębokie niezadowolenie wśród robotników. Następnego dnia w dwudziestu czterech województwach wybuchły strajki, w których uczestniczyło 70–80 tys. osób<sup>17</sup>. Do najpoważniejszych wystąpień doszło w trzech ośrodkach przemysłowych: w Ursusie, Radomiu i Płocku. Pod ich naciskiem władze, chcąc uniknąć eskalacji protestu, już następnego dnia wycofały się z podwyżek. Na demonstrantów spadły jednak surowe represje. Aresztowano 239 osób i postawiono im zarzuty, kolegia ds. wykroczeń sporządziły blisko 400 wniosków o ukaranie w trybie przyspieszonym, wiele osób zwolniono z pracy. Od 16 lipca rozpoczęły się procesy, w wyniku których w Radomiu 8 osób skazano na karę od 8 do 10 lat pozbawienia wolności, 11 na 5–6 lat, 6 na kary 2–4 lat więzienia. W kolejnych dwóch procesach w Ursusie skazano 7 osób na 3–5 lat, w Płocku 18 osób otrzymało kary od 2–5 lat, a 15 wyroki w zawieszeniu<sup>18</sup>.

### **Od czerwca do września**

Na wydarzenia czerwcowe bardzo szybko zareagowali przedstawiciele opozycji. Początkowo ograniczano się do wypróbowanej taktyki pisania listów protestacyjnych. Istotny przełom nastąpił jednak w drugiej połowie lipca, wraz z rozpoczęciem pierwszego procesu w Ursusie. Tego dnia nawiązano pierwsze kontakty z prześladowanymi robotnikami. Ogromną rolę w organizowaniu bezpośredniej pomocy dla rodzin aresztowanych odegrało środowisko „Czarnej Jedyńki”. Stanowiło ono zasadniczy trzon grupy pomagającej rodzinom robotniczym z Ursusa. Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Dariusz Kupiecki, Wojciech Onyszkiewicz i Wojciech Fałkowski, wykorzystując wypracowane w okresie harcercskim kontakty, zapewniali ciągłość w niesieniu pomocy poszkodowanym. Do grupy tej szybko dołączył Henryk Wujec, wprowadzając kolejne osoby z warszawskiego środowiska KIK. Nieco później ruszyła „grupa radomska” organizowana głównie przez Mirosława Chojeckiego. Szybko w jej prace włączył się także Zbigniew Romaszewski.

<sup>15</sup> *Idem, Opozycja...*, s. 330–332.

<sup>16</sup> Z. Landau, *Etapy rozwoju Polski Ludowej*, „Przegląd Historyczny” 1987, nr 2, s. 246–247.

<sup>17</sup> P. Sasanka, *Czerwiec 1976. Geneza, przebieg, konsekwencje*, Warszawa 2006, s. 248–249.

<sup>18</sup> *Ibidem*, s. 262–323.



Równoległe grupa intelektualistów zaczęła gromadzić środki finansowe (istotną rolę odgrywał J.J. Lipski), a pierwsi prawnicy, m.in.: Jan Olszewski i Andrzej Grabiński, bezinteresownie udzielali porad prawnych.

Zakres niesionej pomocy bardzo szybko się rozszerzał i coraz bardziej nieodzowne stawało się powołanie instytucji koordynującej całą akcję. Z jednej strony należało chronić młodych ludzi, ofiarnie niosących pomoc rodzinom Ursusa i Radomia, z drugiej coraz większa ilość napływających pieniędzy wymuszała utworzenie instytucji odpowiedzialnej za ich wydatkowanie. Do stworzenia organizacji dążyli przede wszystkim byli harcerze z „Czarnej Jedyнки”, którzy do swojego pomysłu starali się przekonać starszych działaczy. Problemom tym poświęcone było zebranie, które odbyło się w mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego 12 września 1976 r. Uczestniczyło w nim kilkanaście osób (m.in. Jan Józef Lipski, Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Aniela Steinsbergowa, Jan Kielanowski, Halina Mikołajska, Andrzej Kijowski, Ludwik Cohn, Józef Rybicki). Dzień wcześniej Macierewicz, Naimski i Onyszkiewicz opracowali wstępną wersję dokumentu powołującego Komitet Obrony Robotników, którą następnego dnia tuż przed naradą konsultowali jeszcze z Lipskim i Olszewskim.

Następnie Jan Józef Lipski przedstawił zebranim u Lipińskiego powody, dla których należało powołać Komitet. Pomysł utworzenia organizacji niosącej pomoc represjonowanym robotnikom dla wielu uczestników narady okazał się jednak zbyt rewolucyjny. Spotkanie zakończyło się niepowodzeniem, a problem powołania Komitetu odsunięto na dalszy plan<sup>19</sup>.

Zwolennicy powołania organizacji niebawem zyskali silne wsparcie Jacka Kuronia, nieobecnego na naradzie z 12 września, od 19 lipca przebywał bowiem na ćwiczeniach wojskowych. 13 września otrzymał jednak przepustkę i od razu aktywnie włączył się w tworzenie Komitetu. Kluczowe znaczenie miało spotkanie w mieszkaniu Antoniego Libery 18 lub 19 września z udziałem Macierewicza, Naimskiego, Kuronia i Lipskiego, na którym ostatecznie zdecydowano o utworzeniu KOR. Następnie (głównie za pośrednictwem J.J. Lipskiego) zwrócono się do uczestników zebrania z 12 września o przyłączenie się do listy sygnatariuszy-założycieli<sup>20</sup>.

Kolejne zebranie w większym gronie, na którym przyjęto końcową wersję dokumentu założycielskiego i skompletowano listę sygnatariuszy, odbyło się 22 września. Następnego dnia „Apel do społeczeństwa” informujący o powstaniu Komitetu Obrony Robotników wysłano pocztą do marszałka Sejmu. Pod apelem podpisało się ostatecznie 14 osób: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Ludwik Cohn, Antoni Pajdak, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Adam Szczypiorski, ks. Jan Zieja i Wojciech Ziemiński.

<sup>19</sup> A. Friszke, *Jan Józef...*, s. 36–37; AIPN 0204/1417, t. 19, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Watra”, Meldunek operacyjny, Warszawa, 22 IX 1976 r., k. 83–86; P. Naimski, *Latem 1976 roku*, „Głos” 2006, nr 39.

<sup>20</sup> A. Friszke, *Jan Józef...*, s. 3; AIPN 0204/1417, Sprawa operacyjnego rozpracowania „Poeta”, Meldunek operacyjny, Warszawa, 28 IX 1976 r., k. 104–105.

# NIM POWSTAŁ SKS

**Na klatce schodowej kamienicy przy ul. Szewskiej 7 w Krakowie 7 maja 1977 r. znaleziono ciało Stanisława Pyjasa, studenta filologii polskiej i filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, współpracującego z Komitetem Obrony Robotników. Zamordowano go, gdyż starał się żyć jak wolny człowiek w systemie dławiącym każde dążenie do wolności. Jego śmierć stała się wstrząsem dla części środowiska akademickiego. Studenci powołali 15 maja 1977 r. Studencki Komitet Solidarności, który przez następne trzy lata był głównym środowiskiem opozycyjnym Krakowa.**

Krakowski SKS utworzyły dwie grupy studentów. Jedni wywodzili się z Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka”, natomiast drudzy to kontestująca młodzież skupiona wokół Domu Akademickiego „Żaczek”. Mieli odmienne korzenie, ale wiele podobnych doświadczeń. Łączyło ich jedno – niechęć do komunistycznej rzeczywistości. Jak stwierdziła potem bezpieka: „Pomimo poświęcenia funkcjonariuszy krakowskiej Służby Bezpieczeństwa nie było możliwe całkowite wyeliminowanie SKS-u. Działalność SKS-u stała się zjawiskiem politycznym, którego likwidacja przekraczała możliwości Służby Bezpieczeństwa”.

## Pyjas i kontestatorzy

Stanisław Pyjas zdał z wyróżnieniem maturę w Liceum Ogólnokształcącym w Żywcu, dlatego zaproponowano mu prawo wstępu na dowolnie wybraną uczelnię bez egzaminu wstępnego. On jednak odmówił. Rodziców przekonał, że nie chce korzystać z takich ułatwień, woli sprawdzić swoją wiedzę. Wiosną 1972 r., przygotowując się do egzaminów wstępnych, napisał wiersz:

„Na gnojnym podglebiu  
Czerwonych haseł  
Wyrośli nowe bydło  
o opasłych mordach”.

W Krakowie spotkał studentów myślących podobnie jak on. Część z nich to kontestatorzy mieszkający w „Żaczku”, przeważnie studenci filologii polskiej. „Pewien typ obyczajowej abnegacji, pogarda dla mieszczańskich wartości, fascynacja Nową Falą, kontrkulturą i legendą paryskiego Maja '68, a przede wszystkim grube szyderstwo z socjalistycznej rzeczywistości spowodowały, że do tego środowiska przyłgnęła nazwa »anarchiści«” – napisał o swych kolegach Józef Ruszar. Wśród nich obok Pyjasa, Bronisława Wildsteina, Lesława Maleszki byli także Iwona Galińska, Ewa Hein, Andrzej Balcerek, bracia Bogusław i Wiesław Bekowie, Mieczysław Godyń, Zbigniew Jankowski „Yankes” i wielu ich kolegów.

W roku akademickim 1974/1975 Stanisław Pyjas waletował w pokoju numer 328 w „Żaczku”. Mieszkali tam Bogusław Bek, Lesław Maleszka, Mirosław Kwiek, Bogusław Biela, Roman Cholewa, a częstymi gośćmi byli Adam Szostkiewicz, Jacek Filek, Elżbieta Majewska, Krystyna Kwiatkowska, Andrzej Mrowiec, Krzysztof Ścierański, bywali aktorzy teatru „Laboratorium”. „To był pokój otwarty, zawsze się coś działo, przewijało się mnóstwo osób, co

było niezwykle twórcze, a gdy stawało się uciążliwe, to ciszę można było znaleźć w bibliotece” – mówi Bogusław Bek studiujący wówczas filologię polską na UJ. Nikt z jego pokoju nie uczestniczył w wyborach do Sejmu PRL. Przychodzili wtedy studenci aktywiści, namawiając do spełnienia „obywatelskiego obowiązku”. Żegnano ich jednak wyzwiskami i nikt nie szedł. Frekwencja była jednak odpowiednia, gdyż zawsze na koniec dnia szef komisji wyborczej wrzucał do urny brakujące karty. Kontestatorzy z „Żaczka” „to byli dobrzy lub bardzo dobrzy studenci, a ich intelektualne wyrobienie było podstawą sprzeciwu wobec ideologicznego bełkotu. Był to bunt w imię ocalenia własnego ja” – pisał Ruszar. Otoczenie postrzegało ich jako zbuntowanych. Nosili długie włosy, pili dużo alkoholu i dyskutowali aż do rana.

### Beczka

Wyraziste środowisko skupiło się także wokół dominikańskiego Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka”, którego początki sięgają lat sześćdziesiątych. Związane są głównie z działalnością ojca Tomasza Pawłowskiego, „dbającego o równowagę między modlitwą, nauką i pracą studentów, łączącego poszczególne, jakże różne grupy w jedną wspólnotę”, oraz ojca Jana Andrzeja Kłoczowskiego – filozofa, na którym spoczywało głównie budowanie i programowanie życia intelektualnego w duszpasterstwie. Kłoczowski doskonale wiedział, czym jest komunizm. – „Nigdy nie miałem wątpliwości, w jakim kraju żyję. Pamiętałem 17 stycznia 1945 roku, mieszkaliśmy w Brwinowie pod Warszawą. Z ojcem patrzyliśmy przez okno, jak wjeżdżały sowieckie tanki. Ojciec powiedział wtedy: klękaj, pomodlimy się, jeden okupant wyszedł, drugi przyszedł. Tak zostałem wychowany” – wspomina Kłoczowski. Po latach wstąpił do dominikanów, obronił doktorat na KUL, gdzie spotkał wielu studentów, którzy przez tę uczelnię zostali przygarnięci po wyjściu z więzień po wyrokach marcowych 1968 roku.



Fot. AIPN

Czarny marsz, Kraków 15 maja 1977 r.

Większość grupy skupiającej się wokół ojca Kłoczowskiego, zwanego przez nich „Kłoczem”, studiowała filologię polską: Liliana Batko, Irena Felska, Józef Ruszar, prawo: Andrzej Bryk, Bogusław Sonik, filozofię: Wojciech Oracz, socjologię: Tadeusz Konopka, historię: Teresa Honowska, muzykologię: Jolanta Pękacz czy medycynę: Elżbieta Krawczyk. W tygodniu o godzinie 7.00 rano wraz z grupą 15–30 studentów o. Kłoczowski uczestniczył we Mszy św. Po jej zakończeniu jedzono wspólne śniadanie – *agape* – chleb z dżemem lub białym serem popijanym kawą zbożową, a potem rozchodzili się do bibliotek lub na zajęcia. Powrót wieczorem i w poniedziałki – spotkania dyskusyjno-formacyjne, rozmowy na temat książek, we wtorki – „Kraąg Biblijny” z udziałem około 30 studentów. W środy tzw. konferencje w kapitularku, swe prelekcje wygłaszała na nich m.in. Wanda Półtawska, a później ks. Józef Tischner. Przychodziło 100–150 osób. Co niedzielę Msza św. – były to „dziewiątki”, odprowadzane o 9.00 z udziałem około 300 studentów. I jeszcze tzw. teamy – duże dyskusje prowadzone w kościele z udziałem specjalistów na różne tematy: „Czy Ewangelie mają rację?”, „Co nami rządzi?”, „Czy można żyć, nie kłamiąc?”, „Czy Kościół broni praw człowieka?”. Cieszyły się dużą popularnością i miały najbardziej masowy charakter, brało w nich udział 2–3 tys. osób.

Według oceny SB kontakty z Duszpasterstwem Akademickim utrzymywało około 8 tys. krakowskich studentów. Siedem najaktywniejszych ośrodków, wśród nich dominikańska „Beczka”, było objętych pracą operacyjną bezpieki. W 1974 r. działało w jej strukturach kilku agentów, m.in. tajni współpracownicy „Janka”, „Tomasz”, „Kamil” i „Zeus”. Bezpieka szczegółowo określała stawiane im zadania. Mieli m.in. „ustalić lub wytypować sprawców wrogich napisów na statucie Socjalistycznego Związku Studentów Polskich”, służyć w „przeprowadzanych kombinacjach operacyjnych, które pozwolą rozeznaczyć aktywność »Beczki« przez wprowadzenie tajnych współpracowników, pozyskanie nowych źródeł oraz przydzielenie im nowych zadań”. Mimo tych działań SB krąg osób, na które oddziaływała „Beczka”, stale się powiększał. Przyciągała ona stale młodych, aktywnych ludzi niechętnych komunizmowi.

W dominikańskim duszpasterstwie skupiła się grupa studentów poszukująca nowych form aktywności we wszechogarniającym systemie zniewolenia i kłamstwa. – „To oni współtworzyli potem SKS. Dyskutowaliśmy na tematy polityczne, ale właśnie w tej niewielkiej grupie, aby nie stwarzać wrażenia, że jesteśmy środowiskiem opozycyjnym. W duszpasterstwie staraliśmy się podkreślać charakter czysto religijny i społeczny. Młodzież z tym się zgadzała, że Kościół musi być środowiskiem długiego trwania, ale jednoznacznie określonym w swej opozycyjności do reżimu. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że jesteśmy pod zaborami i musimy starać się przetrwać” – tłumaczy ojciec Kłoczowski. Po kilku latach związków z „Beczką” jej najaktywniejsi uczestnicy zaczęli gromadzić wokół siebie jeszcze młodszych – uczniów krakowskich szkół średnich. Spotykali się z nimi, czytali książki, dyskutowali na wiele tematów. Część z nich później tworzyła „młody” SKS.

„W połowie dekady – dzięki zainteresowaniu Bogusia Sonika, Lilki Batko, Andrzeja Bryka, Małgosi Gątkiewicz, Inki Felskiej – coraz wyraźniej w »Beczce« zaczęły pojawiać się kwestie społeczne” – komentuje Ruszar. Szukano odpowiedzi na pytanie – co robić, jak skutecznie przeciwstawić się komunizmowi. Inspirowały książki, które wtedy się ukazywały, żywo dyskutowane w kręgu ojca Kłoczowskiego. Były nimi Aleksandra Sołżenicyna *Życie bez kłamstwa* oraz Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych*. Pierwsza wyraźnie wskazywała „miękkie podbrzusze” systemu, w które można skutecznie uderzyć. Chodziło o wyrzeczenie się kłamstwa w życiu publicznym, w komunizmie wszechobecnego. „Ten system bez przerwy kłamał, w gazecie, podręczniku historii, na plakacie, w sklepie, w uni-



Fot. ALPN

Klepsydra Stanisława Pyjasa, Kraków 1977 r.  
Na następnej stronie: Czarny marsz



Fot. AIPN



wersytecie, stale i wszędzie. Dla nas było oczywistym, iż należy się temu przeciwstawić” – podkreśla Liliana Batko.

„W pewnym momencie pojawiły się w naszym kręgu wydawnictwa emigracyjne; nie pamiętam, czy oryginały, czy maszynopisy. Być może przynosił je Paweł Kłoczowski. Największym przeżyciem była lektura Sołżenicynowskiego *Życie bez kłamstwa*. To była iluminacja, olśnienie! Potem inne, nieliczne, ale za to jakiej próby! Kołakowskiego *Tezy o nadziei i beznadziejności*. Przeglądęłam ten tekst znowu i wróciły emocje z tamtego czasu. Pamiętam kłopot z przedarciem się przez okropny, nudziarski, marksistowski jeszcze język: ale – co dla nas było ważne – Kołakowski pisał już »po ludzku«: »...ci, co liche swoje przywileje okupują tylko milczeniem w obliczu świństwa, na które mogą reagować, będą musieli za te same przywileje płacić rychło aktywnym udziałem w świństwie«. To zdanie zapamiętałam na zawsze” – dodaje Batko.

„Walcząc z kłamstwem, trzeba było poznać jednak prawdę, a to dawała działalność edukacyjna, oświatowa. Tak też odczytaliśmy wydane wtedy *Rodowody niepokornych*. Zresztą w czasie jednej z dyskusji Cywiński przyznawał, że jemu chodziło o pokazanie historycznego przykładu, ukazanie gleby, z jakiej wyrosła nasza niepodległość w 1918 roku. Aktywność oświatowa była dla mnie bardzo atrakcyjna i w pełni się w nią zaangażowałam, gdyż dawała nadzieję. To stwarzało szansę realnego działania, a jednocześnie pokazywało, że coś można osiągnąć, że coś od nas zależy” – tłumaczy Ruszar.

### Łączyły ich nie tylko lektury

Teksty te czytali wychowankowie ojca Kłoczowskiego i kontestatorzy z kręgów „Żaczka”, okreśłani mianem „anarchistów”. Łączyły ich nie tylko lektury i to, że byli młodzi – ale słuchali tej samej muzyki, wyróżniali się długimi włosami, nosili brody, chodzili w dżinsach, w wojskowych kurtkach, a ich zielonkawe chlebaki pełne były książek – również tych „zakazanych” – o wymiętych, kolorowych okładkach „Kultury” i szaro-białych tomów Instytutu Literackiego. Ich drogi przecinały się coraz częściej...

Tymczasem w lutym 1976 r. wprowadzono zmiany do konstytucji PRL, przeciwko którym protestowały nastawione opozycyjnie środowiska. „List 101” podpisał także o. Andrzej Kłoczowski z „Beczki”, w której dojrzewała myśl „wyjścia na zewnątrz”. Potrzeba „czynu” zbudziła się również w środowisku „anarchistów”. Po wprowadzeniu zmian do konstytucji PRL Stanisław Pyjas w rozmowie z ojcem tłumaczył: „Widzisz, jaka to demokracja czerwona. To czysty totalizm”. Wraz z kolegami postanowili coś zrobić. „Na polonistyce stworzyliśmy nieformalny – a więc nielegalny – klub dyskusyjny, w którym w gronie kilku osób spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach. Zdobyliśmy kilka książek – »nielegalnych« oczywiście – paryskiej »Kultury«, które wymienialiśmy między sobą i rozmawialiśmy na ich temat. Zastanawialiśmy się nad stworzeniem podziemnego pisma. To wystarczyło, aby SB dobrała się do nas” – wspominał Bronisław Wildstein.

Już 17 stycznia 1976 r. TW „Mietek” donosił, że m.in. książki Aleksandra Sołżenicyna: *Archipelag Gulag*, *Oddział chorych na raka* i *Krąg pierwszy* czytali „członkowie grupy »anarchistów«, którą sami tak określają, z polonistyki UJ w osobach: Maleszka, Pyjas, Wiltstein [sic!]”. W wyniku kolejnych informacji bezpieka do powyższej grupy zaliczyła jeszcze trzy osoby: Bronisława Maja, Adama Szostkiewicza, Bogdana Rudnickiego, i tak cała szóstka stała się obiektem działań SB w ramach sprawy „Optymiści”.

Tymczasem, jak ustalili esbecy, „członkowie grupy »anarchistów«” odbywali spotkania w prywatnych mieszkaniach, podczas których doszło nawet do „uzgodnienia form i możli-



wości działania mających w konsekwencji doprowadzić do rozruchów na wzór »rozruchów marcowych«. Zamierzali również zorganizować „tajną” bibliotekę wydawnictw emigracyjnych, wydawać pismo z zamiarem przemycania „negatywnych i wrogich” treści, a także kolportować w formie ulotek i gazetek niezależną literaturę. W środowisku studenckim rozpowszechniali wiadomości podawane przez Radio Wolna Europa oraz zawarte w wydawnictwach emigracyjnych. Planowali także nawiązać kontakt z poznańskim poetą Stanisławem Barańczakiem oraz warszawskimi opozycjonistami: Barbarą Toruńczyk i Adamem Michnikiem. Do rozpracowywania tej grupy wykorzystywani byli czterej TW: „Jarek” – następnie jako TW „Mietek”, „Krzysztof”, „Igor” i „Mirek”. TW „Igor” 2 kwietnia 1976 r., wspominając o „grupie Maleszki”, oceniał, że trzon tej grupy stanowią niewątpliwie sam Maleszka oraz Pyjas i Wildstein. Zaś funkcjonariusz, który przyjmował informację, podsumował ją następująco: „»Igor« ocenia ich jako fanatyków. Każdy z nich wyznaje jakąś filozofię. Wśród studentów znani są jako »święta trójca«. Prowadzący sprawę inspektor Wydziału III SB st. sierż. Szymon Misztal postanowił: „Celem niedopuszczenia do dalszej konsolidacji grupy oraz z uwagi na zamierzenia figurantów planuje się podjąć czynności zmierzające do przecięcia ich dalszej działalności i rozwiązania ww. grupy drogą profilaktyczną”. Postanowiono zatem przeprowadzić przeszukania mieszkań, a także wezwać studentów na „rozmowy ostrzegawcze”. Celowo SB nie wezwała osoby podejrzewanej przez kolegów o współpracę, a faktycznie niewinnej, co miało – zdaniem bezpieki – potwierdzić podejrzenia studentów wobec niej. Bezpieka wyznaczyła sobie „ewentualne pozyskanie jednego z członków grupy w celu poddania dalszej kontroli operacyjnej pozostałych członków grupy”. Studentów wezwano na rozmowy, które odbyły się 12 kwietnia 1976 r. To wtedy zwerbowany został jeden z nich, Lesław Maleszka, który przyjął pseudonim „Ketman”. Według funkcjonariuszy, którzy przeprowadzali te rozmowy, studenci prezentowali postawy hipisowsko-anarchistyczne. Przejawiało się to przede wszystkim w negacji wszelkiej władzy oraz organizacji społecznych i politycznych, instytucji porządkowych i ładu społecznego, a zwłaszcza systemu socjalistycznego. Obiektem ich ataków były instytucje cenzury, prawne i porządkowe, szczególnie zaś polityka kulturalna państwa. Domagali się absolutnej swobody słowa, wolności prasy i wydawnictw. Za głównych przywódców uznani zostali Pyjas i Wildstein.

Akcja protestów przeciwko zmianie konstytucji przyniosła ożywienie i integrację w wielu środowiskach opozycyjnych. W Krakowie przebiegała ona jednak bardzo powoli. Próba zebrania w maju 1976 r. przez braci Jana i Franciszka Drausów z Ryszardem Terleckim podpisów pod listem studentów warszawskich do Rady Państwa PRL, w obronie Jacka Smykała i Stanisława Kruszyńskiego, zakończyła się niepowodzeniem. W Warszawie zebrano ponad 700 podpisów, w Krakowie udało się znaleźć, głównie w środowisku „Beczki”, około 40 studentów, którzy podpisali się pod protestem – „List nie został jednak wysłany, gdyż po konsultacjach z ojcem Kłoczowskim uzgodniono, żeby nie wychodzić z tą inicjatywą na zewnątrz. Środowisko jest bowiem jeszcze zbyt słabe, aby narażać się na represje, z jakimi należało się liczyć” – tłumaczy Terlecki.

W czerwcu 1976 r. doszło do protestów w Radomiu i Ursusie. Cztery dni po tych wydarzeniach Maleszka złożył bezpiece donos, w którym informował, że Pyjas „ocenił decyzję o cofnięciu podwyżki cen jako wielką klęskę polityki obecnego rządu, zaś manifestacje, na których naród udzielił pełnego poparcia i kredytu zaufania dla rządu i partii – jako chwyt propagandy”, a także stwierdzał, iż „z pewnych wieloznacznych wzmianek można było wnioskować, że ma on zamiar rozpocząć po wakacjach próby tworzenia nowej grupy opozycyjno-politycznej”.

Studencki Komitet Solidarności dążył do przełamania monopolu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich na uczelniach i powołania niezależnej organizacji studenckiej. Członkowie SKS ujawnili i rozpoczęli walkę z kompromitującymi przepisami ograniczającymi dostęp do niektórych publikacji w Bibliotece Jagiellońskiej, uznanych przez dyrekcję za „wydawnictwa wrogie ideologicznie lub politycznie, propagujące rasizm, faszyzm, nawołujące do wojny lub pochwalające ją, nawołujące do szerzenia niepokoju publicznego, aktów sabotażu i terroru”. W takiej kategorii tzw. resów umieszczono m.in. książki: Kazimierza Wierzyńskiego, Marka Hłaski, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Leszka Kołakowskiego, Władysława Pobóg-Malinowskiego. Przeciwno takim praktykom działacze SKS buntowali społeczność akademicką, stworzyli własną bibliotekę i wydawnictwo. Rozwinęli szeroką działalność samokształceniową, zwołując niezależne wykłady i seminaria, na których prezentowano wiedzę usuniętą z programów i podręczników. Ujawniali dokumenty kompromitujące władze uczelni i organizowali przeciwko nim protesty, m.in. przeciw zarządzeniu rektora uniwersytetu uzależniającemu zgodę na otrzymanie paszportu od spełnienia kilku warunków, a wśród nich uzyskania pozytywnej opinii uczelnianej organizacji SZSP, czy przygotowanym przez Senat i Komitet Uczelniany PZPR kryteriom oceny pracowników naukowych. Zgodnie z nimi awanse były uzależnione od „postawy przyjętej w [...] kampanii ideowo-wychowawczej”. Studencki Komitet Solidarności stwierdzał, że podobne praktyki „jednoznacznie obrazują formy działań podejmowanych przez władze partyjne i administracyjne UJ celem prowadzenia zmasowanej kampanii indoktrynacji w społeczności uniwersyteckiej”.

SKS występował w obronie aresztowanych członków Komitetu Obrony Robotników. Organizował akcję zbierania podpisów w sprawie aktorów niezależnego Teatru Ōsmego Dnia z Poznania. Członkowie SKS wielokrotnie wyjeżdżali na Śląsk, aby kolportować ulotki i uczestniczyć w procesie Kazimierza Świtonia, wyjątkowo brutalnie represjonowanego za założenie pierwszego w Polsce Komitetu Wolnych Związków Zawodowych. Brali udział w głodówce w obronie oskarżonego na podstawie fałszywych zeznań Mirosława Chojckiego, członka KSS „KOR” i założyciela największego w sowieckim bloku niezależnego wydawnictwa. Inicjowali akcję solidarności z sądzonymi w Pradze działaczami Karty '77 i w niej uczestniczyli. W sierpniu 1980 r. wspierali niezależny ruch związkowy. W następnych miesiącach i latach współtworzyli Niezależne Zrzeszenie Studentów i NSZZ „Solidarność”.

Wydarzenia czerwca 1976 r. i powstanie Komitetu Obrony Robotników stały się kolejnym impulsem dla krakowskich studentów. Rozpoczęto zbieranie pieniędzy dla prześladowanych robotników, z Warszawy zaczęła docierać korowska „bibuła”. W tym czasie Bronisław Wildstein został wyrzucony ze studiów i – jak ustaliła bezpieka – 26 listopada 1976 r. spotkał się z Lilianą Batko, Zbigniewem Chrzanowskim, Janem Drausem, Ireną Felską, Bogusławem Sonikiem i Ryszardem Terleckim. Wspólnie ustalili napisanie odwołania do ministerstwa szkolnictwa wyższego i techniki, zorganizowanie na V roku filologii polskiej petycji protestacyjnej w jego obronie, opracowanie ulotek wzywających do strajku i bojkotu niektórych zajęć, a także opracowanie petycji solidarnościowych na innych wydziałach UJ. – „To Staszek Pyjas był pomysłodawcą i redaktorem listu protestacyjnego w tej sprawie. Bardzo ostrego listu, zaczynającego się od słowa »żądamy«, bo nie liczyliśmy na wiele

podpisów i chodziło raczej o upublicznienie naszej postawy. I to głównie Staszek podpisy zbierał. Podpisał prawie cały rok – blisko sto osób. W martwej ciszy tamtego czasu i przy oficjalnym rytuale ideologicznym, manifestacja taka miała znaczenie. Zostałem natychmiast przywrócony na studia, potem zawieszony” – zapamiętał Wildstein. Dla SB ważniejsza była jeszcze inna kwestia. „W trakcie spotkania ze strony Chrzanowskiego padła propozycja rozpoczęcia akcji zbiórki pieniędzy na rzecz tzw. Komitetu Obrony Robotników. W efekcie tego Wildstein, Pyjas Stanisław – student Filologii Polskiej UJ i Skiba Maria – studentka Wydziału Psychologii UJ – wyrazili chęć rozpoczęcia zbiórki pieniędzy po 1 grudnia br. Zebrane pieniądze mają przekazać na ręce Chrzanowskiego lub Terleckiego” – raportował ppłk Jan Bill. W następnych dniach studentów poddano represjom, byli zatrzymywani, straszeni. Nie zahamowało to akcji pomocy. „Poznawaliśmy innych, którzy również postanowili zaprotestować. Przepisywaliśmy komunikaty KOR i próbowaliśmy kolportować je jak najszybciej. Informowaliśmy ludzi. Tłumaczyliśmy wszystkim, którzy chcieli i nie chcieli słuchać (a tych drugich było znacznie więcej), że nie możemy być bezczynni” – dodaje Wildstein.

Studenci zredagowali list protestacyjny domagający się zbadania wszelkich przypadków łamania praworządności w Radomiu i Ursusie. W Krakowie podpisało się pod nim 517 osób, co było dużym sukcesem. Sam Pyjas namówił około setki studentów, którzy złożyli swe podpisy. „Staszek Pyjas chodził metodycznie po akademikach. Od pokoju do pokoju. Głównie dzięki niemu i jego kolegom z Miasteczka Studenckiego udało się nam zebrać ponad 500 podpisów. To najwięcej w Polsce. Jesteśmy dumni. Mniej dumna jest bezpieka; następują rewizje, przesłuchania, wezwania do dziekanów...” – podkreśla Bogusław Sonik.

## Zabójstwo

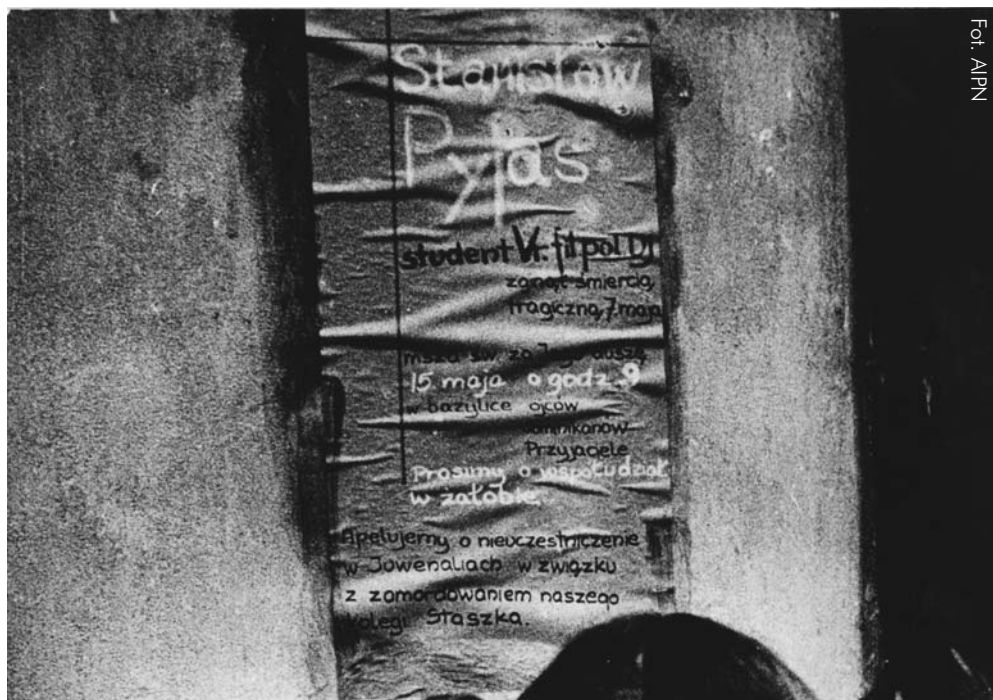
Stanisław Pyjas wyrastał na jedną z głównych postaci tego ruchu. Był stale obserwowany przez 8–12 tajnych współpracowników bezpieki. W kwietniu 1977 r. w warszawskiej centrali SB powstał dokument informujący, jak postępować ze studentami występującymi przeciwko władzy. Do Krakowa materiały dotarły z pismem przewodnim „Do wykorzystania w rozpracowaniu grupy Pyjasa”. MSW wyraźnie sugerowało, że w Krakowie był kimś ważnym w środowisku akademickim. Jego aktywność rzucała się w oczy, drażniła SB. Wszystkie kolejno stosowane wobec niego formy nacisku, od perswazji po bicie, zawodziły. Jego zachowanie podczas przesłuchań, gdy nic nie mówił, wywoływało szczególną agresję funkcjonariuszy. Pojawiły się groźby wyrzucenia ze studiów. Na rozmowę do rektoratu wezwano rodziców. Gdy jedne metody nie przynosiły efektów, sięgano po kolejne. Pod koniec kwietnia 1977 roku Pyjas i jego koledzy: Andrzej Balcerek, Bogusław Bek, Mieczysław Godyń, Lesław Maleszka i Bronisław Wildstein otrzymali anonimy. W wulgarny sposób sugerowano w nich współpracę Pyjasa z SB i wzywano do rozprawy z nim. Wszystkie miały podobny charakter: „Mam nieodparte dowody na to, że ten sk... o wyglądzie alfonsa ma przyjaciół na placu Wolności. Jaką masz pewność, że o tym, że przepisywałeś materiały KOR-u na wiadomej maszynie, nie wie SB. Przypomnij sobie, co jeszcze wie o Tobie ten gnój, a będziesz wiedział, co na Twój temat wie SB” – czytał w anonimie skierowanym do siebie Andrzej Balcerek. „Tępić takich sk... wszelkimi sposobami to naczelne zadanie chwili obecnej” – takie sformułowanie znalazło się w anonimie do Maleszki. „Ten adresowany do mnie ktoś podrzucił na wycieraczkę w »Żaczku«. Pierwszą myślą było – skontaktować się ze Staszkiem, ale on nie był wtedy w najlepszym nastroju” – przypomina sobie Bogusław Bek.

Treść anonimów nosiła charakter gróźb karalnych, stwarzając u ofiary poczucie zagrożenia życia i zdrowia, zatem miała znamiona przestępstwa z art. 166 kodeksu karnego

z 1969 r. – „Anonimy przychodziły już wcześniej. Oskarżały o współpracę, defraudację, alkoholizm. Sypały obelgami i groziły. Tym razem oskarżały Staszka, a oprócz niego przyszły do czterech (o tylu wiedzieliśmy) osób. I jeśli można to stopniować, były wyjątkowo plugawe. W potok rynsztokowych bluźgów i gróźb wpisana była doskonała wiedza o wielu naszych osobistych sprawach. Ta wiedza świadczyła, że ktoś obserwuje nas z bardzo bliska, i była czymś naprawdę nieprzyjemnym. To chyba Staszek wpadł na pomysł, że raz jeszcze można wykorzystać nasz »legalizm« i odwołać się do prawa, które przecież obiecywało nam obronę” – tłumaczy Wildstein.

Dlatego 28 kwietnia adresaci anonimów skierowali pismo do Prokuratury Rejonowej Kraków Podgórze, informując o popełnieniu przestępstwa. Nie wiedzieli, ale przypuszczali, że anonimy zostały napisane przez pracowników krakowskiej SB. Akcja ta nie przyniosła efektów, nadszedł czas na radykalniejsze działania. Po latach Liliana Batko zauważyła: „Pyjas był na pewno idealnym celem represji. Pochodził z małej wioski i w Krakowie mógł liczyć tylko na siebie i kilku kolegów. Nie miał zaplecza. My byliśmy związani z duszpasterstwem akademickim, więc niejako chronił nas Kościół. Inni mieli rodziny, znanych znajomych. On był sam”. Coraz bardziej osaczony i samotny w gąszczu esbeckich działań. Już nie pojechał na duże spotkanie w Gorce z udziałem działaczy z Warszawy.

Nazajutrz wczesnym popołudniem Pyjas wspólnie z Leszkiem Czarneckim, studentem II roku filozofii UJ, mieszkającym z nim w pokoju w „Żaczku”, oraz Janem Drausem poszli do piwiarni „Okrągłak” w parku Jordana. „Staszek cały czas mówił o anonimach i ostatniej rewizji u Bronka Wildsteina” – przypomina sobie Draus, który odprowadził go w stronę dworca kolejowego, skąd Pyjas poszedł do mieszkania Sonika przy ul. Floriańskiej. – „Przyniósł relację z ostatniej rewizji SB u Wildsteina i skargę do prokuratury. Miałem je przekazać do Warszawy, aby zostały wydrukowane w »Biuletynie Informacyjnym KOR-u«. Zamieniłem z nim kilka zdań i około 16.30 Staszek wyszedł, nie mówiąc, dokąd się udaje” – zapamiętał Sonik. Godzinę później Pyjas po raz ostatni widział w pobliżu „Żaczka” jego licealny kolega, Stanisław Pietraszko. Ten odniósł wrażenie, że Stanisław Pyjas z nieznanym mu mężczyzną idą na piwo do pobliskiej piwiarni „Pod Płachtą”, gdzie jego obecność potwierdził jeden z agentów SB, i to jest ostatni ślad żyjącego jeszcze studenta. Następnego dnia jego ciało znaleziono w bramie przy ul. Szewskiej 7.



Fot. ALPN

Studencki Komitet Solidarności powstał 15 maja 1977 r. Deklarację SKS, najważniejszej opozycyjnej inicjatywy powstałej w Krakowie w latach siedemdziesiątych, podpisało 10 studentów: Andrzej Balcerek, Wiesław Bek, Liliana Batko, Bronisław Wildstein, Józef Ruszar, Joanna Barczyk, Małgorzata Gątkiewicz, Bogusław Sonik, Elżbieta Majewska oraz Lesław Maleszka, który od ponad roku był konfidentem SB. Kilka miesięcy później Studenckie Komitety Solidarności powstały także w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Poznaniu, Szczecinie.

### **Oświadczenie o powołaniu Studenckiego Komitetu Solidarności, Kraków 15 maja 1977 r.**

7 maja br. zginął śmiercią tragiczną w niewyjaśnionych okolicznościach nasz kolega, student filologii polskiej oraz filozofii UJ Staszek Pyjas. Zmarły był człowiekiem o niezależnych i nonkonformistycznych poglądach. W ostatnim czasie życia czynnie współpracował z Komitetem Obrony Robotników. Śmierć ta głęboko wstrząsnęła opinią środowiska akademickiego nie tylko Krakowa, ale całego kraju [...].

W odpowiedzi na wstrząsający fakt zabójstwa zrodziła się wśród studentów krakowskich spontaniczna inicjatywa zbojkotowania imprez juwenaliowych. Żałoba studentów i mieszkańców Krakowa była niejednokrotnie naruszana przez funkcjonariuszy SB i SZSP. Między innymi zatrzymano i aresztowano wielu naszych kolegów biorących udział w żałobie, a nawet wielokrotnie dopuszczano się profanacji miejsc żałoby.

### **Tym samym SZSP stracił ostatecznie prawo moralne do reprezentowania środowiska studenckiego, w stosunku do którego wystąpił w roli policjanta.**

Dlatego z dniem 15 maja br. powołaliśmy Studencki Komitet Solidarności dla zainicjowania prac nad utworzeniem autentycznej i niezależnej reprezentacji studenckiej.

Studencki Komitet Solidarności oświadcza:

Okoliczności śmierci Staszka Pyjasa wymagają publicznego wyjaśnienia przez kompetentne organa władzy i pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej winnych zbrodni bez względu na to, jakie zajmują stanowisko.

Studencki Komitet Solidarności żąda ujawnienia i ukarania sprawców profanacji żałoby po Staszku.

Studencki Komitet Solidarności apeluje do wszystkich o poparcie i informacje na temat represji godzących w uczestników żałoby. Oświadczamy, że będziemy organizować samoobronę przed represjami.

**STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI SOLIDARYZUJE SIĘ Z KOMITETEM OBRONY ROBOTNIKÓW.**

Członkowie Komitetu upoważniają następujące osoby do reprezentowania stanowiska SKS: 1. Lesław Maleszka, Kraków, ul. Bławatkowa 6a

2. Andrzej Balcerek, Kraków, ul. Kwiatów Polskich 13

3. Liliana Batko, Kraków, ul. Grodzka 27/5

4. Elżbieta Majewska, Kraków (z listami do Wildsteina)

5. Małgorzata Gątkiewicz, Kraków, ul. Podmiejska 22

6. Bogusław Sonik, Kraków, ul. Floriańska 43/3a

7. Józef Ruszar, Kraków, ul. Tarnowskiego 8/1

8. Joanna Barczyk, Kraków, ul. Reymonta 75, DS 7, pok. 105

9. Wiesław Bek, Kraków, Al. 3 Maja, DS „Żaczek”, pok. 688

10. Bronisław Wildstein, Kraków, ul. Chocimska 3/3.

# SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

**„Chcemy tę władzę pozbawić władzy” – otwarcie deklarowali działacze „Solidarności Walczącej”. Zamiar ten starano się konsekwentnie realizować, dostosowując formy i metody walki do przyjętego celu. Tak powstała jedna z najważniejszych organizacji polskiej opozycji lat osiemdziesiątych.**

„Solidarność Walcząca” utworzyło na początku czerwca 1982 r. grono działaczy Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk, skupionych wokół szefa pionu propagandy RKS, Kornela Morawieckiego. Podstawową przyczyną było narastające od kilku miesięcy rozczarowanie polityką prowadzoną przez kierownictwo RKS pod przewodnictwem Władysława Frasyniuka. Do podstawowych kwestii spornych należały zmiana stanowiska przywódcy RKS w sprawie powołania scentralizowanego kierownictwa podziemia (Ogólnopolski Komitet Oporu), jego sprzeciw wobec organizowania manifestacji ulicznych oraz przywiązanie do pomysłu regularnego ogłaszania krótkotrwałych strajków, destrukcyjnie wpływających na zakładowe struktury związkowe. Z dużą niechęcią przyszłe środowisko „SW” odniosło się również do ugodowych tez Prymasowskiej Rady Społecznej z kwietnia 1982 r., akceptowanych przez główny nurt solidarnościowej konspiracji.

## Dlaczego walka

Pierwszym przejawem istnienia nowej struktury było pojawienie się na podziemnym rynku wydawniczym nowego pisma, zatytułowanego „Solidarność Walcząca”. Już na pierwszej stronie odpowiadano na zasadnicze pytanie „Dlaczego walka?”:

„– Aby zwyciężyć.

- Aby obronić najsłabszych i tych, którzy cierpią nędzę, głód i więzienie,
- Aby przywrócić zdeptane prawa obywateli i narodu,
- Aby nie dać się zniewolić,
- Aby być wiernym tradycji Ojców i Dziadów: »Za Waszą i naszą wolność«,
- Aby pokazać światu, iż zło i przemoc można i trzeba się przeciwstawić,
- Aby nie zatracać się w biernym oporze, lecz wspomagać go czynem,
- Aby doprowadzić do sprawiedliwej społecznej ugody,
- Aby dać świadectwo naszej godności,
- Aby żyć”.

Pierwszym sukcesem „SW” były manifestacje 13 i 26 czerwca 1982 r. Na wezwanie redakcji nowego pisma na ulice miasta wyszły tysiące wrocławian. Demonstracje przekształciły się w wielogodzinne walki uliczne, wznoszono barykady, niejednokrotnie zmuszając oddziały ZOMO do wycofania się.

## Powołanie i rozwój struktur

Z dniem 1 lipca powołano Porozumienie Solidarność Walcząca, tworzone przez środowiska skupione wokół pisma o tym tytule. Za podstawowy cel wybrano „walkę o Rzeczpo-



Kornel Morawiecki, po opuszczeniu kraju, z prezydentem RP Ryszardem Kaczorowskim

spolitą Solidarną”. Formuła porozumienia szybko okazała się niewystarczająca. Wkrótce, 11 listopada 1982 r., formalnie przekształcono je w scentralizowaną organizację.

Mimo że opuszczeniu RKS towarzyszyły spore emocje, starano się pożegnać po koleżeńsku. Redagowanie głównego organu wrocławskiego podziemia – „Z dnia na dzień” – przekazano nowej ekipie już w początkach maja 1982 r. Podziemnym drukarniom pozostawiono wolny wybór – drukowania nowego pisma, powielania nadal „Z dnia na dzień” lub też druku obu gazetek. Wiele osób niezbędnych dla funkcjonowania RKS na wyraźną prośbę Morawieckiego pozostało w dotychczasowej strukturze.

Po okrzepnięciu wrocławskich struktur organizacji zaczęto myśleć o jej rozszerzeniu na inne miejscowości. „Solidarność Walcząca” przyciągała działaczy podziemia, poszukujących skutecznych metod walki z systemem komunistycznym, w wielu wypadkach rozczarowanych umiarkowaną polityką liderów związku. Jako pierwsze zaczęły powstawać komórki „SW” na Dolnym Śląsku i pogranicznych obszarach sąsiednich regionów. Przeważnie były to jednak struktury o charakterze kolportażowym. Pierwszy oddział „Solidarności Walczącej” powołano w październiku 1982 r. w Katowicach. Jego liderem był Sławomir Bugajski, z czasem wiodącą rolę zaczęła odgrywać Jadwiga Chmielowska. Wydawano dwa pisma – „Wolni i Solidarni” oraz „Podziemny Infomator Katowicki”. W tym samym czasie utworzony został oddział lubelski, którego aktywność osłabła jednak w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

Również w 1982 r. powstały pierwsze struktury „SW” w Gdańsku, choć okazały się one nietrwałe. Ostatecznie gdański oddział organizacji utworzono pod koniec 1984 r. Kierowali nim Ewa Kubasiewicz i Andrzej Kołodziej. Publikowano własną edycję „Solidarności Walczącej”, z czasem także inne pisma. Inicjatorem powołania oddziału poznańskiego „SW” był Maciej Frankiewicz, wsławiony brawurowymi ucieczkami z aresztu. Oddział powstał we wrześniu 1983 r., aczkolwiek już wcześniej nawiązano kontakty z Wrocławiem. Oprócz własnej „Solidarności Walczącej” wydawano także liczący się periodyk „Czas kultury”.

W 1984 r. powołany został oddział rzeszowski „SW”, którego organem była „Galicja”. Niestety, jego liderzy (Antoni Kopaczewski, Andrzej Kucharski i Janusz Szkutnik) szybko otoczeni zostali przez liczne grono agentów SB; oddział ten był jedyną istotną strukturą „SW” spenetrowaną przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Najprawdopodobniej działalności SB przypisać należy także powołanie efemerycznego oddziału w Pile. Prowokacja została jednak szybko zdemaskowana.

W początkach 1986 r. powstał oddział „Solidarności Walczącej” w Szczecinie. Utworzyła go grupa osób wydających wcześniej pismo „Jedność”, skupiona wokół Krzysztofa Korczaka. Wkrótce rozpoczęto edycję nowego periodyku, zatytułowanego „Gryf”. W tym samym roku Marianna Błaszczak (obecnie Samlik) oraz Elżbieta Mossakowska powołały niewielki oddział toruński, również i ta struktura wydawała własną „Solidarność Walcząca”.

W wielu innych miastach do 1989 r. nie doszło do powołania oddziałów „SW”, aczkolwiek istniały w nich struktury organizacji. W Warszawie od 1985 r. tworzył je Adam Borowski, radykalny działacz Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”, owiany legendą uwolnienia aresztowanego Jana Naroźniaka. Skupiał się przede wszystkim na działalności wydawnictwa „Prawy Margines”. W Krakowie zwolennicy „SW” gromadzili się wokół pisma „Solidarność zwycięży” (później „Solidarność Walcząca zwycięży”). W Łodzi liderami grupy „SW” byli Włodzimierz Domagałski i Włodzimierz Strzemiński. Komórki „Solidarności Walczącej” istniały także w innych miastach, m.in. w Koninie, Kaliszu, Jeleniej Górze, Opolu, Częstochowie, Kielcach, Wałbrzychu. Gwałtowny rozwój organizacyjny „SW” nastąpił w 1989 r.



## Dla Rzeczypospolitej Solidarnej

Aby zostać członkiem „SW”, należało w obecności świadków złożyć przysięgę następującej treści: „Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas – a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami. Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania”. Jednakże działalność w „Solidarności Walczącej” była możliwa także i bez złożenia przysięgi. W latach 1987–1988 Służba Bezpieczeństwa szacowała, że organizacja skupia około 500 zaprzysiężonych członków i 1100 aktywnych sympatyków. Dane te są trudne do weryfikacji, zważywszy z jednej strony na fakt głębokiej konspiracji wielu struktur, a z drugiej na zniszczenie znacznej części dokumentów dotyczących „SW”.

Działalnością organizacji kierowała Rada, złożona z kilkunastu osób. Decyzje podejmowano większością dwóch trzecich głosów. Większość członków Rady nadzorowała jednocześnie poszczególne pionory organizacji. Po fali aresztowań w 1984 r. powołano również węższe ciało – Komitet Wykonawczy. Potrzeba taka wynikała m.in. z tego, że szeroki skład Rady prowadził niekiedy do paraliżu decyzyjnego lub też niekończących się dyskusji. Dominującą pozycję w „Solidarności Walczącej” miał jednak jej przewodniczący – Kornel Morawiecki. Siłą swojego autorytetu rozstrzygał pojawiające się spory, a wiele decyzji podejmował jednoosobowo. Ważną rolę odgrywały także spotkania przedstawicieli oddziałów z reprezentantami wrocławskiej „centrali”. Mimo przestrzegania zasad hierarchii, każda z grup i komórek „SW” zachowywała dużą autonomię.

Od początku istnienia „SW” jedną z głównych dziedzin jej działalności była aktywność wydawnicza, prowadzona głównie pod szyldem Agencji Informacyjnej „Solidarności Walczącej”. Łącznie w latach 1982–1989 publikowano około stu tytułów własnych pism. Dominowały wśród nich organy poszczególnych struktur regionalnych (z czasem także zakładowych), od początku towarzyszyły im jednak periodyki o „poważniejszym” charakterze, publikujące szersze teksty na tematy polityczne, ideowe, kulturalne. Oprócz wspomnianego wcześniej „Czasu kultury” był to przede wszystkim wychodzący od 1979 r. „Biuletyn Dolnośląski”. Głównym organem była wrocławska „Solidarność Walcząca”, drukowana w wielu ośrodkach z matryc dostarczanych ze stolicy Dolnego Śląska. Jej przeciętny nakład wynosił 20 tys. egzemplarzy.

Od samego początku „Solidarność Walcząca” była również obecna w eterze. Pierwsze przygotowania poczyniono jeszcze w okresie pracy w RKS. Próbną audycję, o bardzo ograniczonym zasięgu, wyemitowano już 27 czerwca 1982 r. Kolejne nadawano w odstępach tygodniowych. Do września realizowała je ekipa Romualda Lazarowicza, następnie pracami kierował Krzysztof Tenerowicz, a od 1984 r. Jan Krusiński. Nadajniki konstruowano we własnym zakresie, z czasem także przy wykorzystaniu części nadsyłanych z Zachodu. Łącznie nadano setki audycji. Realizowano je także poza Wrocławiem, a najsilniejsze ośrodki „SW” otrzymywały własne nadajniki.

## Eksport kontrrewolucji

Ponieważ zdawano sobie sprawę, że niemożliwe jest obalenie systemu komunistycznego tylko w jednym kraju, podejmowano liczne działania zmierzające do „eksportu kontrrewolucji” do innych państw bloku sowieckiego, a także do samego „Kraju Rad”. Już pod koniec 1983 r. zaczęto wydawanie pisma w języku czeskim pt. „Opinie”. Zawierało ono tłumaczenia artykułów z polskiej prasy niezależnej. Z czasem zmieniono jego tytuł na „Názory” oraz



Manifestacja „Solidarności Walczącej”, 1989 r.

WINIE ZIEM...  
...BY KORYCIE



ERCA JARU

IGDY PREZ

Solidar



poprawiono jakość słabych z początku tłumaczeń. Od połowy lat osiemdziesiątych zorganizowano przerzut oraz wysyłkę wydawnictw za wschodnią granicę (w językach białoruskim, rosyjskim i ukraińskim). Kolportowano je także w sowieckich garnizonach. Początkowo były to głównie ulotki, z czasem również broszury (np. przełożono na rosyjski *Małego konspiratora*). Mniejszy zasięg miały akcje skierowane na Węgry.

Działalność na Wschodzie nabrała tempa po utworzeniu na przełomie 1987 i 1988 r. Wydziału Wschodniego „Solidarności Walczącej”, w którym aktywnie działali Jadwiga Chmielowska i Piotr Hlebowicz. Stopniowo nawiązywano kontakty z organizacjami i pojedynczymi osobami działającymi na rzecz niepodległości swoich narodów. Z czasem oprócz „bibuły” zaczęto także dostarczać sprzęt poligraficzny. Ułatwiano pierwsze kontakty władz polskich z wybijającymi się na niepodległość dawnymi republikami sowieckimi. Od końca 1990 r. działalność tę prowadzono w ramach współtworzonego przez „SW” Centrum Koordynacyjnego Warszawa '90.

### Zasady ideowe i konspiracyjne „BHP”

Mysł polityczna i program „SW” kształtowały się stopniowo. Od samego początku pojawiło się kilka generalnych zasad: odrzucenie systemu komunistycznego, dążenie do jego obalenia, a nie reformy (przy wykorzystaniu wszelkich dostępnych metod, w razie potrzeby także walki zbrojnej), pragnienie odzyskania niepodległości i budowy wolnej, demokratycznej Polski – Rzeczypospolitej Solidarnej. Ostateczny kształt *Zasady ideowe i program „Solidarności Walczącej”* zyskały w czerwcu 1987 r. Przewidywano w nich rychły upadek systemu komunistycznego, proroczo brzmią dzisiaj słowa: **„Po wyrwaniu się z komunizmu nie od razu zapanuje dobrobyt. Czeką nas pot i mozół. Nie na wiele będzie nas stać. Satysfakcję materialną osiągniemy po czasie, ale prędkiej radości dostarczy nam sensowna, dobrowolna praca dla siebie i dla Polski”**.

Bardzo ważną rolę w przetrwaniu „SW” odgrywała kwestia ścisłego przestrzegania zasad konspiracji. Działacze organizacji byli szkoleni w zakresie przestrzegania reguł konspiracyjnego „BHP”, a także uczono ich np. prowadzenia samoobserwacji, gubienia esbeckich „ogonów”. Długotrwałe ukrywanie się niektórych działaczy możliwe było dzięki ofiarności właścicieli mieszkań i budowie skutecznego systemu „śluz”. Dzięki niemu bezpieka, podążając np. za łącznikiem, nie była w stanie wykryć miejsca spotkania z Morawieckim lub inną osobą. Konsekwentnie prowadzono, zapoczątkowaną jeszcze w okresie aktywności w RKS, działalność kontrwywiadowczą. Opierała się ona przede wszystkim na systematycznym i nieprzerwanym nasłuchu aktywności SB i MO w eterze (zob. artykuł P. Serwadczaka w tym numerze „Biuletynu”). Stosowano także własną obserwację, zmierzającą do wykrycia faktu inwigilacji poszczególnych osób i miejsc. Podejmowano próby rozpracowania poszczególnych funkcjonariuszy SB, informacje uzyskiwano również od „podwójnych agentów” – osób zwerbowanych przez bezpiekę za wiedzą i zgodą organizacji. Działalność kontrwywiadowcza znacząco utrudniała poczynania SB, przyczyniła się do sparaliżowania wielu jej działających, a nawet do zdekonspirowania części agenty.

Stąd też SB nie mogła pochwalić się zbyt wieloma sukcesami w walce z „Solidarnością Walczącą”. Jedyne poważniejsze informacje na temat struktury, składu osobowego itp. uzyskano po załamaniu się pojedynczych osób w śledztwie. Po raz pierwszy zdarzyło się to na przełomie 1983 i 1984 r., kiedy aresztowano jednego z ważniejszych działaczy organizacji. Nie wytrzymał stosowanych metod śledztwa i podał SB wiele szczegółów dotyczących struktury „SW” oraz danych jej członków. Przyczyniło się to do wielkiej fali aresztowań, które jednak

nie doprowadziły do sparaliżowania działalności. Po amnestii z lipca 1984 r. wiele z aresztowanych osób powróciło do działalności podziemnej mimo nieustannej inwigilacji. Drugi taki przypadek miał miejsce latem 1986 r., kiedy to załamał się jeden z aresztowanych działaczy pionu druku i kolportażu. Podał bezpiece wszystkie posiadane przez siebie informacje, które znacząco poszerzyły stan wiedzy funkcjonariuszy resortu. Mimo licznych podejmowanych prób, nie udało się wprowadzić agentury do kierownictwa organizacji.

### **Aresztowanie i deportacja przywódców**

Największy sukces w walce z „Solidarnością Walczącą” SB odniosła 9 listopada 1987 r., kiedy aresztowano Kornela Morawieckiego i Hannę Łukowską-Karniej. Nie był to jednak wynik misternej operacji wywiadowczej, lecz żmudnej obserwacji dziesiątek miejsc, w których mógł się pojawić Morawiecki. Złamał on niestety przestrzegane dotychczas z żelazną konsekwencją zasady konspiracji i pojawił się w „spalonym”, namierzonym ponad rok wcześniej przez bezpiekę mieszkaniu. Po ujęciu Morawieckiego na czele organizacji stanął Andrzej Kołodziej. Gdy i on został aresztowany, Komitetem Wykonawczym kierowała Jadwiga Chmielowska.

Ponieważ nie udało się wytoczyć liderom „SW” zaplanowanego wcześniej procesu z oskarżeniem o terroryzm, władze PRL podstępem deportowały ich na Zachód. Po kilku miesiącach Kornel Morawiecki powrócił jednak do kraju i ponownie stanął na czele organizacji.

### **„Okrągły stół” i marginalizacja**

„Solidarność Walczącą” nie zaakceptowała rozmów z komunistami, prowadzonych wpieryw w Magdalence, później przy „okrągłym stole”. Wychodzono z założenia, że tylko odwlekają one nieuchronny upadek totalitarnego systemu, oznaczają rezygnację z demokratycznych ideałów (ugoda za plecami społeczeństwa). Za wielkie zagrożenie uznawano ustanowienie stanowiska prezydenta, przeznaczonego dla gen. Jaruzelskiego, a wyposażonego przy tym w szerokie kompetencje. Wezwano do bojkotu wyborów z 4 czerwca 1989 r., a do tych, którzy zamierzali w nich uczestniczyć, apelowano o skreślanie wszystkich kandydatów reżimu. Podstawowym hasłem licznie organizowanych w tym czasie manifestacji było odsunięcie gen. Jaruzelskiego od władzy oraz rozpisanie wolnych wyborów. Mimo to powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego powitano z ograniczoną nadzieją. Kornel Morawiecki życzył premierowi w liście otwartym, aby pod jego rządami „zdecydowanie rozszerzyła się przestrzeń wolności”.

W 1990 r. stopniowo odchodzono od działalności konspiracyjnej. W początkach lipca ujawnił się Kornel Morawiecki, rozpoczęto legalną działalność polityczną w ramach „Partii Wolności”. Została ona jednak bardzo szybko zmarginalizowana. Start Morawieckiego w wyborach prezydenckich uniemożliwił fakt, że w ostatniej chwili przed rejestracją jego kandydatury w niewyjaśnionych okolicznościach „zaginęła” część zebranych podpisów.

\* \* \*

„Solidarność Walczącą” była w latach osiemdziesiątych drugą, po strukturach podporządkowanych TKK (a potem KKW), strukturą konspiracyjną w skali ogólnopolskiej. Opierała się na poświęceniu setek osób, które wytrwale i konsekwentnie działały na rzecz obalenia systemu komunistycznego w Polsce. Ich walka została w dużej mierze zapomniana, a rola samej organizacji po 1989 r. niejednokrotnie była dyskredytowana. Po 25 latach „Solidarność Walczącą” zaczyna wychodzić z cienia.

# KULISY KONTRWYWIADU „SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ”

**Działania kontrwywiadowcze „Solidarności Walczącej” sięgają swoimi korzeniami do doświadczeń lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Podziemna aktywność wydawnicza środowiska „Biuletynu Dolnośląskiego” musiała budzić stosowne zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa i właśnie wtedy przyszedł założyciel i przewodniczący „Solidarności Walczącej” – Kornel Morawiecki – miał możliwość poczynić pierwsze obserwacje dotyczące metod i technik pracy tajnych służb, sposobów śledzenia oraz inwigilacji działaczy opozycji.**

## Od „Harcerza” do „Ośmiornicy”

Później – w latach osiemdziesiątych – podzielił się swoją wiedzą z Hanną Łukowską-Karniej, która dzięki otrzymanym informacjom, przy współpracy z Janem Pawłowskim, pomogła rozszyfrować stosowany przez SB slangowy język komunikacji radiowej – tzw. fosy. Umiejętność rozumienia zaszyfrowanej specjalnym slangiem oraz kodami cyfrowymi komunikacji radiowej, jaka towarzyszyła pracy służb inwigilujących opozycję (tzw. Wydział „B” Służby Bezpieczeństwa), stała się kamieniem milowym kontrwywiadu radiowego „SW”.



Fot. Rafał Witeczok

„Kamień” – plac Kościuszki (rondo, na środku którego znajduje się pomnik... do dziś z kotwicą „Solidarności Walczącej”)



Profesjonalna antena mobilna typu 5/8 do pracy radiotelefonicznej w paśmie MSW (164–167 MHz)

MSW

Paśmie pracy

I) 148 025 kHz do 150 000 kHz 55 kanały  
 II) 164 525 kHz do 167 475 kHz 115 kanały  
 III) 172 025 kHz do 173 475 kHz 75 kanały  
 IV) 450 425 kHz do 451 475 kHz 40 kanały  
 V) 460 025 kHz do 461 075 kHz 85 kanały

Obszary międzykanałowe 25 kHz

Modulacja FM z mod. sterującą 5 kHz

Moce nadajników

Paśmo I → (P)  
 Paśmo II do 40 W  
 Paśmo III do 25 W  
 Paśmo IV do 10 W  
 Paśmo V do 10 W

Czułość odbiorników 1 μV

dyktando

Paśmo I → SB(?)  
 - II SB  
 - III MO (dominacja, przepłata, minimalna, 20 MO)  
 - IV SB i Bioro Odwony Rząd  
 - V SB i MO Azw, paśmo sterowania wg schematu.

Odrębna notatka – raport o pasmach częstotliwości radiowych oraz parametrach sprzętu (limity mocy nadajników i czułość odbiorników), wykorzystywanych przez MSW.

Źródło: Archiwum Kontrywiadu „SW”.

Zmianę w podejściu SB zarówno do samego Kornela Morawieckiego, jak i kierowanej przez niego organizacji dobrze oddają kryptonimy działań podejmowanych przez MSW. Sprawa Operacyjnego Rozpracowania „Harcerz” skierowana przeciwko Morawieckiemu została założona 19 czerwca 1980 r. przez III Wydział KW MO we Wrocławiu, natomiast kilka lat później ogólnokrajowemu rozpracowaniu „Solidarności Walczącej”, tzw. sprawie kontrolnej, nadano kryptonim „Ośmiornica”. Od roku 1980 do 1 stycznia 1987 r., kiedy powołano terenową ekspozyturę Biura Studiów we Wrocławiu – tzw. Inspektorat 2 WUSW specjalnie do celów zwalczania „SW”, minęło niecałe 7 lat. W tym czasie „Solidarność Walcząca” stała się organizacją skutecznie broniącą się przed infiltracją SB oraz prowadzącą działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze przeciwko służbom PRL w kraju i za granicą. Lekceważący wydźwięk kryptonimu „Harcerz” zastąpiła więc złowrogo brzmiąca „Ośmiornica” – podzielona aż na siedem grup zadań operacyjnych.

### Nasłuch radiowy

Do dziś nikt z działaczy „SW” nie potrafi wyjaśnić, skąd się wzięła „fosa” i od kiedy SB zaczęła jej używać. Tej nazwy-kryptonimu używali esbecy w eterze, kiedy chcieli zdyscyplinować co bardziej gadatliwych funkcjonariuszy. „Mów fosą – nie normalnie” – czasami można było usłyszeć w trakcie nasłuchu radiowego, gdy któremuś z esbeków zdarzało się przekazać jawną, niekodowaną informację.

Slang radiowy SB był dosyć intuicyjny, silnie kontekstowy – niektóre słowa zmieniały znaczenie w zależności od sytuacji. Słownictwo nie było zamknięte i często adaptowane *ad hoc* do lokalnych potrzeb. Dla osoby dobrze znającej miasto jednak odgadnięcie niektórych „kryptonimów” czy nawet kontekstowego żargonu i całego „języka kodowego »fosak«” było kwestią czasu spędzonego przy nasłuchu. Jaki był zatem sens stosowania slangu?

„Fosa” była swoistą podstawową „fortyfikacją” obroną SB, pierwotnie opracowaną jako pierwsza linia obrony przeciwko działaniom kontrwywiadowczym obcych państw. Zapewniała ochronę zapobiegającą zrozumieniu korespondencji radiowej przez obcokrajowców, dla których polszczyzna jest językiem wyuczonym.

Wprowadzenie stanu wojennego i zmiana proporcji w zainteresowaniach wydziału obserwacyjnego „B” spowodowały, że głównym obiektem śledzenia stali się rodzimi działacze opozycji, a nie obcokrajowcy czy pracownicy zagranicznych placówek dyplomatycznych. Dlatego skuteczność używania „fosy” przeciwko rodakom, naturalnie posługującym się językiem polskim, była mniejsza i w zasadzie sprowadzała się do ukrytego znaczenia kodów cyfrowych, numeracji kwadratów (na mapach) czy kryptonimów obiektów. Te jednak można było złamać, jak udowodnił to nasłuch radiowy „SW”.

### Metody inwigilacji

Taktyczna przewaga, jaką dawała Służbie Bezpieczeństwa łączność radiowa, niezbędna przecież do koordynacji działań, była jednocześnie swojego rodzaju piętą achillesową, ułatwiającą rozpoznanie „ogona”, przynajmniej w pierwszym okresie obserwowania opozycji.

Jednak wraz z upływem czasu, rozwojem podziemia i rozpracowywaniem technik działania SB przez kontrwywiad „SW” metody SB ulegały modyfikacji i doskonaleniu: poszerzono park samochodowy – pojawiły się nowe auta, w różnej kolorystyce (najczęściej szare, ale były też zielone), z samochodów zaczęły znikać charakterystyczne antenki, zresztą samochody prywatne nie były wyposażone w radiotelefony, a funkcjonariusze używali stacji przenośnych.





Fot. Rafał Witczak

Radiotelefon nasobny Radmor R4438 NO\2. Specjalna konstrukcja – tzw. kamuflak – przeznaczona dla funkcjonariuszy SB (wg niektórych relacji wykorzystywana jeszcze przez UOP na początku lat dziewięćdziesiątych).

Od lewej: manipulator pozwalający włączyć i wyłączyć radiostację, ustalić siłę głosu oraz przełączyć w stan nadawanie – odbiór, mikrotelefon przeznaczony do zapięcia w kieszeni na wysokości piersi, zbudowany z wkładki słuchawkowej umieszczonej w plastikowej tubie akustycznej zmieniającej kierunek emisji dźwięku, obudowa radiotelefonu z dołączonym akumulatorem, anteny: powyżej w wykonaniu specjalnym: krótka, kamuflażowa i obok dla porównania standardowa antena helikalna stosowana w radiotelefonach patrolowych.

Radiotelefony takie noszone były na specjalnej uprzęży – na plecach lub z tyłu na pasku od spodni. Stąd określenie: stacja nasobna.

Istniały także inne przesłanki ułatwiające rozpoznanie obserwacji: „dużo” osób w samochodach (najmniej dwie, często więcej), zwłaszcza zaparkowanych, na postoju. Funkcjonariuszy przemieszczających się na piechotę było wielu i trudniej ich było rozpoznać i zapamiętać, szczególnie gdy zmieniali swój wizerunek. Zależało to od indywidualnych predyspozycji „pacjenta” (osoby obserwowanej) i od staranności zespołu prowadzącego obserwację. Ale kierowcy w samochodach pozostawali ciągle ci sami, a samochodów w porównaniu z liczebnością zespołu tajniaków było stosunkowo niewiele. Stąd zapamiętać i rozpoznać kierowców było dużo prościej. Ponadto kilka „paczek” (osób) w samochodzie rzucało się w oczy zwłaszcza w czasie postoju „karetki”, a jesienią, zimą i wiosną takie auto z obsadą miało albo zaparowane szyby, albo regularnie włączany był w nim silnik w celu podgrzania auta. Tak czy inaczej, podobne auta rzucały się w oczy i nawet niewprawny konspirator mógł rozpoznać i wyróżnić samochód z „obstawą”.

### **Metody analityczne „SW”**

Najwcześniejsze doświadczenia z drugiej połowy lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych, zebrane przez Kornela Morawieckiego i przekazane Hannie Łukowskiej-Karniej, pozwoliły już po wprowadzeniu stanu wojennego i rozpoczęciu nasłuchów radiowych przez Regionalny Komitet Strajkowy „S”, a następnie przez „SW”, analizować i tłumaczyć komunikację radiową szyfrowaną „fosa”. Prekursorem tej analizy i szczegółowego zbierania wszelkich informacji o pracy SB był jeszcze w okresie RKS Jan Pawłowski (Jan Gajos) – późniejszy szef nasłuchu i kontrwywiadu „SW”. Wspólnie z Hanną Karniej, która „ciągnęła” za sobą „ogon”, analizował następnie odtworzoną na podstawie jej relacji trasę przemieszczania się i odsłuchując nagrane wcześniej rozmowy, dopasowywał je do działań zespołu SB prowadzącego obserwację. Metodą żmudnej analizy i dedukcji zostały złamane w ten sposób numery kodowe typowych i powtarzalnych czynności, a także rozszyfrowano wrocławskie kryptonimy i lokalizacje, takie jak „Tawerna”, „Apteka”, „Szary”, „Biały”, „Długa”, „Kopyto” itd. Najwięcej trudności sprawiało rozszyfrowanie używanego przez SB systemu oznaczania lokalizacji za pomocą kwadratów. Przyczyną były najprawdopodobniej okresowe zmiany systemu ich numerowania. Kiedy Pawłowski usłyszał w eterze, że ktoś z zespołu obserwacji SB zgubił notes kodowy, szybko udał się we wskazane drogą radiową przez esbeków okolice, gdzie mogło to się zdarzyć. Oprócz innych poszukiwaczy, samego notatnika nie udało się odnaleźć. Jedynym pocieszeniem był fakt, że prawowici właściciele notatnika też go nie odzyskali.

Natomiast w schyłkowym okresie PRL, pod koniec lat osiemdziesiątych, już po aresztowaniu Morawieckiego, można było zaobserwować wyraźne rozluźnienie dyscypliny w rozmowach prowadzonych przez SB w eterze. Wrocławska SB zaczęła m.in. stosować system lokalizacji kwadratów oparty na współrzędnych standardowego planu miasta. Im później, tym rozluźnienie dyscypliny było większe – do tego stopnia, że zdarzało się, iż w eterze padały nawet... nazwiska pracowników resortu.

To właśnie znajomość technik obserwacyjnych i sposobów działania wydziału obserwacji SB, jakie otworzyły się przed zespołem Pawłowskiego po złamaniu „fosy”, stanowiły – oprócz przestrzegania zasad konspiracji – drugi ważny fundament bezpieczeństwa w prowadzonej działalności podziemnej. Dzięki podsłuchowi rozmów prowadzonych przez SB uświadomiono sobie, jak trudno jest skutecznie i faktycznie zgubić „ogon”, kiedy kogoś śledzi kilka samochodów i kilkunastu tajniaków. „Epizody nasłuchowe” podczas prób nawiązania kontaktów udawały już wtedy, że infiltracja podziemia agenturą była nie tylko potencjalnym zagrożeniem, ale faktem dokonany.

Gdyby pokusić się o ocenę generalną, to na podstawie zachowanych w archiwach i udostępnionych do tej pory przez IPN dokumentów można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że SB miała znacznie mniej wiedzy na temat działania „SW” (sposobów podejmowania decyzji w organizacji, funkcjonowania operacyjnego drukarni, kolportażu czy Radia SW itp.), niż „Solidarność Walcząca” wiedziała o metodach pracy SB.

### Skuteczność nasłuchu

Na skuteczność przestrzegania zasad konspiracji oraz ich efektywność można patrzeć z ówczesnej perspektywy – przez pryzmat zaistniałych „wpadek”, a także z perspektywy dziś dostępnych archiwaliów. „Solidarność Walcząca” była organizacją podziemną, w której nacisk kładziono na przestrzeganie „konspiracyjnego BHP”, odwołując się m.in. do tradycji Armii Krajowej. Ciekawą innowacją konspiracyjną było przypisanie pseudonimów do funkcji pełnionej w organizacji, a nie do konkretnych osób. Był to jeden z zasadniczych mechanizmów obronnych uniemożliwiających rozpracowanie organizacji przez III Wydział SB. Dopiero eskalacja działań SB i zaangażowanie do rozpracowywania „SW” elity resortu, Biura Studiów SB, doprowadziły do ujawnienia tej metody i zasady funkcjonowania tzw. pseudonimów przechodnich. W zasadzie obie metody korzystania z pseudonimów (przypisanie do funkcji i tradycyjne przypisanie do osoby) funkcjonowały równolegle, co tym skuteczniej niweczyło i utrudniało działania pracowników MSW, którzy długo nie wpadli na pomysł dynamicznego znaczenia pseudonimów, a co dopiero – na pomysł stosowania „podwójnego” sposobu identyfikacji osób. Z dzisiejszej perspektywy, dzięki przechowywanym w IPN materiałom i informacjom na podstawie zachowanych archiwaliów MSW, wiadomo, że praca operacyjna SB – uzyskiwanie informacji i dezintegracja środowisk opozycyjnych – oparta była głównie na działaniach agentury, a nie na wysokim poziomie analizy dostępnych informacji.

Zupełnie inaczej rzecz się miała w przypadku działań kontrwywiadowczych „SW”, które były oparte właśnie na bardzo wysokim poziomie analitycznym. Wykorzystywano wszelką dostępną wiedzę o metodach i działaniu aparatu represji zarówno z przeszłości (działalność MBP w okresie powojennym, np. prowokacja z V komendą WiN), jak i z bieżących „wpadek” szeroko rozumianej opozycji.

„SW” wiedziała o SB wiele, np. „rozpracowała” miejsce pracy, gdzie oficjalnie zatrudnieni byli tajni funkcjonariusze wrocławskiej SB, których zadania wymagały zachowania w tajemnicy jakichkolwiek związków z „firmą”. We Wrocławiu przykrywkę dla tajniaków pracujących w konspiracji dla MSW zapewniała Spółdzielnia Pracy „Plecionka” przy ul. Legnickiej. Ale największym i najlepszym źródłem wiedzy o samej SB oraz o metodach i technikach i pracy był właśnie nasłuch radiowy.

O tym, jak poważnie SB zaczęła traktować wywiad radiowy „SW”, świadczy fakt, że „łapance” SB na Kornela Morawieckiego, a następnie jego aresztowaniu towarzyszyła na częstotliwościach SB cisza radiowa, z rzadka przerywana regularnymi, co godzinę mniej więcej powtarzaniem komunikatami cyfrowymi, które miały najprawdopodobniej potwierdzać gotowość zespołu obserwacyjnego. W tym czasie raz tylko użyto nienumerycznego kryptonimu „Lotnisko” – który oznaczał akcję wywiezienia Morawieckiego z Wrocławia. Do dziś wszyscy zaangażowani w nasłuchy radiowe SB: Andrzej Kołodziej, Hanna Łukowska-Karniej, Ludwika Ogorzelec, ale też Morawiecki, wspominają, że okresy ciszy radiowej, z rzadka przerywane krótkim szczękiem ledwie zrozumiałych liczb, były najtrudniejszymi

momentami w ich działalności konspiracyjnej. Niechybnie oznaczały zaciskanie się matni wokół jakiejś namierzonej przez SB ofiary. Okresy te charakteryzowało nieznośne, rosnące z upływem czasu napięcie i oczekiwanie, czy to przypadkiem nie na podsłuchujących poluje esbecja. A czekać przychodziło nieraz kilka dni. Najgorsze więc było oczekiwanie ze świadomością, że kogoś na pewno aresztują, a nic nie można zrobić, nikogo ostrzec, bo brak korespondencji oznaczał brak informacji. Andrzej Kołodziej wspomina, że najchętniej wyjeżdżał w takich momentach z Trójmiasta do Jastrzębiej Góry, aby z daleka śledzić w eterze rozwój wypadków, ale też upewnić się, że to polowanie tym razem jeszcze nie na niego.

Nawet z dzisiejszej perspektywy, po latach, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń, charakter i zakres działań kontrwywiadu „Solidarności Walczącej” jest imponujący. Działania te stanowią bezpośredni dowód na to, że totalitarne państwo z całą potęgą profesjonalnie szkolonych specsłużb nie było w stanie kontrolować wszystkich działań niezależnych, podziemnych organizacji, jakie powstały po wprowadzeniu stanu wojennego. Dziś widać to wyraźnie, że wypowiedzenie wojny społeczeństwu było ostatnim ruchem rozpaczliwej próby uratowania walących się struktur społeczno-politycznych i gospodarczych komunistycznego państwa. Państwa, które przez swoje organizacje i funkcjonariuszy aparatu ucisku chciało kontrolować i wpływać na każdą aktywność społeczną obywateli, zwłaszcza zaś polityczną.

Skala środków (finansów, liczby ludzi itp.), jakie „Solidarność Walcząca” mogła przeciwstawić działaniom Służby Bezpieczeństwa, wobec możliwości komunistycznego państwa była nader skromna. Trzeba pamiętać też, że działacze „SW” w porównaniu ze szkolonymi w kraju i w Związku Sowieckim funkcjonariuszami byli amatorami. Ich nie miał kto szkolić – do wszystkiego dochodzili sami: mozolną, wytrwałą pracą, dzięki cierpliwości i długotrwałemu zbieraniu informacji, a następnie ich przetwarzaniu, wyciąganiu wniosków, w strachu i napięciu, jakie towarzyszyły codziennej pracy w podziemiu. Jednak dzięki zaangażowaniu i wierze w głoszone ideały, w słuszność podejmowanych działań, „Solidarność Walcząca” potrafiła prowadzić skuteczne działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze przeciwko działaniom MSW – w kraju, a czasami nawet za granicą.

### **„Szkola” nasłuchu radiowego „SW”**

Analizując skuteczność działań kontrwywiadowczych „SW”, trzeba koniecznie wspomnieć o roli, jaką odegrała „SW” w osłonie innych organizacji, ale też w rozpowszechnieniu podsłuchów aparatu represji jako metody prewencyjno-obronnej. Raporty z działań Wydziału „B” SB („obserwacji”) kolportowano nie tylko wśród działaczy „SW”, ale starano się przekazywać informację do obserwowanych, a więc zagrożonych osób. Informacje takie we Wrocławiu docierały w różnej formie m.in. do struktur NZS, Regionalnych Komitetów Strajkowych oraz Międzyzakładowych Komitetów Organizacyjnych „S”.

Mimo wielu udanych ostrzeżeń, „nasłuch” miał świadomość, że nie zawsze odpowiednie informacje dotrą na czas. Z kolei doświadczenia przy próbie nawiązywania kontaktów z ukrywającym się przewodniczącym „SW” wskazywały również na zagrożenie agenturą. Oznaczało to, że osoby przekazujące ostrzeżenia do innych struktur narażone są na niebezpieczeństwo. Po ujawnieniu źródła informacji o agencie w Międzyzakładowym Robot-

Warszawa, 1989.11.10

Tajne spec. znaczenia

KOMENTARZE HISTORYCZNE

INFORMACJA  
=====

dot. finansów "SW".

Działalność struktury generalnie finansowana jest ze środków napływających z Zachodu, przekazywanych do Kraju przez: "POMOST", "KULTURĘ", "POGLĄD", "ARCHIPELAG" organizacje emigracyjne oraz datki zbierane przez przedstawicielstwa zagraniczne w USA, W. Brytanii, Francji, Kanadzie, Norwegii, Szwecji, Włoszech, RFN.

Całkowita wysokość tych kwot jest trudna do ustalenia i waha się w zależności od rozwoju sytuacji w Kraju. Ustalono - na podstawie dosyć wyrywkowych danych, że w 1988 r. do Wrocławskiego ośrodka "SW" wpłynęło ok. 46.000 dol. i 700.000 zł. Do sumy tej doliczyć należy 20.000 dol., które K. Morawiecki przywiózł z Zachodu /USA, Kanada, W. Brytania, Francja/ i przeznaczył na utrzymanie organizacji.

Kolejne 20.000 USD przyznano "SW" z Funduszu na Rzecz Demokracji /NED/, suma ta zablokowana jednak została przez administrację USA i nie wiadomo czy do końca roku przekazano ją do kraju.

Łącznie zatem w 1988 r. "SW" dysponowała kwotą 66.000 USD i 700 tys. zł /bez wpływów z delegatur/.

W 1989 r. w ciągu 10 miesięcy wrocławski ośrodek otrzymał 64.000 USD /25 tys. z NED/; 906 ł, 1933 DM oraz 390.000 zł /również bez kwot z delegatur i ośrodków sponsorujących.

Istotnym źródłem finansowania organizacji jest również działalność Agencji Informacyjnej "SW" /gazetki, książki, znaczki pocztowe, emblematy/. Wpływy z tego tytułu szacowane są na około 60 mln zł 1989 r. /w 1980 sumy te mogły być o 20 mln wyższe/.

Informacja dot. finansów „SW”.  
Źródło: AIPN BU 0364/363, t. 1

niczym Komitecie „S”, najwyraźniej zinfiltrowanym przez więcej niż jedną osobę, SB miała świadomość prowadzenia przez „SW” działalności kontrwywiadowczej. W takiej sytuacji przekazywanie ostrzeżeń z podaniem nasłuchu radiowego jako źródła nie mogło już wyrządzić większych szkód, natomiast miało szansę uchronić śledzone przez SB osoby – zarówno doraźnie, jak i na przyszłość. Liczono bowiem, że podanie źródła informacji nie tylko będzie ją uwiarygodniać (przez co zwiększała się szansa na poważne potraktowanie takiego ostrzeżenia), ale i spowoduje refleksję ostrzeżonego nad przestrzeganiem „konspiracyjnego BHP”. Problemem były, siłą rzeczy, ograniczone możliwości dotarcia do właściwych osób czy środowisk. „SW” była organizacją o charakterze kadrowym – elitarną, a kontrwywiad był swoistą „elitą elity” – i nie mógł bezpośrednio angażować się w przekazywanie ostrzeżeń.

Rozwiązanie tych sprzeczności wydawało się proste – zdecentralizowanie nasłuchu – tzn. wyposażenie poszczególnych komórek „SW” w „osobiste” urządzenia nasłuchowe, tak aby bezpośrednio zainteresowani mogli sami zadbać o własne bezpieczeństwo. W wyniku tej decyzji podjęto seryjną produkcję konwerterów do podsłuchu MO i SB. Do gotowych urządzeń dołączana była wydrukowana na matrycy białkowej ulotka z krótką instrukcją obsługi, opisująca m.in. sposób zrobienia anteny z odcinka drutu i przeznaczenie przełączników.

Jednym z wielu środowisk, do jakich trafiły wyprodukowane przez „SW” konwertery, było Duszpasterstwo Ludzi Pracy przy parafii św. Klemensa Dworzaka w kościele przy al. Pracy we Wrocławiu. Co ciekawe, nasłuchy były wykonywane i nagrywane przez dwa niezależne zespoły. Jako pierwszy zajmował się nimi Tomasz Kubiak, wówczas uczeń technikum mechanicznego przy ul. Słubickiej. Z Duszpasterstwem Ludzi Pracy związany był przez ojca, z którym m.in. wspólnie nagrywał rozmowy tajniaków obserwujących Msze święte w kościele. Dwa konwertery dostarczyła osoba z Politechniki Wrocławskiej, także związana z duszpasterstwem. Nasłuchy prowadzono zaś w salce katechetycznej. Do ich nagrywania używano zwykłego zestawu radiofonicznego typu „wieża”. Czasami intensywność korespondencji prowadzonej przez milicję lub ZOMO oraz cywilnych funkcjonariuszy była tak duża, że w czasie przestrajania się na częstotliwość innej służby tracono część informacji. Dlatego w ciągu około dwóch lat prowadzenia nasłuchów kilkakrotnie zdarzyły się sytuacje korzystania z dwóch konwerterów jednocześnie. Wedle relacji Tomasza Kubiaka nasłuch i nagrywanie rozpoczęto w drugiej połowie lat osiemdziesiątych i łącznie dokonano około 15 nagrań, z których dysponuje on dziś jedynie jedną zachowaną kasetą z dwoma kilkuminutowymi fragmentami rozmów. Kasety z nagraniami nie opuszczały siedziby duszpasterstwa, lecz co się z nimi stało po roku 1989 – nie wiadomo.

Nieco później, niezależnie i w tajemnicy przed Kubiakiem, nasłuchy z milicyjnych akcji obserwacyjnych kościoła podjął Mariusz Kresa, który był wówczas ministrem, a następnie lektorem w kościele. Związany był także z podziemiem młodzieżowym i MKO, a dzięki konspiracyjnym kontaktom od Wojciecha Mysłackiego z „SW” otrzymał jedną z wielu wyprodukowanych we Wrocławiu przystawek nasłuchowych. Za pomocą konwertera zostało m.in. sporządzone nagranie z rozmów funkcjonariuszy MO obserwujących Mszę św. w al. Pracy 22 lutego 1987 r., które stanowi dziś unikatowe świadectwo tamtych czasów.



Kornel Morawiecki



Zewnętrzna instalacja antenowa wykorzystywana do prowadzenia nasłuchu MO i SB, a czasami także do prowadzenia radiowej komunikacji konspiracyjnej przez Krzysztofa Witczaka na dachu jego spółdzielczego mieszkania przy ul. Hermanowskiej. Na szczycie wysokiego masztu zainstalowana dwupasmowa antena VHF o charakterystyce dookólnej – pionowy promiennik oraz trzy nachylone pod kątem ok. 45° tzw. przeciwwagi; poniżej dwie standardowe anteny telewizyjne typu Yagi.



Konwerter radiowy do nasłuchu MO i SB, który Mariusz Kresa otrzymał od Wojciecha Myśleckiego w drugiej połowie lat osiemdziesiątych.

\* \* \*

W wyniku serii „kombinacji operacyjnych” poprzedzających uzgodnienia wyselekcjonowanej przez władze, tzw. konstruktywnej opozycji w Magdalence, po usunięciu w 1988 r. Andrzeja Kołodziejca i Kornela Morawieckiego z kraju, udało się doprowadzić do zmarginalizowania roli i znaczenia „Solidarności Walczącej” na podziemnej scenie politycznej (scenie, która w odróżnieniu od „SW” była kontrolowana przez służby specjalne PRL).

W rezultacie ani sama sprawność organizacyjna „Solidarności Walczącej” i poszczególnych jej struktur, ani najprawdopodobniej najlepszy kontrwywiad w podziemiu lat osiemdziesiątych nie zapewniły jej zwycięstwa ideowego w walce o niepodległą Polskę. Jednak warto odsonić i upowszechnić wiedzę na temat niezaprzeczalnego wkładu SW w działania, które łącznie z wieloma innymi czynnikami doprowadziły ostatecznie do upadku społeczno-politycznego modelu sprawowania władzy przez PZPR i aparat bezpieczeństwa.

**Trochę o „fosie”**

**Kody cyfrowe** – oznaczające typowe czynności, procedury wykonywane przez funkcjonariuszy SB.

77 – kierunek, w kierunku (np. „daje 77 do kolorków”)

300 – początek akcji (obserwacji)

301 – tak jest/przyjąłem – początek akcji (potwierdzenie)

310 i 311 – jak wyżej, jeśli „figurant” porusza się samochodem

400 – koniec akcji (obserwacji na dziś)

412 – prosto

415 – w prawo

421 – w lewo

Do określania kierunków, zwłaszcza na skrzyżowaniach, używano też metody opartej na tarczy zegarowej, bardzo podobnej do stosowanej w lotnictwie lub żeglarstwie. Metoda „zegarowa” była bardziej intuicyjna i jednocześnie pozwalała bardziej precyzyjnie określać kierunki, np. *na godzinie dwunastej – zero–pięć* znaczyło: prawie prosto, ale lekko w prawo (pod kątem do aktualnego kierunku jazdy, jaki wyznacza wskazówka na piątej minucie względem godziny dwunastej). Co ciekawe, nie było jedyne- „słusznego” sposobu określania kierunków za pomocą tarczy zegarowej, nawet przez zespoły z tego samego miasta, np. używano zamiennie „na godzinie piętnastej” lub „daje na dwunastą piętnaście”.

**Żargon/slang** (stosowane początkowo kryptonimy wywodziły się ze świata medycyny):

altana – przyczepa kempingowa służąca do prowadzenia obserwacji

bożnica – kościół (używane w Departamencie IV MSW)

brykać – zachowywać się w sposób utrudniający obserwację, uciekać, gubić „ogon”

ciota/ciotka – do tyłu, cofanie, zawracanie samochodem

ćwiartka – dziecko

fabryka – siedziba resortu

figurant – sporadycznie używane zamiast „pacjent”, częściej na częstotliwościach MO; w zależności od kontekstu: ogólnie – obserwowana osoba, w przypadku obserwacji Mszy św.: każda osoba duchowna (ksiądz, kleryk), a jeśli obserwacja dotyczyła konkretnego „figuranta” duchownego, mógł on być wyróżniany jako „pierwszy”

firma – SB, ogólnie resort – MSW

gumowy – dworzec PKS

impreza – najczęściej Msza św., czasami „namierzone” spotkanie konspiratorów

karetką – cywilny samochód esbecki, później jakkolwiek pojazd, ogólnie samochód

kartoflisko – pole uprawne (niezależnie od rodzaju uprawy)

kogut – najczęściej taksówka, ale mógł tak też być nazywany inny samochód z tzw. kogutem na dachu, np. karetką pogotowia ratunkowego, samochód straży pożarnej, samochód pogotowia energetycznego

kolorki, kolory – światła sygnalizacji ulicznej

koszyk – sklep



Fot. Rafał Witczak



Na pierwszym piętrze kamienicy przy zbiegu ul. Sądowej i Świerczewskiego (obecnie Piłsudskiego) mieścił się zakonspirowany lokal SB o kryptonimie „Tawerna” (okna bez firanek – wciąż brudne i zapuszczone). Służył m.in. jako tzw. ZPO (Zakryty Punkt Obserwacyjny) do robienia „pamiątek” w trakcie manifestacji 1-majowych, a także jako... punkt odniesienia, ułatwiający lokalizację miejsca w trakcie koordynowania akcji obserwacyjnej SB za pomocą łączności radiowej, dzięki czemu został zidentyfikowany przez kontrwywiad SW.

Fot. Rafał Witczak



„Bistro” – konspiracyjny lokal SB w okolicach „Watykanu” przy placu Bema, zlokalizowany na pierwszym piętrze kamienicy tuż przy przystanku tramwajowym. Charakterystyczne małe okna na pierwszym piętrze, w czasach kiedy znajdował się tam ZPO „Bistro”, były zaniedbane: firanki brudne, a okna długo niemyte. Dziś lokalizację tego zakonspirowanego lokalu SB umożliwia już tylko zapamiętany przez współpracowników J. Pawłowskiego szczegół, że okna na pierwszym piętrze były mniejsze, „jakby za niskie”. Punkt obserwacyjny służył m.in. do inwigilacji wiernych wychodzących po mszy z katedry lub udających się na pielgrzymki.

kratki/kratki – okna, często w połączeniu: „kratki palą” lub „kratki zgaszone”; pod koniec dnia, kiedy obserwowana osoba wracała do swojego mieszkania i „kratki gasły”, kierujący obserwacją funkcjonariusz ogłaszał: „400” (zob. wyżej)

krzyż, krzyżyk – kościół; w Trójmieście „krzyż” oznaczał każde skrzyżowanie (bez względu na rzeczywisty jego kształt), np. „daje do krzyża” – jedzie/idzie w stronę skrzyżowania

kwadrat – w zależności od kontekstu: w połączeniu z numerem wskazywał zakodowany rejon miasta, bez numeru: podwórko, kwartał ulic, dający się wyróżnić obszar o kształcie prostokąta, kwadratu, czasami w połączeniu z przymiotnikiem wskazywał jakiś konkretny, charakterystyczny obiekt w najbliższej okolicy, np. „biały kwadrat” (duży „Supersam”)

na patykach, na patyczkach – na piechotę, czasami (zwłaszcza w pierwszym okresie po wprowadzeniu stanu wojennego) używano też: „z fleka”

obcinać – rozglądać się, sprawdzać, czy nie jest się śledzonym, obserwowanym

ordynator – oficer dowodzący akcją z siedziby biura operacyjnego (bazy)

pacjent – podopieczny, czyli inaczej obserwowana osoba

paczka – osoba

pamiętki – zdjęcia, dokumentacja fotograficzna

pieczarki, biali, białe czapki – drogówka (Wydział Ruchu Drogowego MO), często wykorzystywana do operacji „wiązania”, tj. zatrzymania obserwowanych osób poruszających się samochodem

połówka – ogólnie: osoba towarzysząca płci przeciwnej do osoby śledzonej, domyślnie: żona/kobieta, później także szerzej: inna/druga osoba, współnik

półki – przejścia pomiędzy klatkami schodowymi na strychach, szczególnie w nowych wieżowcach

przepalić – spłoszyć, ostrzec kogoś przez zbyt nachalną, nieuważną, dekonspirującą się obserwację, np. „tylko nie przepal, nie przepal!”

przyśpiewki – występowały, kiedy wierni śpiewali *Boże, coś Polskę...*

recepta – notatka, raport z obserwacji, np. „dawaj pilnie recepty na fabrykę”

sanitariusze – prowadzący obserwację esbecy (pracownicy Wydziału „B”)

serce – bateria (akumulator) przenośnego radiotelefonu nasobnego

zlec – zleceniodawca: analitycy z Biura Studiów i Analiz, np. „czekamy na decyzje zleca” (najogólniej: czekano na decyzję Warszawy)

żelazny – dworzec kolejowy PKP, kolej, czasami także tramwaj

**Więcej na stronie internetowej: <http://www.sw.org.pl>**

# ZIMA WASZA, WIOSNA NASZA!

**SOLIDARNOŚCIOWE OBCHODY 1 i 3 MAJA 1982 r.**

**Pierwsze miesiące stanu wojennego, „nowego porządku” mogły sprawiać wrażenie, że ulice miast należały do jego stróżów – wojska i milicji, ich uzbrojonych patroli, krążących po miastach kolumn wojskowo-milicyjnych. Tego wrażenia nie mąciły nieliczne wystąpienia w grudniu 1981 r. oraz późniejsze, sporadyczne demonstracje o zasięgu lokalnym (np. w Gdańsku w styczniu 1982 r.). Jednocześnie, w ukryciu przed władzą, rozwijano druk i kolportaż ulotek oraz pism informacyjnych, które przekazywały wiadomości oficjalnie niedostępne. Budziły one nadzieję na kontynuację, odrodzenie „Solidarności”.**

Wśród wielu członków „Solidarności” pobrzmiewało lansowane ówczesnie w kręgach związkowych hasło „Zima wasza, wiosna nasza”. Wyrażało ono nadzieję na „odkucie się” za grudniową porażkę Związku. Zbliżające się święta 1 Maja oraz rocznica uchwalenia Konstytucji 3 Maja (jako święto w PRL zostało zniesione) stwarzały okazję do „wyjścia z podziemia” na ulice członków „Solidarności” oraz przeciwników stanu wojennego.

## 1 Maja

Powołana 22 kwietnia 1982 r. Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności”<sup>1</sup> nie wezwała do związkowych obchodów rocznic, lecz jeden z jej członków, Zbigniew Bujak, na łamach pisma „Tygodnik Mazowsze” zaapelował o „manifestacyjny udział w pochodzie majowym” z użyciem związkowych emblematów. Członkowie „S” mieli zamanifestować swą obecność w miejscu oficjalnych, pierwszomajowych pochodów, a następnie udać się do kościołów na Msze święte<sup>2</sup>. Odmienną koncepcję obchodów 1 Maja zaproponował nastawiony na radykalne działania warszawski Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności” (MRKS). Jego sympatycy przygotowywali się do zorganizowania kontrmanifestacji. Na Dolnym Śląsku tamtejszy Regionalny Komitet Strajkowy wezwał zaś do pozostania w domach. Okazało się, że bardziej radykalnie nastawieni działacze „Solidarności” byli bliżej rzeczywistych nastrojów społecznych, które ujawniły się w kolejnych dniach maja 1982 r.

<sup>1</sup> W jej skład weszli czterej popularni przywódcy z regionów: Mazowsza – Zbigniew Bujak, Dolnego Śląska – Władysław Frasyniuk, Gdańska – Bogdan Lis, Małopolski – Władysław Hardek.

<sup>2</sup> „Tygodnik Mazowsze”, nr 10, 21 IV 1982. Po latach Bujak wykazał dystans do swej ówczesnej propozycji, lecz wspominał: „Wyszło znakomicie, bo nikt nie zamierzał tego zrobić”. Relacja nieautoryzowana Z. Bujaka, 10 I 2007 r., w zbiorach autora.

1 maja rano odprawiano w kościołach Msze św. z okazji święta Józefa Robotnika, m.in. w katedrze św. Jana w Warszawie. Zgromadzili się na niej również uczestnicy planowanego kontrpochodu organizowanego przez członków i sympatyków MRKS. Początek manifestacji tak wspominał jeden z jej świadków: „Nagle tłum rozstępuje się. Utworzonym szpalerem idzie na plac Zamkowy grupka ludzi. Niosą plakaty z hasłami. Na pierwszym z nich napis »Solidarność była, jest i będzie«. Rozlegają się brawa. Zaczynamy skandować: »Solidarność, Solidarność«. Ruszamy za nimi. Po chwili znajdujemy się w ogromnym pochodzie. Kierujemy się Senatorską do Miodowej. Wejście na plac Teatralny zamyka kordon milicji, odgradzają nas od trasy oficjalnego pochodu [...]. Zatrzymujemy się przed pałacem Prymasowskim. Wznosimy okrzyki: »Niech żyje Prymas!«, »Niech żyje Papież«. [...] Plac Krasieńskich jest też dla nas zamknięty. Krzyczymy: »ZOMO do domu, na was pracujemy!«. [...] Mostową schodzimy w dół. Dopiero teraz widać, że jest nas tysiące: czoło pochodu jest już przy Wisłostradzie, a końca wciąż nie widać. Oglądamy się za siebie. Wszyscy pomyśleli chyba o tym samym, bo zaczynamy skandować: »10 milionów, 10 milionów«”.

„Tygodnik Mazowsze”, nr 12, 5 V 1982.

Wyposażenie zgromadzonych stanowiły flagi, transparenty z symbolami „Solidarności” i hasłami. Manifestacja ruszyła z placu Zamkowego ulicami Miodową, Długą przez rynek Nowego Miasta w kierunku Wisłostrady. W jej okolicach zgromadzenie rozwiązano. Według przytoczonych oficjalnych danych w niezależnej demonstracji w stolicy wzięło udział około 20 tys. ludzi, a wedle szacunków jednego z organizatorów – 30 tys. Alternatywne manifestacje zorganizowano również w innych miastach. W Gdyni po zakończeniu oficjalnego pochodu kilkutysięczny tłum, idąc przez centrum miasta, niszczył propagandowe dekoracje, skandując przy tym prosolidarnościowe hasła. Po sąsiedzku w Gdańsku pochód przemierzył dystans od Pomnika Poległych Stoczniovców do Gdańska Wrzeszcza, pod dom internowanego ówczesnie Lecha Wałęsy<sup>3</sup>. Uczestnik gdańskiej demonstracji wspominał: „Wszędzie biało-czerwono, na Pomniku napis »Solidarność«, mnóstwo kwiatów. Śpiewamy »Jeszcze Polska«, a transparenty z napisem »Solidarność« szumiały na silnym wietrze. Unosimy dwa palce do góry – znak V – zwycięstwo. Nie wiadomo tylko, kto go doczeka! »Oddać Lecha« skanduje tłum. »Precz stan wojenny«, »dość bezprawia« [...] Tłum rusza ku bazylice Marii Panny. Na przedzie transparent »Solidarność nie zginęła, póki my żyjemy«. Idziemy okrężną drogą, nigdzie ani jednego zomowca, ani milicjanta. Dziwne”<sup>4</sup>.

Oryginalny przebieg miała demonstracja w Świdniku – grupa robotników z miejscowego zakładu wzięła udział w oficjalnym pochodzie na bosaka. Solidarnościowe manifestacje 1 maja 1982 r. odbyły się m.in. w Białymstoku, Gdańsku, Gdyni, Łodzi, Szczecinie, Toruniu, Warszawie. Mimo tylu miejsc zapalnych Święto Pracy w 1982 r. przebiegło bez większych zakłóceń, ponieważ władze z założenia skupiły się na ochronie oficjalnych pochodów i niedopuszczeniu do nich ludzi „z zewnątrz”. Do ochrony oficjalnych manifestacji skierowano tysiące funkcjonariuszy milicji (w samej Warszawie około 10 tys.). Wydaje się, że wydzwięk propagandowy ewentualnych ataków na alternatywnie demonstrujących robotników mógł być dla władz wysoce niekorzystny. Wyjątkiem tego dnia był atak milicji na demonstrantów w Toruniu oraz zatrzymanie w Bielsku-Białej tych uczestników oficjalnego pochodu, którzy nie chcieli się po nim rozejść.

<sup>3</sup> A. Dudek, T. Marszałkowski, *Walki uliczne w PRL*, Kraków 1999, s. 284.

<sup>4</sup> *W stanie*, pr. zb., Warszawa 1991, s. 146.

### 3 Maja

Inaczej wyglądały polskie ulice dwa dni później, gdy władze zdecydowały się zawczasu rozbijać zgromadzenia ludzi mogące być zalążkiem niezależnych manifestacji. Tworzeniu demonstracji sprzyjały odbywające się Msze św. i wzajemna bliskość samych świątyń (warszawskie Stare Miasto, gdański Targ Drzewny). Wokół kościołów dochodziło zaś do milicyjnych prowokacji, jak np. w Gdańsku. Okazją do organizowania demonstracji było też zakończenie pracy w zakładach – tak było w Szczecinie, czy też składanie tamże kwiatów w miejscu pamięci ofiar Grudnia 1970 r. Do okolicznościowych demonstracji doszło 3 maja łącznie w co najmniej jedenastu miastach: Białymstoku, Elblągu, Gdańsku, Gliwicach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Rzeszowie, Szczecinie, Toruniu, Warszawie.

Milicja atakowała gromadzących się ludzi, niekiedy przedtem wzywając ich do rozejścia się. Najczęściej manifestantów atakowali funkcjonariusze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Wyjątkowo chyba w Krakowie byli to funkcjonariusze Rezerwowych Oddziałów Milicji Obywatelskiej (ROMO), gdyż tamtejsze ZOMO zostało odesłane do pacyfikacji ulic Gdańska. Do rozbijania demonstracji wykorzystywano zarówno armatki wodne, gaz łzawiący, jak i „środki przymusu bezpośredniego” w rodzaju milicyjnej pałki. Woda używana w armatkach bywała barwiona, aby funkcjonariuszom łatwiej było rozpoznać, a następnie zatrzymać osoby znajdujące się w miejscach ulicznych bitew. Do walk ulicznych włączono transportery opancerzone oraz czołgi, które np. w Gdańsku rozbijały barykady. Rozwój sytuacji władze obserwowały także (np. w stolicy) ze śmigłowców.

Atakowani jako schronienie wykorzystywali kościoły (Kraków, Gdańsk, Warszawa), choć nie zawsze miejsca te okazywały się bezpiecznym azylem. W Gdańsku przez rozbity witraż do kościoła wpadł pocisk gazowy oraz raca. Z pewnością solą w oku dla władz była organizowana na terenie świątyni pomoc medyczna. Uzyskiwano ją także od przygodnych mieszkańców domów znajdujących się w okolicach zajęć (np. na ul. Piwnej w Warszawie w jednym z mieszkań zgromadziło się kilkadziesiąt osób, które schroniły się przed gazami łzawiącymi).

Demonstranci nie pozostawali dłużni zomowcom. Nie tylko odrzucali pojemniki z gazem łzawiącym, topili je w kanałach, ale też atakując funkcjonariuszy, wykorzystywali własne środki rażenia: stosowano zarówno przygodną amunicję (kamienie, kawałki rozbitych płyt chodnikowych, deski, kosze na śmieci), jak i wcześniej przygotowaną, nawet butelki z benzyną (w Gdańsku obrzucono nimi komisariat milicji, a w Szczecinie pojazdy milicyjne). O zaciętości walk może świadczyć to, że warszawski Barbakan przechodził kilkakrotnie

„Tłum rozpraszany na obie strony Długiej i w głąb Bonifraterskiej skupia się wciąż na nowo, podchodzi, krzycząc »Gestapo«, »Zwolnić Lecha«, »Solidarność, Solidarność«. Na podwórkach osiedla przy Długiej toczą się walki z małymi grupkami. Mury domów pokrywają się hasłami. Rozjuszeni zomowcy wrzucają petardy do klatek schodowych. Na placyku przed pałacem Krasieńskich ludzie ciskają w ZOMO cegłami. Zgromadzeni pod ambasadą chińską próbują dostać się na Starówkę i ZOMO zostaje wzięte w dwa ognie. [...] Broni się róg przy Krzywym Kole. Ludzie budują barykady z ławek i desek estrady. Zrywają się do kontrnatarcia, śpiewając: »Jeszcze Polska nie zginęła« i »Żeby Polska była Polską«. Jest hasło: »nie rzucać kamieniami, odrzucać petardy«. Każda udana próba witana jest gromkimi brawami”.

„Tygodnik Mazowski”, nr 12, 5 V 1982.

z rąk do rąk, a w Gdańsku czołgi strzelały na postrach ze ślepej amunicji, tam też usunięto 20 barykad. Starcia uliczne miały swoją dynamikę, która raz po raz przechylała szalę zwycięstwa na korzyść jednej ze stron, choć ostatecznie górą oczywiście były władze dysponujące wyspecjalizowanymi „środkami bezpieczeństwa”.

Oslonę dla demonstrantów przed bezpośrednimi atakami ZOMO stanowiły budowane naprędce barykady (Warszawa, Gdańsk), przygotowywane nieraz pod kierunkiem... żołnierzy Armii Krajowej, posiadających w tej mierze praktyczne doświadczenia. W Gdańsku do budowy tymczasowych umocnień wykorzystano oprócz koszy na śmieci nawet gazobeton oraz rury kanalizacyjne. W ferworze walk w Szczecinie podpalono milicyjny hotel. Dla odmiany – jedynie symboliczną moc rażenia miały rzucone w Krakowie w kierunku funkcjonariuszy monety, będące ilustracją dla okrzyku „Targowica”, synonimu narodowej zdrady. Stosowano taktykę „wojny podjazdowej”, polegającą na atakowaniu funkcjonariuszy przez demonstrantów oraz wycofywaniu się w bezpieczne miejsca, takie jak zaułki bram, podwórka, wnętrza kościołów. Po taktycznym odwróceniu z frontu walki grupy manifestantów przemieszczały się w inne rejony miasta, na nowo skupiały siły i atakowały wroga.

Taktykę unikania bezpośredniego starcia stosowali także funkcjonariusze, których często w bezpośrednich interwencjach wyręczały gazy łzawiące. Niekiedy jednak ich brakowało. Podłuchane rozmowy milicjantów oddają powagę sytuacji: „Energiczne łanie, żeby popamiętali... Środków chemicznych nie macie? Zostaną podrzucone... Atakują komisariat na Jezuickiej, udzielić pomocy... Jak się msza skończy, rozproszyc, rozproszyc to wszystko... Nas już trzech ma łeb porozbijany... Hasło podajcie! Bo oni nas wykończą... Hasło takie jak 1 maja... Tak, ale nikt nie reaguje... Dowódca śmigłowca pyta, czy będzie robota. Niech czeka, będzie... Daj im grzanie, rozumiesz... Uderzyć na most Śląsko-Dąbrowski. Przyspiesz, bo tam jest gorąco...”

J. Holzer, K. Leski, Solidarność w podziemiu, Łódź 1990, s. 45.

Dochodziło także do walk wręcz między funkcjonariuszami a manifestantami. W ich trakcie demonstranci przeciwstawiali milicyjnym pałkom kije oraz drążki. Relacje wskazują, że charakterystycznym elementem ubioru wielu uczestników walk ulicznych były sportowe adidas, które umożliwiały nie tylko szybkie przemieszczanie się, ucieczkę przed funkcjonariuszami, ale też ich dynamiczne atakowanie. Notabene dla milicjantów sportowe obuwie stawało się chyba znakiem rozpoznawczym osób posądzanych o udział w niezależnych demonstracjach. Stałym elementem krajobrazu majowego „kryterium ulicznego” były także związkowe flagi. Do ich szybkiego przygotowania wykorzystywano flagi biało-czerwone z naniesionym na nie, np. za pomocą szminki, napisem „Solidarność”. Bodaj najdłużej zajęcia trwały w Szczecinie i Lublinie, gdzie przeciągnęły się na kolejne dni. W dziewięciu miastach 3 maja zatrzymano łącznie 1372 osoby. W Warszawie władze wprowadziły godzinę milicyjną, którą zniesiono dopiero w czerwcu 1982 r.

Nieznana jest bliżej liczba osób rannych w starciach z milicją i pobitych przez nią. W stolicy 3 maja rannych zostało co najmniej kilkanaście osób. Należy pamiętać, że wielu rannych zapewne nie zgłaszało odniesionych obrażeń z obawy przed potencjalnymi represjami. Informowano o kilku ofiarach śmiertelnych wśród osób znajdujących się w rejonie wydarzeń. W Warszawie zmarł Mieczysław Radomski, a przyczyną jego śmierci, wedle późniejszej

oceny Komisji Sejmowej, miały tło polityczne. Wykluczono je w stosunku do pozostałych osób, ówczasie uznanych za ofiary ulicznych pobić w Warszawie: Joanny Lenartowicz i Adama Szuleckiego. Informowano o śmierci na skutek pobicia Franciszka Rycerza w Krakowie oraz Władysława Dydry w Gdańsku w wyniku zatrucia gazami.

W czasie walk zniszczono wiele samochodów milicyjnych, w samej stolicy zostało rannych kilkudziesięciu funkcjonariuszy. O zaciętości walk świadczą też dane o uszkodzonych w Warszawie 9 wagonach tramwajowych oraz 11 autobusach – chodziło chyba głównie o potłuczone szyby (choć uszkodzenia mogły być większe, bo na moście Śląsko-Dąbrowskim autobus stał się przez pewien czas barykadą). Wedle oficjalnych danych obrażenia odnieśli pracownicy służby ruchu Miejskich Zakładów Komunikacyjnych, trzech motorniczych oraz ośmiu kierowców. Przyczyn obrażeń jednak nie podano<sup>5</sup>. W różnych częściach stolicy zatrzymano 286 osób. Wobec 262 skierowano wnioski w trybie przyspieszonym do kolegium ds. wykroczeń.

\* \* \*

Demonstracje 1 i 3 maja 1982 r. były pierwszymi tak masowymi wystąpieniami ulicznymi w stanie wojennym. Pokazały one możliwości spontanicznej mobilizacji drzemiące w społeczeństwie. Bogdan Borusewicz oceniał po roku, że demonstracje pozwoliły „wstrząsnąć władzą i pokazać »Solidarność«”. Manifestacje majowe były niewątpliwie zaskoczeniem dla przywódców związkowych. Ukazały, jak poważne wydarzenia mogą się rozgrywać w sposób dynamiczny, wcześniej niezaplany, poza kontrolą kierownictwa związkowego. Majowe „kryterium uliczne” dowiodło też kierownictwu związkowemu, jak niekiedy dramatyczne mogą być skutki manifestacji (pobici, ranni, wreszcie ofiary śmiertelne). Stąd, jak się wydaje, szczególnie w gremiach aspirujących do kształtowania poglądów związkowców, opisane wyżej majowe wydarzenia wzbudziły konsternację. Dano jej wyraz m.in. w piśmie „KOS” oraz w „Tygodniku Wojennym”. W pierwszym wskazywano, że uliczne demonstracje nie zastąpią budowania podziemnych struktur społeczeństwa, a w drugim zwracano uwagę na możliwość prowokacji. Na łamach „Tygodnika” wręcz zaapelowano o czytelne odcięcie się władz regionu „S” od opisanych wydarzeń – za pośrednictwem tajemniczych nieco „Grup Współdziałania »Solidarności«”. Ani przywódca związkowy, ani tonujący nastroje autorzy tekstów w pismach drugoobiegowych nie mogli na dłuższą metę odciąć się od „demonstracyjnych” nastrojów nie tylko „dołów związkowych”, ale i wielu zwykłych zwolenników ulicznej konfrontacji. W rezultacie kilka miesięcy później, już pod auspicjami kierownictwa podziemnej „Solidarności”, doszło do kolejnych ogólnopolskich ulicznych manifestacji. To właśnie od maja 1982 r. manifestacje uliczne z okazji niektórych świąt państwowych weszły na stałe do opozycyjnego „kalendarza wydarzeń”. Dla władz zaś stały się czasem mobilizacji milicyjnych sił i środków. Jednak nade wszystko – regularnym przypomnieniem o istnieniu „Solidarności”, którą bezskutecznie próbowano wymazać ze społecznej pamięci.

#### Wybrana literatura przedmiotu

A. Dudek, T. Marszałkowski, *Walki uliczne w PRL*, Kraków 1999.

J. Holzer, K. Leski, *Solidarność w podziemiu*, Łódź 1990.

*Solidarność: XX lat historii*, red. M. Łątkowska, Warszawa 2000.

*Stan wojenny w Polsce 1981–1983*, red. A. Dudek, Warszawa 2003.

*W stanie*, pr. zb., Warszawa 1991<sup>2</sup>.

<sup>5</sup> AWL, 15055/3, Meldunek w sprawie oceny pracy Miejskich Zakładów Komunikacyjnych za okres 1.04.–17.05.1982 r., 18 V 1982 r., k. 546.

Waldemar Handke, IPN Poznań

# DWIE TECZKI, DWA ŻYCIORYSY – JEDNO ŻYCIE ESBEKA...

**Lata 1980–1989 to okres, kiedy nacisk ze strony komunistycznego państwa, jakiemu zostało poddane społeczeństwo, był bardzo silny, a aparat represji wykorzystywał każdą możliwość, by neutralizować jego „wroga” postawy. Z tej nieodległej przeszłości pozostało do wyjaśnienia wiele tajemniczych historii, jak choćby ta. W dokumentach archiwalnych z zasobu poznańskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej znajdują się dwie teczki, dotyczące tej samej osoby – Tomasza Skorupskiego. Jedna osoba, dwa zupełnie różne życiorysy...**

Tomasz Skorupski – urodzony 25 sierpnia 1958 r. we Wrześni – w roku 1980 był studentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na scenie wydarzeń pojawił się w okresie 1980–1981 – jako aktywny opozycyjny działacz studencki, uczestniczący w różnych niezależnych inicjatywach podejmowanych przez środowisko akademickie. Był m.in. jednym z sygnatariuszy powołanego 21 października 1980 r. na UAM Związku Akademickiego „Pro Patria”<sup>1</sup>. Organizacja ta, określająca się jako wychowawcza, przygotowywała m.in. obchody ważnych rocznic narodowych (np. Powstania Listopadowego, 3 Maja itp.)<sup>2</sup>.

Ta niewielka organizacja studencka katolickiej młodzieży akademickiej od początku wzbudzała duże zainteresowanie poznańskiej Służby Bezpieczeństwa. Działo się tak nie bez przyczyny – inicjatorami „Pro Patrii” byli młodzi ludzie, studenci, głównie UAM, którzy już wcześniej cieszyli się szczególnym zainteresowaniem „bezpieki”<sup>3</sup>. Mowa o poznańskim środowisku Ruchu Młodej Polski. Wśród założycieli „Pro Patrii” byli jego członkowie: Marek Jurek, Krzysztof Nowak, Piotr Mierecki i inni. „Pro Patria” była organizacją o wyraźnie sprecyzowanym obliczu ideowym. Jak oceniają historycy zajmujący się dziejami tego środowiska „miała zdecydowany charakter katolicko-narodowy, choć poglądy wszystkich członków nie musiały odbijać ściśle tych, które prezentowali RMP-owcy”<sup>4</sup>. Do nowo powstałej organizacji SB skierowała więc swoich wypróbowanych informatorów ze środowiska akademickiego. Realizujący te zadania – choćby sprawę operacyjnego sprawdzenia (sos) krypt. „Fiszbin” – funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, por. Piotr Michalczak czy ppor. Grabowski, odbierali do-

<sup>1</sup> AIPN Po, 08/1474, sos krypt. „Fiszbin” (nr ewid. 30435), k. 17. Meldunek operacyjny naczelnika Wydziału III mjr. J. Siejka z 4 XI 1980 r. wśród członków Komitetu Założycielskiego wymienia Tomasza Skorupskiego – studenta II roku prawa UAM.

<sup>2</sup> *Ibidem*. Zob. także: B. Fabiańska, *Być wolnym Polakiem. Kronika Wielkopolskiej Solidarności*, cz. 1: 1980–1981, Poznań 2000, s. 21, 50, 67, 133.

<sup>3</sup> Zob. np. AIPN Po, 0077/9 sor krypt. „Gemini” (nr ewid. 27726) założona na Marka Jurka – działacza RMP. Podobnie było w odniesieniu do innych działaczy tej organizacji.

<sup>4</sup> Zob. P.M. Pilarczyk, *Kluby Polityczne „Ład i Wolność”. Legalnie ku niepodległości 1987–1989*, Poznań 2005, s. 18–19, także: P. Zaremba, *Młodopolacy. Historia Ruchu Młodej Polski*, Gdańsk 2000, s. 191–195, 310.



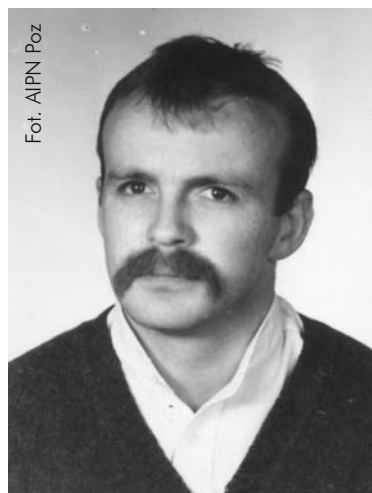
nosy od co najmniej pięciu tajnych współpracowników (TW) umieszczonych wśród członków ZA „Pro Patria”: „Aleksandra”, „Georga”, „Huberta”, „Kuby” i „Pawła”. Jak wynika z analizy esbeckich dokumentów, najbardziej aktywni byli TW „Kuba” i „Paweł”. Dostarczali bezpiekę *gros* informacji z tego, co działo się w powstającym katolickim związku akademickim<sup>5</sup>. Ich donosy na temat „Pro Patrii” i ludzi w niej działających znajdujemy także w innych materiałach wytworzonych przez SB. Na przykład w sprawie obiektowej o kryptonimie „Collegium” znajduje się donos TW „Kuby”, w którym informuje on o planowanej wizycie przedstawicieli ZA „Pro Patria” u rektora UAM<sup>6</sup>.

Wróćmy jednak do naszego „bohatera” – Tomasz Skorupski był członkiem Prezydium Zarządu Związku Akademickiego „Pro Patria”<sup>7</sup>. Zastanawiające jest, że w wykazie osób mających związek ze sprawą operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Fiszbin” są wymienieni wszyscy członkowie Prezydium Zarządu ZA „Pro Patria” – z wyjątkiem Tomasza Skorupskiego<sup>8</sup>.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Tomasz Skorupski znalazł się w ośrodku odosobnienia dla internowanych w Gębarzewie niedaleko Gniezna. Nie ma w tym nic dziwnego – trafili tam też inni członkowie ZA „Pro Patria” (np. Krzysztof Nowak czy Piotr Walerych). Inni, jak Marek Jurek czy Piotr Mierecki, którym udało się ukryć, byli poszukiwani przez SB<sup>9</sup>. W przypadku Tomasza Skorupskiego internowanie nie nastąpiło od razu 13 grudnia 1981 r., ale dopiero w pięć dni później. Decyzja nr 142 o jego internowaniu, wydana przez komendanta wojewódzkiego MO w Poznaniu, nosi datę 18 grudnia 1981 r.<sup>10</sup>

W zasobie IPN w Poznaniu znajduje sięteczka „Akta internowanego” (1/224). Gdyby czytać tylko dokumenty znajdujące się w tej teczce – otrzymalibyśmy obraz młodego, zadziornego działacza studenckiego, którego rozpieierała energia – koniecznie chciał wydostać się z ośrodka internowania – by działać.

Co najmniej osiem razy funkcjonariusze straży więziennej wnioskowali do komendanta ośrodka odosobnienia o jego ukaraniu, w tym za kilka prób ucieczki<sup>11</sup>. Najbardziej spektakularna miała miejsce 25 lutego 1982 r. Funkcjonariusz SW zapisał: „W dniu dzisiejszym



Tomasz Skorupski

<sup>5</sup> AIPN Po, 08/1474, sos krypt. „Fiszbin”, teczka tej sprawy pełna jest donosów, głównie autorstwa tych dwóch TW. Właściwie co kilka dni przekazywali je por. P. Michalczakowi.

<sup>6</sup> AIPN Po, 0186/18, so krypt. „Collegium”, także AIPN Po, 0186/518, sor krypt. „Sabat”. Zob. także omówienie tych materiałów: M. Szczepaniak-Nawrot, W. Chałupka, *Niezależna działalność polityczna pracowników i studentów wyższych uczelni Poznania w aktach aparatu bezpieczeństwa* [w:] *Wielkopolska „Solidarność” w materiałach aparatu represji (1980–1981)*, red. W. Handke, Poznań 2006, s. 253–254.

<sup>7</sup> AIPN Po, 08/1474, sos krypt. „Fiszbin”, k. 58.

<sup>8</sup> *Ibidem*.

<sup>9</sup> Zob. P. Zwiernik, *Wielkopolska i ziemia lubuska* [w:] *Stan wojenny w Polsce 1981–1983*, red. A. Dudek, Warszawa 2003, s. 627.

<sup>10</sup> AIPN Po, 88/224, Akta internowanego T. Skorupskiego, k. 3.

<sup>11</sup> *Ibidem*, cz. B. Teczka osobopoznawcza, k. 1–5, 7, 9, 10.

usiłował dokonać ucieczki z terenu zakładu w czasie przeprowadzania spaceru. W tym celu pokonał ogrodzenie pola spacerowego i drugą linię ogrodzenia z siatki drucianej, a następnie wszedł na łącznik oddzielający strefę posterunków<sup>12</sup>. Żaden z tych wniosków o ukaranie nie zakończył się chociażby odebraniem prawa do korespondencji czy widzeń, co było powszechną praktyką. Jak wynika z „Karty ewidencji próśb, skarg i wniosków oraz korespondencji prywatnej i widzeń”<sup>13</sup> – internowany Tomasz Skorupski utrzymywał przez cały czas ożywioną korespondencję z rodzicami i narzeczoną, miał z nimi widzenia. Pisał codziennie, czasem wysyłał po trzy listy dziennie. Nie był też tak bardzo wojowniczy, jakby wynikało z opisywanych prób „ucieczek” – wcześniej dwukrotnie pisał do komendanta wojewódzkiego MO prośby o uchylenie internowania – 30 stycznia 1982 r. i 20 lutego 1982 r.<sup>14</sup>

Skorupski dwukrotnie przebywał w szpitalach – za drugim razem, 18 lutego 1982 r., został skierowany do szpitala psychiatrycznego na Dziekance w Gnieźnie. Wytrwał tam jeden dzień, uciekł stamtąd 19 lutego – udając się do ... Komendy Miejskiej MO w Gnieźnie, gdzie napisał oświadczenie, które zachowało się w „Teczce internowanego”. Czytamy w nim: „W godzinach nocnych opuściłem samowolnie oddział szpitalny w Gnieźnie, w Dziekance (Interna męska). Udałem się następnie do Komendy Miasta Milicji Obywatelskiej z prośbą o przeniesienie mnie do Ośrodka Odosobnienia w Gębarzewie. Związane jest to z rozmowami, które zaczęli prowadzić ze mną chorzy, np. dwóch podało się za internowanych twierdząc, że internował ich Marszałek Piłsudski [...] Stwierdzam, że biorę na własną odpowiedzialność ewentualne negatywne następstwa związane z niechęcią przebywania na powyższym oddziale”<sup>15</sup>. Człowiek, który wcześniej kilkakrotnie podejmował próby ucieczki z ośrodka odosobnienia w Gębarzewie, nie skorzystał z okazji i nie uciekł ze szpitala, tylko udał się na milicję, prosząc, by go odstawiono z powrotem do „internatu”.

I cóż? Wraca – i znów nie ponosi żadnych konsekwencji. Wkrótce, 8 marca 1982 r., na podstawie decyzji komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Poznaniu opuszcza ośrodek odosobnienia w Gębarzewie. Tak kończy się pierwszy życiorys Tomasza Skorupskiego – niezależnego działacza studenckiego.

Wydawać by się mogło, że to przecież nic takiego – wielu spośród tych, którzy w pierwszym okresie stanu wojennego zostało internowanych, po wyjściu z „internatu” zaprzestało jakiegokolwiek działalności, gdyby nie ta druga teczka, drugi życiorys... Tomasz Skorupski – urodzony 25 sierpnia 1958 r. we Wrześni. W zasobie archiwum oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Poznaniu mamy drugą teczkę dotyczącą tej osoby. Tym razem jest to teczka funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa<sup>16</sup>.

Z akt osobowych funkcjonariusza SB Tomasza Skorupskiego dowiadujemy się, że 16 października 1984 r. napisał do szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Kaliszu prośbę o przyjęcie „do służby w organach Milicji Obywatelskiej”<sup>17</sup>. Ze znajdujących się w aktach ankiety personalnej dowiadujemy się, że droga jego edukacji uniwersyteckiej była dość „wyboista”. Studia na Wydziale Prawa UAM w Poznaniu rozpoczął w 1977 r., a już wiosną 1978 r. został

<sup>12</sup> *Ibidem*, k. 1.

<sup>13</sup> *Ibidem*, cz. C. Karty ewidencji próśb, skarg i wniosków oraz korespondencji prywatnej i widzeń.

<sup>14</sup> *Ibidem*.

<sup>15</sup> *Ibidem*, cz. C, k. 4.

<sup>16</sup> AIPN Po, 084/4024. Teczka akt osobowych funkcjonariusza – T. Skorupski (nr 138373).

<sup>17</sup> *Ibidem*, k. 1.

skreślony z listy studentów. W 1979 r. ponownie rozpoczął studia na tym samym wydziale<sup>18</sup>. Ostatecznie ukończył Zaoczne Zawodowe Studium Administracyjne na UAM w Poznaniu<sup>19</sup>. Na marginesie warto zauważyć, że tego rodzaju „studia” kończyło wielu funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, uzupełniając swoje wykształcenie. Z tego samego dokumentu dowiadujemy się, że jego ojciec był aktywnym członkiem ORMO w Kopalni Węgla Brunatnego w Koninie.

W ankiecie personalnej odnaleźć można jeszcze jeden ciekawy zapis. W rubryce: „Przez kogo został skierowany lub polecony do MSW, kto może udzielić referencji?” – Tomasz Skorupski wpisał: „płk Jerzy Więckowski”<sup>20</sup>. Płk Jerzy Więckowski był w latach 1981–1989 zastępcą, najpierw komendanta wojewódzkiego MO, a potem szefa WUSW do spraw Służby Bezpieczeństwa w Kaliszu. To była mocna rekomendacja dla rozpoczynającego karierę w szeregach SB.

W dokumentach zgromadzonych w teczce osobowej funkcjonariusza nie ma ani słowa o tym, że na uniwersytecie był aktywnym członkiem niezależnych organizacji studenckich (ZA „Pro Patria”), Nie ma w teczce także żadnej wzmianki o tym, że był internowany w Gębarzewie. Nie ma tego również we własnoręcznie napisanym przez Skorupskiego życiorysie: „W okresie studiów należę do ZSP, będąc członkiem plenum Rady Okręgowej”. W aktach osobowych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa na ogół zwraca uwagę drobiazgowość informacji na temat kandydata do służby w resorcie. Gromadzone są tam informacje nie tylko o samym kandydacie, ale także o jego rodzinie, o rodzinie współmałżonka itp. Jak to się stało, że w teczce Tomasza Skorupskiego funkcjonariusze dopuścili się takiego „przeoczenia”? Jak to się stało, że w niespełna półtora roku po tym, jak działacz „Pro Patrii” wyszedł z ośrodka odosobnienia w Gębarzewie, składając prośbę o przyjęcie go do służby w resorcie, o tak ważnym wydarzeniu „zapomniał” i on, i „zapomnieli” ci, którzy przeprowadzali sprawdzenie kandydata? I jeszcze jedno – działacz studenckiej organizacji o wyrazistym obliczu ideowym, katolickiego Związku Akademickiego „Pro Patria” – w ankiecie personalnej wpisuje „bezwyznaniowy”.

Bardzo szybko kandydat do MO staje się funkcjonariuszem komunistycznej Służby Bezpieczeństwa – 19 grudnia 1984 r. Tomasz Skorupski został skierowany na stanowisko inspektora Wydziału V SB WUSW w Kaliszu.

W aktach funkcjonariusza Skorupskiego znajdujemy również wyjaśnienie, co działo się z nim w okresie między opuszczeniem ośrodka odosobnienia w marcu 1982 r. a momentem złożenia podania o przyjęcie go do SB. W jego teczce osobowej znajduje się opinia wystawiona przez Radę Okręgową Zrzeszenia Studentów Polskich<sup>21</sup> w Poznaniu, podpisana przez wiceprzewodniczącego tego ciała, Leszka Różańskiego. Czytamy w niej, że Tomasz Skorupski „Uczestniczył w formułowaniu i realizowaniu taktyki RU ZSP UAM wobec sił opozycyjnych, skupionych w konwencie samorządu studentów UAM, współtworząc dokumenty, formułowane przez RU ZSP UAM, wchodząc w skład gremium, zajmującego się realizowaniem interesów opcji politycznej, do której przynależy RU ZSP UAM na Uniwersytecie”<sup>22</sup>. Jak widać, przyszły etatowy funkcjonariusz SB nie próżnował. Przeszedł do służ-

<sup>18</sup> *Ibidem*, k. 5. Własnoręczny życiorys.

<sup>19</sup> *Ibidem*, k. 10. Zaświadczenie wydane przez UAM 9 XI 1984 r. o tym, że T. Skorupski jest studentem III (ostatniego) roku tegoż ZZSA UAM.

<sup>20</sup> *Ibidem*, k. 4.

<sup>21</sup> Zrzeszenie Studentów Polskich było kolejną emanacją koncesjonowanej organizacji studenckiej działającej na polskich uczelniach. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy Jaruzelski i WRON zaczęli mówić o „normalizacji” – skompromitowany Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (SZSP) zastąpiło ZSP. Ci sami ludzie, te same cele – tylko szyld nieco inny.

<sup>22</sup> AIPN Po, 084/4024, cz. II, k. 13.

by na „froncie ideologicznym”, stając się jednym z realizatorów polityki „normalizacji” na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Na opozycji wśród studentów Tomasz Skorupski – były działacz z kręgu ludzi RMP i ZA „Pro Patria”, a później funkcjonariusz SB – na pewno się znał... Poznańskie struktury ZSP, również wtedy gdy Tomasz Skorupski był już funkcjonariuszem komunistycznej „bezpieki”, korzystały z jego usług, zwracając się do jego przełożonych o wyrażenie zgody na prowadzenie przez niego „wykładów” dla studentów „roku 0”, biorących udział w organizowanych przez ZSP obozach adaptacyjnych.

Przeobrażenie studenta-opozycjonisty w funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa było nad wyraz skuteczne. Kolejne charakterystyki i oceny wystawiane funkcjonariuszowi SB w Kaliszu, a potem w Poznaniu pokazują, że jako członek komunistycznej policji politycznej dobrze spełniał swoje obowiązki.

W opinii wystawionej 18 sierpnia 1986 r. uzyskał pozytywną ocenę mimo wskazywanych braków doświadczenia w pracy operacyjnej. Sierżant Skorupski został wówczas wyróżniony za pracę nad „zabezpieczeniem” festiwalu w Jarocinie”<sup>23</sup>.

Kolejne charakterystyki pisane przez esbeckich przełożonych potwierdzają dobre oceny jego zaangażowania w pracę skierowaną przeciw szeroko rozumianej opozycji. W 1987 r., już po przeniesieniu do Poznania, pisano o nim: „Posiada właściwe przygotowanie ogólne i zawodowe do pracy operacyjnej. Mimo krótkiego okresu pracy po pionie IV, opiniowany przejawia inicjatywę i aktywność operacyjną [...]”<sup>24</sup>.

Również ostatnia opinia, znajdująca się w teczce osobowej funkcjonariusza SB, zawiera pozytywne oceny. Pisano w niej: „Funkcjonariusz przygotowany do pracy na odcinku operacyjnym, przejawiający dyspozycyjność i inicjatywę zawodową. Osobiście organizuje osobowe źródła informacji i właściwie kieruje nimi”<sup>25</sup>.

Z dniem 15 lipca 1987 r. – już podporucznik – Tomasz Skorupski został na własną prośbę przeniesiony do dyspozycji szefa WUSW w Poznaniu, a tam skierowany do pracy na stanowisko inspektora Wydziału IV SB WUSW w Poznaniu. Teraz w stolicy Wielkopolski „zajmował się” Kościołem katolickim. Można powiedzieć, że się na tym znał. Doświadczenie wyniesione z katolickiej organizacji akademickiej, gdzie miał kontakty m.in. ze studentami związanymi z Duszpasterstwem Akademickim, niewątpliwie okazały się przydatne.

2 czerwca 1989 r. ppor. Tomasz Skorupski został inspektorem Inspektoratu 2 WUSW w Poznaniu, a 25 września tego roku mianowano go starszym inspektorem Wydziału Studiów i Analiz SB WUSW w Poznaniu (który powstał na bazie Wydziału IV). Ostatniego dnia stycznia 1990 r. znalazł się w dyspozycji szefa poznańskiego WUSW. Ostatnią funkcją, którą powierzono ppor. Skorupskiemu, było stanowisko inspektora Kompanii Wywiadowczej Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu. Jego kariera skończyła się 31 lipca 1990 r., kiedy to po negatywnej weryfikacji został zwolniony ze służby.

Pokręcone ludzkie losy ostatniego, schyłkowego okresu PRL-u? Czy tylko? A może podwójne oblicze? Może pomiędzy te dwa, tak różne, tak nieprzystające do siebie życiorysy trzeba wpisać jeszcze jeden? Tego trzeciego – tajnego – życiorysu z końca lat siedemdziesiątych i początku lat osiemdziesiątych dotychczas nie opisano. Ale to już zadanie stojące przed badaczem dziejów niezależnych organizacji studenckich w Poznaniu z lat 1977–1981, choćby Ruchu Młodej Polski czy „Pro Patrii”.

<sup>23</sup> *Ibidem*, cz. II, k. 16.

<sup>24</sup> *Ibidem*, k. 22v. Charakterystyka i ocena.

<sup>25</sup> *Ibidem*.

# GŁODEM WEŹMIEMY KOMUNĘ!

## STRAJKI GŁODOWE NA ŚLĄSKU I W ZAGŁĘBIU W 1981 ROKU W OBRONIE WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH PRL

**Aresztowanie 23 września 1980 r. przywódcy pierwszej opozycyjnej partii, Konfederacji Polski Niepodległej (KPN) – Leszka Moczulskiego – i postawienie mu zarzutu łżenia naczelnych władz PRL uczyniło kwestię istnienia w Polsce Ludowej więźniów politycznych na powrót aktualną. Władze państwowe nie zamierzały na tym zakończyć działalności represyjnej wobec uznawanej za wywrotową „nielegalnej” i antykomunistycznej partii politycznej. Biuro Śledcze MSW, pod nadzorem Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, rozpoczęło dochodzenie w sprawie antypaństwowej działalności KPN, dążącej – zdaniem reżimowej propagandy – do obalenia siłą socjalistycznego ustroju państwa polskiego.**

W ciągu czterech miesięcy (do stycznia 1981 r.) aresztowano kolejnych aktywnych działaczy Konfederacji: Krzysztofa Bzdyla, Zygmunta Goławskiego, Tadeusza Jandziszaka, Tadeusza Stańskiego, Romualda Szeremietiewa, Jerzego Sychuta oraz współpracującego z KPN, a związanego z ROPCiO twórcę Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu, Wojciecha Ziemińskiego.

### **Komitety – TAK! Więźniowie polityczni – NIE!**

Reakcja podziemnych środowisk niepodległościowych (KPN, ROPCiO, Ruch Wolnych Demokratów, Ruch Młodej Polski) była natychmiastowa, choć ograniczyła się wyłącznie do skromnej akcji informacyjnej, wydania oświadczeń potępiających władze oraz wystosowania listu w obronie Leszka Moczulskiego, skierowanego do ministra spraw wewnętrznych PRL<sup>1</sup>. Działania te, aczkolwiek mające ograniczony charakter, tworzyły odpowiedni grunt pod powołanie zorganizowanego ruchu społecznego, walczącego z komunistami o uwolnienie więźniów politycznych. Pierwsze dokumenty, wydane przez KPN i RMP już w dwa i trzy dni po aresztowaniu Moczulskiego (25 i 26 września), wzywały całe społeczeństwo do obrony ludzi więzionych w PRL za przekonania polityczne<sup>2</sup>.

Z inicjatywy działaczy ROPCiO i RMP w grudniu 1980 r. rozpoczęto przygotowania do upublicznienia sprawy więźniów politycznych i nadania ram organizacyjnych działaniom

<sup>1</sup> G. Waligóra, *ROPCiO*, Warszawa 2006, s. 274, 277, 278, 283. 26 IX 1980 r. – oświadczenia RMP w sprawie nielegalnego aresztowania Leszka Moczulskiego; 5 X 1980 r. – list RWD do ministra spraw wewnętrznych PRL w obronie Leszka Moczulskiego (zob. dokument nr 34 [w:] *Ruch Wolnych Demokratów 1975–1980. Wybór dokumentów*, oprac. G. Waligóra, Kraków 2003); październik 1980 r. – oświadczenie ROPCiO w sprawie uwolnienia więźniów politycznych – braci Kowalczyków i Leszka Moczulskiego; listopad 1980 r. – trzy oświadczenia ROPCiO w obronie liderów KPN oraz Wojciecha Ziemińskiego.

<sup>2</sup> Tekst oświadczenia z 25 IX 1980 r. sygnowanego przez KPN. Dokument z prywatnego archiwum Tadeusza Szczudłowskiego – kopia w posiadaniu autora.

zmierzającym do ich uwolnienia, wykorzystującym struktury niezależnego ruchu związkowego. Nie było to łatwe, zważywszy na opór części doradców Lecha Wałęsy, obawiających się posądzenia „Solidarności” o ekstremizm, antykomunizm i odrzucanie konstytucyjnej płaszczyzny porozumienia z władzą. Dla niektórych ofiara złożona z kilku politycznych radykałów siedzących w więzieniu była niewielką ceną za akceptację ze strony komunistów. Plany inicjatorów tej akcji (Dariusza Kobzdeja, Tadeusza Szczudłowskiego i in.) opierały się na stworzeniu szerokiego ruchu społecznego, domagającego się realizacji 4. punktu porozumień gdańskich z sierpnia 1980 r., mówiącego o „zaniechaniu represji za wyznawane i głoszone publicznie poglądy polityczne”. Ostatecznie przeforsowana 10 grudnia 1980 r. uchwała Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” odzwierciedlała koncepcję Jacka Kuronia. Odrzucono pomysł użycia w nazwie mocnego pojęcia „więźniowie polityczni” z obawy przed negatywną reakcją komunistycznych władz, przyjmując ostateczną nazwę – Komitety Obrony Więzionych za Przekonania (KOWzaP). Komitety działające pod patronatem związku miały być ciałem elitarnym, skupiającym wybitne autorytety moralne i intelektualne (50 osób), wypowiadające się w sprawie więzionych za przekonania. Ostatecznie „zapomniano” o włączeniu rodzin aresztowanych działaczy KPN do komitetów, co było na rękę tym, którzy postrzegali takie działanie jako ryzykowne wobec władzy. Do dziesięciu osób, oddelegowanych do komitetów przez KKP NSZZ „Solidarność” z Lechem Wałęsą na czele, w następnych dniach dołączyła spora grupa intelektualistów<sup>3</sup>. Powołane ciało nie było zdolne do żadnych bardziej zdecydowanych działań, poprzestając na rozpisaniu wieloetapowego konkursu na plakat dotyczący więzionych za przekonania. Impuls musiał przyjść z zewnątrz.

### **„WOLNOŚĆ dla więźniów politycznych!”**

Jednoznaczne stwierdzenie Marii Moczulskiej, żony aresztowanego przywódcy KPN, krytykujące bezwzględnie „konkursowe” wysiłki komitetu – „pomysł na konkurs proponuje zachować do czasu, aż za kratkami znajdzie się Jacek Kuroń” – zbulwersowało szacowne grono intelektualistów i spowodowało ostateczny uwiad organizacji<sup>4</sup>. Pozostała jednak nazwa, sprawnie wykorzystana dzięki energii, poświęceniu i determinacji pani Moczulskiej. W pierwszej połowie roku 1981, przy poparciu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”, odbyła ona ponad 60 spotkań z robotnikami polskich zakładów pracy, studentami i zainteresowanymi obywatelami, które zaowocowały dynamicznym rozwojem KOWzaP, bliższych idei Dariusza Kobzdeja i Tadeusza Szczudłowskiego niż poprzedniej rachitycznej organizacji.

Maria Moczulska trafiła na Śląsk, gdzie idea więźniów politycznych miała już spore grono oddanych bojowników wśród działaczy Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność” i (wtedy jeszcze nielicznych) sympatyków KPN. Zanim powstały oficjalne, masowe i dobrze zorganizowane struktury zakładowych i miejskich KOWzaP, w Katowicach zaczął ukazywać się biuletyn „Wolność”, w całości poświęcony problematyce więźniów politycznych w PRL<sup>5</sup>. Kolejny numer biuletynu informował już o zawarciu się 10 marca

<sup>3</sup> Wśród 50 osób znaleźli się: M. Brandys, K. Dejmek, A. Steinsbergowa, W. Wiłkomirska, S. Wądołowski, Z. Bujak, Z. Romaszewski.

<sup>4</sup> Zob. A. Dudek, M. Gawlikowski, *Leszek Moczulski – bez wahania*, Kraków 1993, s. 145, 147; Relacja Marii Moczulskiej, 19 I 2007 r.

<sup>5</sup> Pierwszy numer pisma z lutego 1981 r. miał podtytuł nawiązujący do oficjalnej nazwy – „Biuletyn Informacyjny »Wolność« Koła Obrońców Ludzi Więzionych za Przekonania”.

1981 r. regionalnego KOWzaP, po wcześniejszych spotkaniach z Marią Moczulską<sup>6</sup>. W ciągu dwóch miesięcy komitety powstały w większości dużych zakładów przemysłowych Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego – zwłaszcza w kopalniach i hutach – ale również mniejszych zakładach przemysłowych, miastach oraz na wyższych uczelniach. W maju 1981 r. rozpoczął swoją działalność międzyuczelniany KOWzaP, skupiający studentów Uniwersytetu Śląskiego, Politechniki Śląskiej i Śląskiej Akademii Medycznej. Powstający regionalny KOWzaP rozpoczął dynamiczną akcję informacyjną dotyczącą więźniów politycznych – wydawanie ulotek, tworzenie gazetek zakładowych, akcje plakatowe, zbieranie podpisów pod petycjami o uwolnienie „politycznych”, organizowanie spotkań informacyjnych oraz manifestacje i marsze protestacyjne. Wewnątrz śląskiego KOWzaP wyodrębniły się, zdaniem działaczki myślowickiego komitetu, a zarazem aktywnej członkini KPN, Barbary Czyż, dwa nurty: pierwszy – traktujący komitety jako narzędzie walki KPN o uwolnienie swoich liderów, a zarazem narzędzie propagowania haseł antykomunistycznych i drugi – starający się komitety przekształcić w organizację zbliżoną do zachodnioeuropejskiej Amnesty International<sup>7</sup>.

Aktywność KOWzaP szybko spotkała się z przeciwdziałaniem ze strony SB, starającej się zdeintegrować inicjatywy komitetów, zastraszyć lub skłócić działaczy, a nawet niektórych wyeliminować. Za wywieszenie na balkonie własnego mieszkania w centrum Katowic (tzw. Superjednostka) transparentu z napisem „Wolność dla więźniów politycznych” zatruto gazem mieszkanie Teresy Baranowskiej – działaczki KPN, NSZZ „Solidarność” i KOWzaP. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nie uległa śmiertelnemu zatruciu<sup>8</sup>.

Przełomowym wydarzeniem, które doprowadziło do radykalizacji działań KOWzaP na terenie Polski, a zwłaszcza Śląska i Zagłębia, było fiasko rozmów prowadzonych przez grupę roboczą KKP do spraw więźniów politycznych NSZZ „Solidarność” z Komisją Rządową, złożoną z przedstawicieli PZPR i prokuratury<sup>9</sup>. Negocjacje (27 kwietnia 1981 r.) objęły szeroko pojmowane zagadnienia 4. punktu porozumień sierpniowych, zmierzając do całkowitego rozbicia monopolu ideologicznego PZPR. Oprócz oczywistego i zrozumiałego upomnienia się o trzymany w więzieniu działaczy KPN oraz braci Kowalczyków, zaniechania działań przygotowawczych prokuratury wobec działaczy opozycyjnych, przedstawiciele „Solidarności” żądali uznania przedsierpniowej działalności opozycyjnej i antykomunistycznej za dopuszczalną oraz nieszkodliwą społecznie. Zaakceptowanie przez delegację rządu komunistycznego zwłaszcza tych dwóch postulatów byłoby równoznaczne z przekreśleniem fragmentów konstytucji PRL mówiących o pryncypiach ideologicznych ustroju państwa.

<sup>6</sup> „Biuletyn Informacyjny »Wolność« Regionalnego Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania”, 15 III 1981, nr 2.

<sup>7</sup> Relacja Barbary Czyż, 26 II 2007 r.

<sup>8</sup> Relacja Teresy Baranowskiej, 23 II 2007 r. Mieszkanie T. Baranowskiej zostało zatrute mieszanką merkaptanów i środków toksycznych, analogicznych do użytych przez SB w czasie październikowej „prowokacji sosnowieckiej” (w czasie trwania procesu lidera NSZZ „Solidarność” KWK Sosnowiec, Wojciecha Figła, SB użyła trującego gazu znajdującego się w fiolkach wyrzuconych pod kopalnią z czarnej esbeckiej wołgi. Zatruciu uległo wówczas kilkadziesiąt osób). Wywieszony przez Baranowską transparent z hasłem „Wolność dla więźniów politycznych” wisiał przez kilka dni, od 1 V 1981 r. do Święta Hutników – 4 V 1981 r. Wściekłość SB potęgował fakt, że naprzeciw „Superjednostki” znajduje się Pomnik Powstań Śląskich, pod którym odbywały się centralne uroczystości pierwszomajowe w Katowicach.

<sup>9</sup> Z ramienia „Solidarności” w rozmowach wystąpili m.in.: A. Gwiazda, A. Rozpłochowski, S. Wądołowski, T. Jedynek, C. Niezgoda.

Przedstawiciele władz bezczelnie twierdzili w czasie rozmów, że w PRL nie ma ludzi więzionych za przekonania polityczne<sup>10</sup>. Przyjęty przez nich tok rozumowania, wyrastający z dialektyki marksistowskiej, zakładał rozdział i autonomię między myślą człowieka a jego czynem. A zatem trzymani w więzieniach antykomuniści zostali aresztowani nie za swoje poglądy, ale za podejmowane działania przeciw ustrojowi politycznemu PRL. Ten erystyczny wybieg obnażał nieprecyzyjność przyjętego pojęcia „ludzie więzieni za przekonania”. Zdaniem władz, liderzy KPN mogli odzyskać wolność tylko pod warunkiem złożenia deklaracji, że zakończą działalność antykomunistyczną. Wobec całkowitej różnicy zdań oraz jednoznacznego braku woli ze strony przedstawicieli PZPR, rozmowy zostały przerwane bez ustalenia daty kolejnego spotkania. Nastąpił impas, trudny do pokonania wobec całkowitego zamknięcia się władz na napływające petycje, listy, apele i organizowane manifestacje w obronie więźniów politycznych.

### **Pierwszy protest głodowy**

W obliczu arogancji władz radykalizacja protestów i zmiana ich charakteru były nieuniknione. Na przyjęcie koncepcji rozpoczęcia strajku głodowego jako metody walki o uwolnienie więźniów politycznych złożyły się w takim samym stopniu wydarzenia zagraniczne, jak i krajowe. 5 maja 1981 r. śmiercią zakończył się protest głodowy irlandzkiego bojownika (członka lewicowej paramilitarnej PIRA), Bobby’ego Sandsa, walczącego zza krat, jako deputowany Izby Gmin, o przyznanie irlandzkim miejskim partyzantom statusu więźniów politycznych, zamiast dotychczasowego statusu pospolitych kryminalistów. Przykład Sandsa, który odbił się szerokim echem w polskim społeczeństwie, swoiście przenosząc sytuację irlandzką na rodzime warunki, zachęcał do podjęcia podobnie zdecydowanych działań. Zachęcająco działał również przykład krajowy. Władze komunistyczne, przyparte do muru półroczną głodówką prowadzoną w więzieniu i przebytym tam atakiem serca, zwolniły z więzienia 14 maja 1981 r. Zygmunta Goławskiego, informującego społeczeństwo za pośrednictwem opozycyjnych pism o prowadzonym przez niektórych działaczy KPN więziennym proteście głodowym. Nie trzeba było długo czekać na podjęcie podobnych spontanicznych działań.

Powołując się na fiasko rozmów przedstawicieli KKP NSZZ „Solidarność” oraz niespełnienie 4. punktu porozumień sierpniowych, 20 maja 1981 r. pięciu pracowników Fabryki Domów w Sosnowcu podjęło decyzję o rozpoczęciu protestu głodowego w sprawie uwol-

<sup>10</sup> Była to oczywista nieprawda. Oprócz liderów KPN w więzieniu przebywali bracia Jerzy i Ryszard Kowalczykowie, skazani na podstawie paragrafu 1 art. 126 kodeksu karnego – Jerzy na karę śmierci (zamienioną na dożywotnie więzienie) oraz Ryszard – na 25 lat więzienia. Kowalczykowie – jak argumentowali działacze KOWzaP, zostali skazani za czyn niepopołniony. Wysłanie w powietrze auli WSP w Opolu, w której miała odbyć się uroczystość wręczenia odznaczeń funkcjonariuszom resortu bezpieczeństwa za sprawne stłumienie wystąpień robotniczych na Wybrzeżu w 1970 r., nie miała charakteru „gwałtownego zamachu na życie funkcjonariusza publicznego”, a wyłącznie zamachu na mienie WSP w Opolu. W związku z tym proces Kowalczyków był niepraworządny, miał charakter odwetu politycznego. Zob. B. Stanosz, „Sprawa braci Kowalczyków”. *Fakty i wnioski*, „Tygodnik Solidarność”, 10 VII 1981, nr 15, s. 14. Działacze KOWzaP na terenie Polski stawali również w obronie Stanisława Matejczuka, skazanego na 6 lat więzienia za stworzenie „klimatu intelektualnego”, który doprowadził w Warszawie do śmierci funkcjonariusza MO, stawiającego opór w czasie próby rozbrojenia (list Piotra Szczudłowskiego do autora z 9 II 2007 r.).



# Wolność

KOŁA  
OBROŃCÓW  
LUDZI  
WIĘZIONYCH  
ZA  
PRZEKONANIA

numer 1 luty 1981

cena 2 zł

## DO CZYTELNIKÓW

NA TERENIE województwa katowickiego postanowiliśmy utworzyć Koło Obrońców Ludzi Więzionych za Przekonania oraz wydawać biuletyn informacyjny naszego Koła. Członkami Koła jest na razie kilka osób. Z przyczyn zasadniczych posługiwac się będziemy tymczasowo pseudonimami, które zamieszczone są w stopce redakcyjnej.

O powstaniu tego Koła powiadomić chcemy wszystkie organa opozycji demokratycznej w Polsce, to znaczy KPN, KSS KOR, ROPCzIO, Ruch Młodej Polski. Fakt powołania Koła zgłosimy też do Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania.

Skromnym naszym pragnieniem jest dotarcie z informacją na tereny województw katowickiego oraz częstochowskiego i bielsko-bialskiego, gdzie dotychczas bardzo mało ludzi zapoznanych jest dokładnie z działalnością organizacji będących w opozycji do skompromitowanej PZPR.

Zapoznając się z treścią i sensem działalności organów opozycyjnych w Polsce będą mogli nasi Czytelnicy z jeszcze większym zaangażowaniem domagać się uwolnienia ludzi więzionych za przekonania.

To, że utworzyliśmy nasze Koło i wydawać będziemy Biuletyn nie oznacza, że identyfikujemy się z przekonaniami politycznymi członków opozycyjnych organizacji. Nasz Biuletyn wydawany jest na podstawie artykułu 19 pkt. 1 i 2 Międzynarodowych Paktów Praw

PRZECZYTAŁEM w "Trybunie Robotniczej", nr 29 z dnia 9 lutego 1981 r. komunikat PAP o śledztwie przeciwko członkom Rady Politycznej KPN oraz następnym komunikat o dochodzeniu w sprawie działalności KSS KOR. Zmuszony więc jestem w tej sytuacji przedstawić na szym Czytelnikom sylwetkę aresztowanego obecnie przywódcy

## wspólna sprawa

Konfederacji Polski Niepodległej - Leszka Moczulskiego oraz żądania tej organizacji.

W dniu 23 września 1980 roku aresztowany został już po raz 25. redaktor Leszek Moczulski, twórca i przywódca Konfederacji Polski Niepodległej, wybitny dziennikarz, publicysta, historyk i prawnik.

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 4

## KOMUNIKAT

W DNIU 15 lutego 1981 roku w lokalu NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze odbyło się kolejne spotkanie członków Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Zebrani dokonali oceny prowadzonych akcji zbierania podpisów /dotychczas zebrano ich ponad 250 tys./ pod apelem Komitetu skierowanym do Prezydium Sejmu w sprawie uwolnienia Tadeusza Jandziszaka, Zygmunta Goławskiego, Ta-

DOKOŃCZENIE NA STRONIE 4

CIĄG DALSZY NA STR. 3 I 4

nienia więźniów politycznych<sup>11</sup>. Protest miał być prowadzony aż do skutku, czyli uwolnienia działaczy KPN. Nagłośniony przez biuletyny niezależnych związków zawodowych oraz opozycyjną prasę, wzbudził duże zainteresowanie w kraju. Już w pierwszych dniach głódówka uzyskała poparcie KOWzaP z Gdańska, wzywającego wszystkich działaczy komitetów do czynnej akcji i zdecydowanych działań w obronie więźniów politycznych. W ślad za gdańszczanami poparli głódówkę górnicy KWK „Andaluzja” z Piekar Śląskich, gdzie niezwykle prędko działał zakładowy KOWzaP, i robotnicy Fabryki Polmo w Sosnowcu. W tym samym czasie głodujących odwiedził amerykański dziennikarz, zainteresowanie strajkiem głodowym wykazała też Agencja Reutera, przekazując informacje o rozpoczętym proteście. Tylko komunistyczne media milczały na ten temat...

W ósmym dniu strajku głodowego, który został całkowicie zignorowany przez władze PRL, rzecznik strajkujących zwrócił się do Urzędu Rady Ministrów, uprzedzając w liście otwartym, że ewentualne tragiczne następstwa głódówki obarczą odpowiedzialnością wyłącznie komunistyczne władze niedostrzegające tego protestu.

Akcję solidarnościową z protestującymi w Fabryce Domów w Sosnowcu podjęto w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Sosnowcu, gdzie 26 maja 1981 r. głódówkę rozpoczęło trzech robotników z Sosnowca i Siemianowic Śląskich<sup>12</sup>. Wobec zignorowania przez władze głódówki prowadzonej w Sosnowcu, 28 maja 1981 r. 9 osób w gdańskiej Akademii Medycznej zainicjowało strajk głodowy, solidaryzując się z działaniami mieszkańców województwa katowickiego i upominając się o więźniów politycznych.

W tym samym dniu, w którym gdańszczanie rozpoczęli swój protest głodowy, zebrani w hali sportowej Huty Baildon w Katowicach przedstawiciele Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność” (519 komisji z terenu województwa katowickiego!) podjęli uchwałę solidaryzującą się z uczestnikami protestów głodowych. „[...] w pełni solidaryzujemy się z uczestnikami głódówki i kategorycznie żądamy uwolnienia więzionych za przekonania patriotów z KPN [...] oraz braci Kowalczyków” – czytamy w przyjętej uchwale<sup>13</sup>. Zdecydowane działanie przedstawicieli związkowych z województwa katowickiego spowodowane było dramatycznymi wydarzeniami rozgrywającymi się w pomieszczeniach związku, gdzie odbywał się protest. Pierwszy uczestnik głódówki z Fabryki Domów w Sosnowcu (Janusz Kuligowski) został odwieziony do szpitala z objawami postępującego osłabienia mięśniowego i poważnych zaburzeń czynności układu naczyniowego.

W ślad za uchwałą komisji władze polityczne PRL zostały zasypane apelami i wezwaniami poszczególnych komisji zakładowych oraz różnych grup opozycyjnych, a nawet prywatnych osób<sup>14</sup>. Trwała akcja zbierania podpisów pod społeczną petycją o uwolnienie więźniów politycznych, której inicjatorem był jeszcze w 1980 r. Adam Sandauer. Ostatecznie zebrano

<sup>11</sup> W proteście wzięli udział: Jacek Machura, Janusz Kuligowski, Zbigniew Rogacz, Janusz Kwiatkowski, Marian Łęgowik. Dwaj pierwsi – działacze NSZZ „Solidarność”.

<sup>12</sup> Byli to: Ryszard Bider – szef NSZZ „Solidarność” FSM w Sosnowcu, Jerzy Adamczak i Józef Bocian – pracownicy Fabudu z Siemianowic Śląskich.

<sup>13</sup> Głodujących w Fabryce Domów odwiedzili w tym samym dniu przedstawiciele „Solidarności”, Antoni Kopaczewski oraz członek Zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, a zarazem aktywny działacz regionalnego KOWzaP, Andrzej Rozpłochowski („Wiadomości Katowickie”, 29–31 V 1981, nr 39, s. 3).

<sup>14</sup> W tym czasie apele do władz wystosowały Komisje Zakładowe: Zakładu Opieki Zdrowotnej w Katowicach, Kolejowej Służby Zdrowia, Instytutu Medycyny Pracy, Instytutu Geologicznego w Sosnowcu oraz POP PZPR Zakładów Produkcji Elementów Budowlanych w Sosnowcu(!).

1,5 mln podpisów (wraz z adresami zamieszkania, których ujawnienie w tamtym okresie było niezwykle aktem cywilnej odwagi!).

### Najdłuższy protest głodowy Europy

Czerwiec 1981 r. otwierały najważniejsze protesty głodowe, właściwie dziś zapomniane, mające bardzo dramatyczny przebieg z powodu zwodniczej polityki partii komunistycznej – 1 czerwca 1981 r. o godz. 16.00 rozpoczął się protest głodowy w Przedsiębiorstwie Budowlano-Hutniczym w Katowicach, znany nielicznym jako „głodówka w hotelu Huty Baildon”. Protest przyciągnął uwagę społeczeństwa ze względu na udział w nim żony lidera KPN Marii Moczulskiej<sup>15</sup>. Następnego dnia analogiczny strajk głodowy na Śląsku rozpoczął się w Tarnowskich Górach. W świetlicy DRKP (Dyrekcja Regionalna Kolei Państwowych) NSZZ „Solidarność” głodówkę rozpoczęły trzy osoby<sup>16</sup>.

Napływające informacje nie napawały optymizmem. Sytuacja wśród głodujących w Fabryce Domów w Sosnowcu uległa znacznemu pogorszeniu. Drugi uczestnik głodówki (Jan Kwiatkowski) został odwieziony do szpitala z objawami zanikającego tętna. Również informacje napływające z więzienia były złe – chorujący na cukrzycę Tadeusz Jandziszak utracił słuch. Szefowie warszawskiego więzienia na ul. Rakowieckiej w dalszym ciągu nie zgadzali się na dostarczenie potrzebnych mu leków i przeprowadzenie stosownych badań. W takiej atmosferze 4 czerwca 1981 r. regionalne KOWzaP podjęły decyzję o rozpoczęciu 9 czerwca o godz. 9.00 ogólnokrajowego protestu czynnego. W tym dniu 48 zakładów z Sosnowca podpisało się pod uchwałą popierającą postulaty głodujących, a 18 zakładów znajdujących się na terenie tego miasta ogłosiło w dniu następnym pogotowie strajkowe. W uchwale podpisanej przez sosnowieckich robotników wezwano do zdecydowanych działań: „Apelujemy do załóg zakładów Śląska i Zagłębia o rozważenie podjęcia konkretnych form skutecznego protestu, mającego na celu spełnienie żądań głodujących. [...] w przypadku ewentualnej śmierci któregoś z uczestników strajku głodowego całkowitą winę ponosić będzie rząd PRL”<sup>17</sup>. Również księża diecezji sosnowieckiej wystosowali list do premiera PRL, gen. Wojciecha Jaruzelskiego, prosząc, w imię spokoju i ładu społecznego, o wyjaśnienie z pozycji rządu postulatów głodujących. W przeciwnym razie dalsza głodówka może zakończyć się śmiercią oraz spowodować sięgnięcie po jeszcze radykalniejsze metody działania. List pozostał bez odpowiedzi.

Głodówki jako forma walki politycznej postawiły duchowieństwo diecezji sosnowieckiej i katowickiej w trudnej sytuacji. Kościół poparł cele działalności KOWzaP zmierzające do uwolnienia więźniów politycznych, jednak z etycznego punktu widzenia duchowni nie mogli dać przyzwolenia na działanie mające charakter świadomie podjętego samobójstwa. Okolicznością łagodzącą mogło być poświęcenie swojego życia za innych, lecz celem głodówki było nie tyle ratowanie zagrożonego życia innych ludzi, ile walka o ich wolność. Opiekun głodu-

<sup>15</sup> W strajku głodowym odbywającym się na I piętrze hotelu wraz z Marią Moczulską udział wzięli: Albin Białoń – pracownik Zakładów Remontowych i Produkcyjnych Maszyn Elektrycznych DAMEL z Dąbrowy Górniczej; Tadeusz Kicki – prawnik pozbawiony prawa wykonywania zawodu, wtedy spawacz; Krystian Rocznik – kierowca z Kombinatu Koksochemicznego w Zabrze (relacja Marii Moczulskiej, 19 I 2007 r.).

<sup>16</sup> Byli to działacze KOWzaP z Tarnowskich Gór: Hubert Niglus – działacz NSZZ „Solidarność” Kaletańskich Zakładów Celulozowo-Papierniczych; Włodzimierz Jackowski – działacz NSZZ „Solidarność” FAZOS w Tarnowskich Górach; Jerzy Krzempek – działacz NSZZ „Solidarność” DRKP w Tarnowskich Górach.

<sup>17</sup> „Wiadomości Katowickie”, 4 VI 1981, nr 42, s. 1.

jących w hotelu Huty Baildon, wtedy neoprezbiter, wikary parafii p.w. św. Jana i Pawła Męczenników w Katowicach Dębie, ks. Stanisław Juraszek, potwierdza te wątpliwości. W czasie rozmowy z biskupem Józefem Kurpasem proboszcz ks. Jerzy Strzyż i ks. Stanisław Juraszek zostali pouczeni, że spowiedź i Najświętszy Sakrament mogą zostać udzielone tylko w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia głodujących. Pomimo słuszności protestu, jest to grzech<sup>18</sup>.

### Tu nie chodzi o męża!

Pod naciskiem opinii publicznej oraz działań Kościoła władze komunistyczne zdecydowały się na ustępstwa. Przywódcy KPN 6 czerwca 1981 r. odzyskali wolność, zawdzięczając ją interwencji prymasa Wyszyńskiego. Była to, zdaniem ks. Bronisława Piaseckiego, kapelana prymasa i sympatyka KPN, ostatnia akcja zmorzonego śmiertelną chorobą przywódcy polskiego Kościoła<sup>19</sup>. Kilka dni po pamiętnej rozmowie z Kazimierzem Barcikowskim, który obiecał w imieniu władz wypuszczenie na wolność działaczy KPN, prymas zmarł.

Wraz z uwolnieniem liderów KPN zakończyły protest grupy głodujących w Sosnowcu, Tarnowskich Górach, Gdańsku i Płocku. Protest trwał nadal w Katowicach. Głodujący w hotelu Huty Baildon w Katowicach 9 czerwca 1981 r. wydali oświadczenie, w którym poinformowali społeczeństwo i władze, że strajk będzie kontynuowany do chwili ogłoszenia w mediach, lub w inny wiarygodny sposób, wiadomości o ułaskawieniu braci Kowalczyków. Decyzja o uwolnieniu liderów KPN miała, zdaniem Marii Moczulskiej, w mniemaniu bezpieczeństwa nie tylko zakończyć wszystkie strajki, lecz także dostarczyć argumentów do walki z komitetami. Chodziło o pokazanie społeczeństwu, że protesty kierowane przez Moczulską były walką o męża, a nie o więźniów politycznych. Kontynuacja protestu – uważała Moczulska – „wytraçała broń z ręki bezpiece, dlatego że ja nie głodowałam o swojego męża, żeby wrócił do domu, tylko głodowałam o więźniów politycznych – wszystkich! Czyli KPN plus bracia Kowalczykowie, o których nikt nie chciał słowa powiedzieć!”<sup>20</sup>

W dzień po wydaniu oświadczenia o kontynuacji strajku Komisja Zakładowa Huty Baildon przyjęła uchwałę skierowaną do premiera Jaruzelskiego, wzywającą m.in. do poszanowania podpisanych przez rząd porozumień społecznych, których nieprzestrzeganie jest przyczyną drastycznych form nacisku na władzę w postaci głódówek protestacyjnych. Generał Wojciech Jaruzelski został wezwany do podjęcia działań mających na celu rewizję procesu Jerzego i Ryszarda Kowalczyków. „Nie możemy biernie przyglądać się, jak umierają Polacy” – czytamy w uchwale. Podobne uchwały zostały przyjęte przez komisje zakładowe innych zakładów na terenie kraju. Taktyka komunistów została zmieniona. Zamiast ignorowania protestów społecznych, władze zdecydowały się na zastosowanie „obstrukcji prawnej” – obiecując rozpatrzenie wniosku, zwodząc, przeciągając procedury, odraczając spotkania organów odpowiedzialnych za podjęcie stosownych decyzji itd. Taktyka ta miała sprawiać wrażenie dobrej woli ze strony partii.

Badania lekarskie protestujących (16 czerwca 1981 r.) wskazywały u Marii Moczulskiej i Krystiana Rocznika stałe i szybko pogłębiające się pogorszenie stanu zdrowia, głodowe nudności i wymioty, do których po paru dniach doszły dalsze objawy w postaci rozchwiania stanu emocjonalnego (pobudzenie-apatia). Lekarze podkreślali w oficjalnych komunikatach, że gło-

<sup>18</sup> Relacja ks. Stanisława Juraszka, 1 III 2007 r.

<sup>19</sup> Za: A. Dudek, M. Gawlikowski, *Leszek Moczulski – bez wahania...*, s. 149; Relacja Leszka Moczulskiego, 19 I 2007 r.

<sup>20</sup> Relacja Marii Moczulskiej, 19 I 2007 r.

dujący znajdują się już w stanie bezpośredniego zagrożenia życia. Zapowiadana przez Moczulską decyzja odmowy przyjmowania płynów wskazywała na możliwy tragiczny finał protestu. Ks. Stanisław Juraszek wspomina te dramatyczne chwile: „Stan pani Moczulskiej był już tak poważny – to było całkowite wycieńczenie fizyczne i psychiczne – że rozmawiałem z nią na temat spraw ostatecznych. To była rozmowa testamentalna – na temat śmierci, ale też pogrzebu, cmentarza i grobu rodzinnego w Warszawie. Mnie to przerażało, ale starałem się ją pocieszyć”<sup>21</sup>.

Tego samego dnia (16 czerwca 1981 r.) przebywający na wolności Leszek Moczulski wyśtosował depeszę do prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Stefana Bratkowskiego, wzywającą – w imię zasad etycznych dziennikarstwa – do przerwania zmywu milczenia wokół katowickiego strajku głodowego, który w najbliższych dniach może zakończyć się śmiercią protestujących. Depesza pozostała bez odpowiedzi...

W czasie gdy w Warszawie trwał już proces przywódców KPN, w Katowicach rozgrywał się dramatyczny epilog strajku głodowego. Rzecznik protestujących skierował do całego społeczeństwa apel: „[...] nie pozwólcie im umrzeć, w imię zasad sprawiedliwości społecznej i humanitaryzmu [...]”. Lech Wałęsa, w imieniu całego związku, przekazał na ręce przewodniczącego Rady Państwa apel popierający uwolnienie braci Kowalczyków. Na łamach niezależnych „Wiadomości Katowickich” ukazał się pisany na gorąco apel regionalnych KOWzaP, sporządzony 19 czerwca po badaniach lekarskich oraz zapowiedzi dalszej radykalizacji protestu przez zaprzestanie przyjmowania wody i niepoddawanie się dalszym badaniom lekarskim: „Wasz protest trwa już 19 dzień. Samotni, odcinani od społeczeństwa milczeniem cenzurowanej prasy, trwacie już dłużej niż uczestnicy którejkolwiek głodowej akcji w Polsce lub na kontynencie europejskim. Waszej niezłomności przeciwstawia się spisek przeciwko walce o wolność. Przejawem tego spisku jest celowe opóźnianie posiedzenia Rady Państwa, wykrętne potraktowanie sprawy w Sejmie przez przewodniczącego nadzwyczajnej komisji, ścisłe embargo na wiadomości prasowe o głodówce i stanie zdrowia protestujących. Uzasadnione staje się przypuszczenie, że są ludzie świadomie dążący do tragicznego zakończenia głodówki, do Waszej śmierci, do której jesteście gotowi, ale i do wszelkich następstw tego faktu dla wolności, dla Polski. Wbrew wszystkiemu Wasza ofiara przynosi już widome skutki. Bracia Kowalczykowie są jeszcze w więzieniu, lecz otworzyliście już dla nich bramy wolności”<sup>22</sup>.

Wieści przekazywane kurii katowickiej za pośrednictwem delegowanego przez proboszcza ks. Stanisława Juraszka były na tyle niepokojące, że bp Józef Kurpas i bp Czesław Domin przesyłali je na bieżąco do Warszawy. Reakcja w chwili zagrożenia życia była natychmiastowa. Na polecenie bp. Bronisława Dąbrowskiego bp Czesław Domin wraz z księżmi miejscowej parafii udał się do protestujących w nocy z piątku na sobotę 19–20 czerwca 1981 r. Po udzieleniu protestującym pasterskiego błogosławieństwa odczytał teleks przesłany przez bp. Dąbrowskiego i list biskupów katowickich sygnowany przez bp. Herberta Bednorza, w którym hierarchowie wezwali do honorowego zakończenia głodówki, jednocześnie zobowiązując się do przejścia przez Kościół dalszych starań o uwolnienie braci Kowalczyków.

O godzinie 1.15 (21 czerwca 1981 r.) pod budynek hotelu Huty Baildon w Katowicach podjechały karetki pogotowia, którymi bliskich śmierci strajkujących przewieziono na oddział reanimacji Szpitala Górniczego w katowickim Ochojcu. Poważny stan zdrowia Marii Moczul-

<sup>21</sup> Relacja ks. Stanisława Juraszka, 1 III 2007 r.

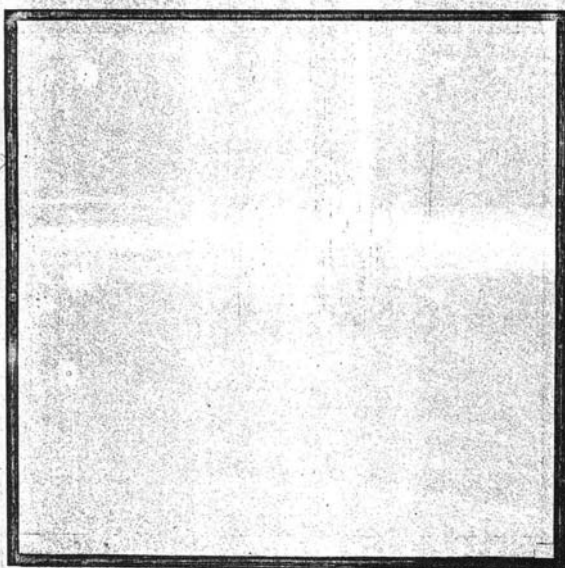
<sup>22</sup> „Wiadomości Katowickie”, 20–21 VI 1981, nr 53, s. 1.

skiej zmuszał do podjęcia ciężkiej operacji. Gdy opuszczała szpital w Ochojcu, przywódca KPN ponownie siedzieli w areszcie (od 9 lipca 1981 r.), a sprawa braci Kowalczyków ugrzęzła w bagnie negocjacji. Teoretycznie akcje protestacyjne zakończyły się niepowodzeniem.

W świadomości uczestników protest kończył się moralnym zwycięstwem. Nie był odbierany jako porażka – ze względu na rozpoczęcie, jak się wydawało, realnych negocjacji dotyczących zwolnienia Kowalczyków z więzienia. Strajk głodowy został zakończony na wyraźne polecenie najwyższego autorytetu moralnego w ówczesnej Polsce – polskiego Episkopatu. Najważniejszym efektem strajków głodowych w 1981 r. w województwie katowickim było przekonanie szerokich kręgów działaczy „Solidarności”, że negocjacje z komunistycznym reżimem PRL są pozbawione większego sensu. Wielu działaczy „Solidarności” zrozumiało, że rozmowy z przedstawicielami PZPR zawsze kończą się tak samo, w zamian za niewielkie ustępstwa traci się zasadniczy cel działalności opozycyjnej – wolność i niepodległość Polski. Skutkiem strajków głodowych była rosnąca popularność haseł antykomunistycznych, wzrost aktywności licznej i dobrze zorganizowanej KPN, oddziałującej skutecznie na środowiska robotnicze poprzez Komitety Obrony Więzionych za Przekonania.

BIULETYN INFORMACYJNY  
**WOLNOŚĆ**  
 REGIONALNYCH  
 KOMITETÓW  
 OBRONY  
 WIEZIONYCH ZA  
 PRZEKONANIA  
 Katowic i Bielska-Białej

numer 6 \_\_\_ Katowice, wrzesień 1981 \_\_\_ cena 10 zł



**Z OSTATNIEJ CHWILI!**

Powyżej publikujemy szczegółowy program PZPR dalszego dynamicznego społeczno-gospodarczego rozwoju PRL. Aby Polska rosta w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

# ZASADZKA

**Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z Łodzi 7 maja 1952 r. „założyli kocioł” w lokalu przy ul. Nowotki (obecnie Pomorskiej) 19 m. 42. W trzypokojowym mieszkaniu z kuchnią przez siedem dni przebywało kilkanaście osób. Jego właścicielem był Bogdan Holcgreber, którego UB podejrzewało o współpracę z Jerzym Jazdowskim – oskarżonym o szpiegostwo na rzecz CIA.**

Prowadzona przez Wydział Śledczy UBP na m. Łódź sprawa nosiła kryptonim „Equador II” i była pochodną rozpracowania „Narcyza” założonego w Wydziale VI Departamentu I MBP. Dotyczyła współpracy Polaków z „placówką wywiadu amerykańskiego w Hamburgu”. Wśród tradycyjnych metod operacyjnych, wykorzystywanych przez UB do jej prowadzenia, znalazły się: obserwacja podejrzanych – zarówno przez osoby pochodzące z ich środowiska, np. dozorcę budynku, jak i funkcjonariuszy urzędu – a także doniesienia informatorów, najczęściej umieszczonych w miejscu pracy osoby rozpracowywanej.

W pierwszych dniach marca 1952 r. Jazdowski, w obawie przed aresztowaniem, zaczął ukrywać się poza domem. Najczęściej przebywał u swoich znajomych, m.in. adwokata Jerzego Wierzyńskiego. Ze względu na intensywne poszukiwania Jazdowskiego przez funkcjonariuszy UBP na m. Łódź, obserwacji poddana została jego żona i znajomi. Ponieważ działania te nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, kolejno – w miejscach zamieszkania wszystkich trzech podejrzanych – zorganizowane zostały zasadzki. Pierwsza, w dniach 2–9 maja 1952 r., w mieszkaniu Zofii i Jerzego Jazdowskich, podczas której zatrzymano najwięcej, bo aż 23 osoby. Druga trwała od 7 do 13 maja w mieszkaniu Marii i Bogdana Holcgreberów. Kolejną zorganizowano w dniach 9–13 maja u Jerzego Wierzyńskiego, gdzie „wpadło” 12 osób.

W tygodniowej akcji, przeprowadzonej w mieszkaniu Holcgreberów, uczestniczyło siedmiu funkcjonariuszy UBP na m. Łódź. Pięciu z nich służyło w Wydziale I (sprawy kontrwywiadu), dwóch zaś w Wydziale „A” (zajmującym się „obserwacją zewnętrzną osób i obiektów”). O tym, że do przeprowadzanej operacji przywiązywano w urzędzie dużą wagę, świadczy fakt, iż aż trzech spośród siedmiu funkcjonariuszy: Izidor Cieślak, Henryk Laskowski i Zygmunt Urbaniak, było kierownikami sekcji, a więc posiadało spore doświadczenie zawodowe. Ich obecność miała gwarantować powodzenie prowadzonej z dużym zaangażowaniem akcji.

Pierwszego dnia – 7 maja – zatrzymano obecnych w mieszkaniu: Marię Holcgreber wraz z siedmioletnim synem Wojciechem oraz mieszkającą u nich pomoc domową – Niemkę Elżbietę Zell. Bogdan Holcgreber, przebywający wówczas poza miejscem zamieszkania, został tego dnia zatrzymany przez innych funkcjonariuszy UBP na m. Łódź. Po przewiezieniu do aresztu był przesłuchiwany pod zarzutem szpiegostwa.

W kolejnych dniach w „kocioł” wpadali mniej lub bardziej przypadkowi goście rodziny. Już drugiego dnia akcji do mieszkania Holcgreberów przyszła Melania Górską, kuzynka Elżbiety Zell. Jak się później okazało, jej przybycie zapoczątkowało duże zamieszanie, grożące dekonspiracją funkcjonariuszy i zakończeniem zasadzki. Tego dnia zatrzymani zostali także Stanisław Szymański i Antoni Laskowski. Pierwszy z nich chciał odzyskać część samo-

chodową, którą pożyczył Holcgreberowi. Wszedł do mieszkania przy ul. Nowotki i... musiał w nim zostać na kilka kolejnych dni. Drugi nawet nie znał Holcgreberów. Uczynnie przywiózł Szymańskiego swoim samochodem i czekał na niego przed budynkiem. Szymański długo nie wracał, ale do zniecierpliwionego kierowcy podszedł człowiek, który – nie dając precyzyjnego wytłumaczenia – zaprosił go na górę. Po wejściu do mieszkania Holcgreberów Laskowski został zatrzymany.

Tego dnia (8 maja) przed drzwiami pilnowanego przez funkcjonariuszy mieszkania pojawił się także – zaniepokojony długą nieobecnością żony – Mieczysław Górski. Otworzyła mu Eliza Zell, ale nie zaprosiła do środka. Zapytana o kuzynkę powiedziała, że wprowadziła Melania była u niej, lecz już wyszła. Zdaniem Elizy, wyjechała ona na krótko poza Łódź. Pewne zaniepokojenie Górskiego wzbudził fakt, że krewna dawała mu jednocześnie znaki sugerujące, aby nie wypytywał o żonę. Ponieważ musiał udać się do pracy, nie nalegał na dalsze wyjaśnienia. Sądził, że po powrocie zastanie ją w domu. Kiedy jednak następnego dnia Górski nie wróciła, jego obawy się wzmożyły. Postanowił poprosić o pomoc milicję. Udał się do I Komisariatu MO w Łodzi i zawiadomił o przedłużającej się nieobecności małżonki oraz dziwnym zachowaniu kuzynki.

W związku ze zgłoszeniem złożonym przez Mieczysława Górskiego, 10 maja 1952 r. w godzinach popołudniowych z komisariatu zadzwoniono do mieszkania Holcgreberów, aby wyjaśnić, czy przebywa tam Melania Górski. Mimo że była wśród zatrzymanych, funkcjonariusz UB zaprzeczył. Odpowiedź najwyraźniej wzbudziła wątpliwości milicjantów, ponieważ dwóch z nich: plut. Jan Kwapisz i plut. Marcin Kłós, poszło wraz z Górskim do mieszkania przy ul. Nowotki, żeby rozpoznać sytuację na miejscu. Wprowadziła funkcjonariusze UB otworzyli drzwi pukającym, ale ponownie oświadczyli, że Górskiej nie ma w mieszkaniu Holcgreberów, i nie chcieli wpuścić milicjantów do środka. Dodatkowo – na skutek nieporozumienia – drzwi zostały zamknięte. Atmosfera stała się napięta, zdenerwowani milicjanci zaczęli szarpać za klamkę, gdy w tym czasie ubecy usiłowali otworzyć drzwi. Nie mogąc dostać się do środka, funkcjonariusze MO utwierdzili się w przekonaniu, że w mieszkaniu dzieje się coś niepokojącego. Postanowili dostać się do środka siłą. Jeden z nich krzyknął do kolegi: „ładuj broń”. Tylko przypadek pomógł uniknąć strzelaniny – krewkiemu milicjantowi zaciął się pistolet. W tym czasie funkcjonariusze UB, aby uniknąć walki i dekonspiracji, ponownie otworzyli drzwi. Ściszonymi głosami poinformowali przybyłych, że są „z Urzędu”. Pozwoliło to zażegnać konflikt i uspokoić sytuację. Milicjanci weszli do środka i wylegitymowali się. Okazało się, że przyszli bez rozkazu przełożonych. Po wzajemnych wyjaśnieniach funkcjonariusze MO wrócili na komisariat, Górski zaś został zatrzymany w zasadzce.

Wśród osób, które zupełnie przypadkowo znalazły się w „kotle”, był również Bernard Musiał. Zainteresowany pobieraniem u Marii Holcgreber lekcji gry na fortepianie, przyszedł zasięgnąć informacji na ten temat. Tego samego dnia – 12 maja – przyszła również Władysława Bazińska. Dowiedziała się od znajomej, że gospodyni chce sprzedać ozdobny kołnierz z lisa, więc przyszła dowiedzieć się o warunki transakcji. Mimo że obydwoje nie mieli żadnego związku „ze sprawą”, nie mogli opuścić mieszkania.

W ostatnim dniu trwania zasadzki, 13 maja, znów powróciła sprawa „zaginionej” Melanii Górskiej. Tym razem poszukiwała jej matka, Kazimiera Glugła, która przyszła w tej sprawie do mieszkania Holcgreberów. Podobnie jak wszyscy inni, została zatrzymana.

Wobec braku oczekiwanych rezultatów 13 maja akcja została zakończona. Ostatecznie żadnego z poszukiwanych, występujących w śledztwie o kryptonimie „Equador II”, nie udało się wówczas zatrzymać (stało się to nieco później). Wszystkie osoby, które z takich bądź in-



nych powodów znalazły się w mieszkaniu Holcgreberów, zostały przesłuchane. Musiały złożyć szczegółowe wyjaśnienia, w jakim celu tam przybyły, a także pisemne oświadczenia, że zachowają w tajemnicy okoliczności zatrzymania oraz przeprowadzoną z nimi rozmowę.

Funkcjonariusze UB, którzy zajmowali się śledzeniem podejrzanych i gromadzeniem informacji na ich temat, byli zwykle przygotowani do czekających ich zadań, a mimo to zdarzały się im organizacyjne wpadki. Tak właśnie można określić wyniki akcji przeprowadzonej w mieszkaniu przy ul. Nowotki w Łodzi. Od strony technicznej była ona „zabezpieczona”. Zadbano o systematyczne dostarczanie odpowiedniej ilości żywienia dla zatrzymanych. Kupowali ją funkcjonariusze z Wydziału I UBP na m. Łódź – na rachunek urzędu – w Wojewódzkim Oddziale Konsumu, czyli jednostce zajmującej się aprowizacją. Zabrakło jednak porozumienia z milicją.

UB chciał, jak zwykle w takich przypadkach, zachować tę sprawę w tajemnicy i odebrać od zatrzymanych obietnicę milczenia. Wydaje się, że w opisywanej historii było to trudne. Uczestnicy tych wydarzeń musieli wyjaśnić swoją kilkudniową nieobecność nie tylko najbliższej rodzinie, ale również w miejscach pracy. Poza tym przeżycia związane z nietypową sytuacją, spotęgowane zdecydowaną interwencją milicji, zapewne na długo zapadły im w pamięci. Mogły wywołać chęć rozładowania nagromadzonych emocji poprzez podzielenie się nimi z najbliższymi, a może nie tylko.

Podjęte przez funkcjonariuszy działania nie przyniosły oczekiwanych efektów. Do niepowodzenia – oprócz przyczyn niezależnych – przyczyniła się, w pewnym stopniu, nieudana interwencja MO, która wprowadziła zamieszanie, omal nie zdekonspirowała organizatorów akcji i mogła doprowadzić do ofiar śmiertelnych. To, że podwładni płk. Teodora Dudy, szefa UBP na m. Łódź, winę za niepowodzenie akcji przypisywali częściowo konfliktowi z milicjantami, potwierdzają późniejsze raporty. Wyjaśnienia w tej sprawie składał mu zarówno bezpośredni koordynator przedsięwzięcia, por. Eugeniusz Gruber, naczelnik Wydziału I, jak i funkcjonariusze biorący udział w zasadzce.

Marek Klecel

# W MROKU PRL

## PISARSTWO JANUSZA KRASIŃSKIEGO

**W ciągu ostatnich kilkunastu lat oczekiwano rozrachunkowych utworów literackich o czasach, w których zakazywano wolności, więcej, gdy nakazywano oszustwo, kłamstwo, koniunkturalizm. Po przełomie 1989 roku odzyskanej wolności – w kulturze – nie wykorzystano. Janusz Krasiński pozostanie zapewne jedynym pisarzem, który podjął się dzieła najpełniejszego przedstawienia rzeczywistości PRL, będąc jej wiarygodnym i doświadczonym, zbyt doświadczonym, świadkiem i uczestnikiem.**

Nie powstały znaczące utwory o niedawnym zniewoleniu, nie rozliczono się z komunistyczną przeszłością. Literatura stała się poniekąd kontynuacją okresu PRL, literaturą rzeczywistości nadal nieprzedstawionej, co najwyżej literaturą przemilczeń, aluzji albo literaturą szyderstwa, ironii bądź sentymentu wobec PRL, najmniej – literaturą prawdy. Pisarze, poza wyjątkami, nie umieli mówić wprost o przeszłości, nazywać rzeczy po imieniu, nie powstały dzieła na miarę tego, co nazwano III RP, a co okazało się raczej postpeerelem. Do tych nielicznych, starszych zresztą twórców, takich jak Włodzimierz Odojewski czy Marek Nowakowski, należy właśnie Janusz Krasiński. Już przed 1989 rokiem rozpoczął swój autobiograficzny cykl opowieści o PRL tomem *Na stracenie*, wydanym w 1992 roku. W ciągu następnych lat powstały dalsze jego części: *Twarzą do ściany* (1996) i *Niemoc* (1999). Niedawno wyszedł czwarty tom, *Przed agonią*, opisujący okres od końca lat 60. do połowy lat 80. Wszystkie cztery powieści wznowiło krakowskie wydawnictwo „Arcana”.

Cykl ma charakter autobiograficzny. Jego bohaterem jest Szymon Bolesta, uosabiający niewątpliwie doświadczenia autora. Zarazem jednak ta postać jest symbolicznym i syntetycznym przedstawieniem najtrudniejszych polskich doświadczeń i tragicznych losów napiętnowanych przez ostatnie dzieje, poddanych działaniu dwóch wrogich totalitaryzmów. Szymon Bolesta przechodzi wszystkie etapy polskiej gehenny: okupacja, Powstanie Warszawskie, Auschwitz, gdzie traci matkę, obóz w Dachau, oskarżenie o walkę z reżimem komunistycznym i absurdalny zarzut szpiegostwa na wielką skalę. Niespełna dwudziestoletni chłopak miał śledzić ni mniej ni więcej, tylko wojskowe siły lądowe, lotnictwo, marynarkę wojenną, partie polityczne i wielkie fabryki. Miał także zbadać, ilu Rosjan jest w Polsce i czy Polska nie produkuje bomby atomowej. Grozi mu kara śmierci, dostaje „łagodny” wyrok 15 lat, odbywa karę w ciężkich więzieniach na Mokotowie, we Wronkach i w Rawiczu. Te czasy i wydarzenia zostały przedstawione w dwóch pierwszych tomach. Bolesta wychodzi w 1956 roku „na wolność”, która jest złagodzonym systemem totalitarnym, z więzienia ścisłego do więzienia obszerniejszego, jakim jest PRL po stalinizmie i krótkiej „odwilży” 1956 roku. „Październik skończył się w listopadzie” – mówią lepiej zorientowani bohaterowi w trzecim tomie cyklu.

Proza Krasińskiego ujawnia cały mechanizm działania UB, sądów i więzień. Nikt, kto dostał się w tryby tego mechanizmu, nie wychodzi z niego cało. W pierwszych dwóch tomach, *Na stracenie* i *Twarzą do ściany*, autor opisuje różne, często skrajne zachowania ludzi w pro-

cesach i w więzieniach, zapamiętuje jednak, dzięki autorskiemu nastawieniu, zachowania heroiczne, solidarność ludzi, których próbowano złamać, upokorzyć, odebrać im wszelką godność, nad którymi znęcano się fizycznie i psychicznie, a niektórych w końcu mordowano.

W świetnie zarysowanych scenach ze zbiorowej celi więziennej na Mokotowie, gdzie znaleźli się przedstawiciele niemal całego polskiego społeczeństwa po wojnie, od przywódców państwa podziemnego, konspiratorów i partyzantów, przez ludzi nauki, aż do pospolitych kryminalistów, autorowi udało się powiązać rozliczne wątki i ludzkie losy z okresu zdobywania władzy i budowy systemu komunistycznego w Polsce. W losach i przypadkach poszczególnych więźniów, które autor przywołał, przejawiały się nie tylko represje i prześladowania, ujawniona została także przemyślana strategia polityczna najpierw fizycznej likwidacji przeciwników, później systemowego przetwarzania świadomości społecznej za pomocą zmasowanej propagandy i indoktrynacji, montowania sfingowanych procesów sądowych i drakońskich wyroków, zastraszania terrorem państwowym, konfliktowania środowisk, wciągania do współpracy z nową władzą.

W utworze Krasińskiego zostało to przedstawione w relacjach różnych postaci ze wspomnianych środowisk. Jest tu więc historia o słynnym na Podhalu oddziale Józefa Kurasia „Ognia”, opowieść partyzanta „Młota”, który miał niemal pewny wyrok śmierci za walkę z UB mimo powojennej amnestii, a dostał w sądzie „tylko” dożywocie, dzięki temu, że przechytrzył oprawców. Mamy tu relację o zastępcy prezydenta Starzyńskiego, pułkowniku Wacławie Lipińskim, któremu sam szef więziennego UB Różański powiedział: „Bierut pana ułaskawił, ale ja pana nie ułaskawiam”. Wkrótce potem pułkownik popełnił rzekomo samobójstwo, skacząc ze schodów, według innej wersji zmarł na zawał serca.



Janusz Krasiński w więzieniu na Rakowieckiej

Są też relacje pośrednie i bardziej literacko skomponowane o wydarzeniach, które pozostały nieznanne lub ukryte. Jedynymi ich świadkami mogli być oficerowie śledczy UB lub anonimowy pluton egzekucyjny. Taka jest relacja o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, dobrowolnym więźniu Oświęcimia, który zorganizował tam pierwszą siatkę konspiracyjną i uciekł, gdy groziło mu zdemaskowanie. Po wojnie został schwytany i skazany przez komunistów. „Kara śmierci dla Witolda – powiada bohater książki Krasińskiego – to pośmiertna zemsta nazi. Wyrok gestapo utrzymany w mocy przez polskich sędziów”. Więźniowie wiedzą, że Pilecki przebywa gdzieś obok, jeden z nich rozpoznaje go prowadzonego na egzekucję. Resztę musi dopowiedzieć pisarz:

„Teraz przemarsz strzelców. Nocny ront paradnym krokiem przemierza więzienne podwórce. Sztandar ciemnych chmur i złowieszczy werbel kroków. Jest w tym przemarszu jakiś szatański triumf, triumf nocy. Trójca rozluźnia szyk, naprężają się kajdanki. Ten w środku rozdarty między dwoma oprawcami. Wykręcone ramiona, dusi go sznur na szyi, kukła omotanej głowy, szamoce się, ciska. Chciałby wyjrzeć spod kaptura, pozbyć się czarnej opończy. Zimno. I gdyby choć jedna gwiazda, świadek tej śmierci!... [...] W sionce zdejmą mu kaptur, odepną kajdanki i popchną do przodu. Śmiało panie rotmistrzu, ostatnia szarża! Który to pułk ułanów? Ale nie będzie już cudu nad Wisłą. Wnętrze wybite dębowymi belkami, żeby kula, gdy przebijie głowę, nie dała rykoszetu. [...] Strzału słyhać nie będzie... Za dwie, trzy godziny poprowadzą tą samą drogą Unterführera Handtke. Nikt już wówczas nie wyjrzy. Dopiero o świcie. Gdy usłyszą, że terkocze furka zaprzęgnięta w ryżawego konia. Wtedy znowu podbiegną do kraty. Będą chcieli zobaczyć, jak tajni grabarze wrzucają obydwie ciała na wóz, aby wywieźć je w nieznanym kierunku i zepchnąć do wspólnego dołu”.

Po latach więzienia jedynym świętem dla tych, co przeżyli, będzie śmierć Stalina. Zamyka ona drugi tom cyklu, *Twarzą do ściany*, obejmujący razem z tomem *Na stracenie* więzienną epopeję autora i postaci przez niego przywołanych.

## **Polska była więzieniem**

Czy złowiek, który był więźniem politycznym PRL przez prawie dziesięć lat, wychodząc z więzienia, wychodzi na wolność? Czym stał się ten kraj przez pierwsze dziesięciolecie po powojennym „wyzwoleniu” i kim może być w nim ów człowiek? Przed takimi niebagatelnymi pytaniami staje bohater tomu *Niemoc*, trzeciego w cyklu. Gdy w 1956 roku otwierają się przed nim bramy ostatniego więzienia, dokąd wraca? Czy Polska nie była wtedy więzieniem o nieco złagodzonych rygorach, z pozorami swobody i normalnego życia? Szymon Bolesta opuszcza więzienne mury, by znaleźć się w nieco obszerniejszym więzieniu o niewidzialnych murach i kratkach. Było to szczególne więzienie, w którym dokonywało się uwiarygodnienie, „normalizacja”, uprawomocnienie stanu zniewolenia, reedukacja w nowym dialektycznym duchu, który odwracał znane ludziom pojęcia, wzorce i wartości do tego stopnia, że kazał znajdować w niewoli nową wolność. W ten sposób więzienie stawało się w istocie dobrowolne i niemal dobrowolne, choć, jak się można było łatwo przekonać, dobrze strzeżone. Gdy umocnił się sowiecki system komunistyczny w Polsce, więzienie to stawało się też coraz bardziej „wewnętrzne”. Stopniowo, bo działanie systemu obliczone było na przyszłość, nikt nie miał być więźniem, bo więźniami będą wszyscy.

Przemiana Polski w PRL nastąpiła, gdy po początkowym okresie walki i oporu przeciw nowemu systemowi, zwanym do dziś przez niektórych „wojną domową”, gdy zaczęto tworzyć z misjonarskim poczuciem własnych racji podstawy nowatorskiego ustroju, nowej wspólnoty i nowej tożsamości, skierowanych przeciw wszystkiemu dotychczasowemu porząd-

kom, by wtłoczyć rzesze ludzi w inny, obcy krwiobieg, zagarnąć je i wchłonąć już nie drogą podboju i przemocy, lecz drogą wewnętrznej przemiany ku nowemu człowieczeństwu odkrywanemu przez zwycięski system. Wynaleziono w nim nowe dobro, które unieważniało dawne zło i przemoc. Zło przemieniało się cudownie w dobro. W nowym systemie dzięki propagandowej magii urzeczywistniało się odwieczne marzenie o wyzwoleniu ludzkości. Według wszelkiej dialektyki bowiem, jeśli miarą wolności jest niewola, to do wyzwolenia ludzi najlepsze jest dobre więzienie. PRL powstawała rzeczywiście na ruinach i zgłiszczach, wśród pokonanych i martwych lub ocalałych i żywych, którzy jednak musieli lub chcieli się jej poddać. Z pewnymi, na szczęście, wyjątkami.

### **Pierwszy dzień „wolności”**

Szymon Bolesta, uodporniony dziewięcioletnim więzieniem na moce i iluzje nowego systemu, wychodzi na nową wolność i patrzy na nią trzeźwym, bezwzględny okiem noworowsza ustrojowego. Zderza się z szarą magmą PRL, w którą zdążyła się już obrócić przeważająca część życia kraju, zadziwiają go nowi ludzie, którzy zdążyli już wyrosnąć, uderza go widok obcych budowli: Pałacu Kultury jakby żywcem przeniesionego z Moskwy, placu Konstytucji i Mariensztatu, którym zabudowano miejsca jego dzieciństwa. To wszystko jawi się niczym pomniki dosłowne i zarazem przenośne socjalistycznego budownictwa i budującej ideologii. System rozrastał się i wzmacniał, zostawiając trwałe ślady, znaki i symbole swego panowania. Bohater książki zostaje rzucony w obcy świat, który już na zawsze, jak się wówczas musiało wydawać, ukształtował się bez niego w kraj fikcji, pozorów, kłamstwa, z państwa polskiego przetworzonego w sowieckie. Gdy wychodzi z więzienia, opada już fala propagandowego entuzjazmu i wyłania się szara, ponura, uboga we wszystkich dziedzinach rzeczywistość komunizmu. Po śmierci Stalina, która w więzieniu była wielkim świętem, jest już jednak ukształtowany cały system władzy, a niepodległościowe podziemie rozbite przez UB. Bolesta styka się z młodymi adeptami władzy komunistycznej i od nich dowiaduje się o wydarzeniach poznańskiego czerwca 1956 roku. Później wrócą one w finale powieści zamykającej się kolejnym przesileniem 1968 roku i zostaną szczegółowo wyjaśnione w opowieści młodego autora, którą przytacza Krasiński. Jest to opowieść o śmierci Romka Strzałkowskiego, chłopca zastrzelonego w gmachu UB w 1956 roku.

Szymon Bolesta próbuje zostać dziennikarzem, potem pisarzem, chce opowiedzieć o tym wszystkim, co przeżył w więzieniu, wykrzyknąć całą prawdę. Udaje mu się w czasie „odwilży” 1956 roku ogłosić w czasopiśmie parę opowiadań. Z książką ułożoną z nich już nie zdąży. „Październik skończył się w listopadzie” – powiedzą mu w wydawnictwie i poradzą, by realia jego więziennej prozy przerobił na jakieś inne, najlepiej hiszpańskie.

Nie układa się też jego życie prywatne, rozpada się związek z dziewczyną, która pomagała mu, gdy był w więzieniu, a którą znał tylko z korespondencji. Umiera ich dziecko. Nie może wrócić do kobiety, którą kochał przed aresztowaniem, związała się już z kimś innym. „Komuna rozwali wszystko” – powtarza jeden z więziennych bohaterów książki. Bolesta nie może już doścignąć utraconego w więzieniu, odebrano mu życia. Zostaje sam.

### **Nasza mała destabilizacja**

*Niemoc* ukazuje pewien średni stan PRL, stan stabilizowania się systemu, jego władz i struktur. Ten system zwycięża, wydaje się wówczas, na długo, może nawet na zawsze. W środku PRL powstaje sytuacja bez żadnej innej perspektywy, bez nadziei na inną rzeczywistość, stan skazania na taki świat bez wyjścia, na realność niemocy. Zaczyna prze-

ważać wzór przystosowania i zgody na prząsłą, biedną i skłamaną, ale niby bezpieczną rzeczywistość, utrwalenie pozoru – niby małe, ale własne, bo jedyne. Trzeba wchodzić w układy z rzeczywistością, która jest rzeczywistością systemu, ale innej już nie będzie. Trzeba się uśmiechnąć do władzy, wtedy i ona się uśmiechnie. Krytykować mądrze, jak to zrobi Bolesta na zjeździe pisarzy zwołanym po publicznych głosach krytyki pod adresem cenzury, gdy sam aluzyjnie wspomni własne perypetie z cenzurą. Wtedy i tow. Gomułka, obecny na zjeździe, uśmiechnie się do niego.

Chyba właśnie wówczas powstał groźny przełom w świadomości i mentalności Polaków. System zdobył już całą władzę, zdążył w dużym stopniu opanować ludzkie umysły. Zaczęło przeważać przekonanie, że nie ma innego wyjścia jak zgoda na PRL. Powoli wszystko zaczęło grzęznąć w magmie i szarzyźnie socjalizmu z coraz mniej ludzką twarzą. Powstała niebezpieczna, wyniszczająca także wewnętrznie perspektywa, w której nie było widać końca tej sytuacji. Wydawało się, że system zapanował już na zawsze. Tak narodziło się fatum PRL – upiór niemocy, beznadziejności i niewiary.

A jednak PRL niepostrzeżenie, wówczas niezauważalnie, staczał się po równi pochyłej, co dopiero po latach można było zauważyć z większą pewnością. Utrzymywał się w pozornej i chwiejnej równowadze od przełomu do przełomu, od jednego kryzysu do następnego. Po 1956 roku przybliżyła się rok 1968, na którego przedmarcowych początkach ten tom powieści się kończy.

Bohater powieści Krasieńskiego znalazł się w środku PRL, wraca jednak stale pamięcią do dawniejszych wydarzeń, które stały się treścią dwóch poprzednich tomów. Do absurdu oskarżenia młodego chłopaka o szpiegostwo po jego powrocie z obozów w Oświęcimiu i Dachau, do sfingowanego perfidnie przez UB jego procesu pokazowego i ciężkiego więzienia, do monstualnego piętna na resztę życia. Wychodząc z więzienia, Bolesta pamięta o pewnym zobowiązaniu, o którym przypomina mu inny współwięzień spotkany już „na wolności”. Jest to zobowiązanie pamięci i świadectwa o ofiarach zamęczonych w śledztwach i więzieniach.

Cały cykl powieściowy Janusza Krasieńskiego o narodzinach i trwaniu w Polsce PRL jest więc poniekąd wypełnieniem tego wielkiego zobowiązania pamięci wobec ofiar, jest świadectwem wiernie oddającym prawdę i sprawiedliwość bezwzględnie niszczoneму światu. Dzieło Krasieńskiego przywołuje ten świat i stara się utrwalić na sposób literacki, by nie zapomnieć o tych, którzy nie godzili się, bez względu na cenę, na nieludzki system i obcą



Janusz Krasieński z córką Agatą, 1965 r.

władzę. Przypomina – nie waham się użyć tego zawstydzającego dziś wielu słowa – o martyrologii wielu Polaków, broniących swego kraju. Krasiński przekonuje, jak ważna jest pamięć o tym najwcześniejszym oporze, jak ważna okazała się ta pierwsza niepodległościowa opozycja dla przyszłości, która miała do czego się odwoływać i co kontynuować, gdy nadeszła. To ta opozycja bowiem poprzedzała tę następną, powstałą w połowie PRL wśród ludzi, którzy w nim uczestniczyli, zostali nim zarażeni lub ulegli komunizmowi, a później rozczarowali się do tego najlepszego z ustrojów. Ta głębsza pamięć i głębsze poczucie sprawiedliwości i po prostu obowiązek prawdy okazały się, jak dowodzi *Niemoc* Krasińskiego, znów ważne, nawet niezbędne dla przyszłości, gdy samodzielne istnienie Polski i Polaków stało się możliwe.

Książka jest wiarygodna i autentyczna, autor nie sili się na nadmiar fikcji, który byłby nawet niestosowny dla przedstawianej prawdy. Zarazem forma literacka, z wyrazistym bohaterem, który jest uczestnikiem opisywanych wydarzeń, pozwala na pełniejsze, nie tylko intelektualne, uczestnictwo w nich czytelnika, jak to się dzieje w wypadku dokumentalnych zapisów wspomnieniowych. Owa forma pozwala także na uogólnienie znaczenia przedstawianych wydarzeń i pokazanie ludzkich losów i doświadczeń reprezentatywnych dla pewnej wspólnoty. W drodze życiowej Bolesty autor zawarł koleje życia wielu ludzi, którzy zostali pokonani, ale nie złamani ostatecznie przez komunizm. Są poddani długotrwałej, wyniszczającej już od środka, prowadzącej do wewnętrznej zapaści, niemocy i zwątpienia, próbie sił wymuszonej przez działanie PRL, powodującej powolny rozpad wszystkich instytucji i więzi społecznych, a nawet osobowości. Postać bohatera, jakkolwiek poddana wszystkim tym próbom, okazuje się osobliwie odporna na te wpływy, przynajmniej w swych podstawowych cechach, w swej najgłębszej istocie, której nie utraci.

Bohater tej książki nie jest bohaterem w sensie pierwotnym tego słowa, jest raczej ofiarą, ofiarą systemu, ale ofiarą wiele mówiącą, jest świadkiem wydarzeń dziejących się wokół niego, które wydobywa, przywołuje z zamkniętej już, zdawałoby się, przekreślonej i skazanej na zapomnienie, przeszłości. Bolesta to nazwisko niewątpliwie znaczące. Świadka w pierwotnej tradycji europejskiej nazwano po grecku *martyr*. Później słowo to zaczęło oznaczać także ofiarę, tego, co cierpi, męczennika. Martyrologia zatem to nie tylko cierpiętnictwo, to także wola świadectwa o prawdzie bez względu na cenę.

## Suma PRL

Tom ostatni, *Przed agonią*, obejmuje wydarzenia od rozruchów studenckich w marcu 1968 roku do stanu wojennego i powojennego, kończy się śmiercią księdza Popiełuszki. Był to najpierw stan umocnienia się systemu komunistycznego w Polsce w latach 60. po zniszczeniu przeciwników i pacyfikacji społeczeństwa, okres „małej stabilizacji”, która oznaczała też dość beznadziejną perspektywę trwania bez końca systemu. Wtedy to odczuwało się już rezygnację społeczeństwa, poddanie systemowi, przyzwolenie w sytuacji beznadziejnej na nieuniknione współżycie z nim. Następowало uwikłanie ludzi w system, coraz głębsze, choć najpierw niedostrzegalne kompromisy z władzą komunistyczną i jej instytucjami, codzienna z nimi kolaboracja na przełomie lat 60. i 70.

Zmiany systemu są tylko powierzchowne i taktyczne, pozorowane i chwilowe, zmieniają się metody, ale nie system. W środowisku dziennikarzy i pisarzy, do którego trafia Bolesta, nadal rządzi Partia i cenzura, nadal dominują ludzie, którzy do niedawna wspierali system, a teraz się rozczarowali, zmienili poglądy, często tylko przefarbowali i dopasowali do nowej sytuacji. Bolesta pozostaje więc na marginesie, ledwie tolerowany, jego próby literackie,

w których nie chce ukrywać prawdy, skazane są na działanie systemu, który posługuje się głównie cenzurą, kłamstwem i manipulacją. Łamie ludzi i urabia ich do coraz ściślejszej współpracy, jeśli nie wprost, to pośrednio, do stopniowej zgody i codziennej, coraz mniej zauważalnej, znormalizowanej kolaboracji.

Bolesta ma także zwykłe, ale w komunizmie podstawowe kłopoty życiowe, o czym decydują również odpowiednie władze. Grozi mu eksmisja z mieszkania, które zajmował po wyjeździe na Zachód pisarza-dysydenta. By ratować mieszkanie i rodzinę, podejmuje się współpracy przy polsko-sowieckim filmie o tematyce oświęcimskiej. Temat mu bliski, w swym scenariuszu opowiada o chłopcu rosyjskim, który został w obozie odebrany matce i wychowany po wojnie przez Polkę. Po latach odnajduje go matka Rosjanka, już jako dorosły człowiek ma wrócić do ZSRS. Tu powstaje dylemat: nie można powiedzieć prawdy o tym, iż odnajduje go dopiero po wielu latach, dlatego że była w łagrze. Scenariusz Bolesty przewiduje, że bohater wraca z Rosji do Polski, do przybranej matki i ojczyzny, Rosjanie protestują, że nie wraca do ojczyzny sowieckiej. Spory i dyskusje o epilogu filmowym odbywają się w trybie posiedzeń partyjnych i decyzji politycznych, co dziś wydaje się niewiarygodne i dość groteskowe, ale wtedy było naprawdę groźne. Wtedy rzeczywiście ważyła się pozycja Bolesty, musiał obawiać się, czy nie będzie po prostu „wrogiem systemu”, czy w samej Moskwie nie zdecydują o jego losach.

Te rosyjskie partie książki są szczególnie interesujące, to jakby powieść w powieści. Autor zrecznie przeplata tu wątki poprzednich części cyklu, oświęcimskie i więzienne, wiemy, że autobiograficzne, z fikcyjnymi wątkami swego bohatera ze scenariusza i z realizacji filmu, bo powstaje on w końcu, i to zgodnie z myślą autora, co jest cichym jego zwycięstwem.

W losach Szymona Bolesty autor przedstawił uwikłanie wielu Polaków w rozwinięty już system komunizmu w PRL. Tom ostatni przedstawia głównie środowisko bohatera, dziennikarskie i pisarskie, redakcje i instytucje kulturalne, przeniknięte już duchem systemu, w których system działał bezpośrednio i przemieniał ludzi. W tym czasie wszedł już w krwiobiegu



Janusz Krasiński z żoną Barbarą, 1966 r.

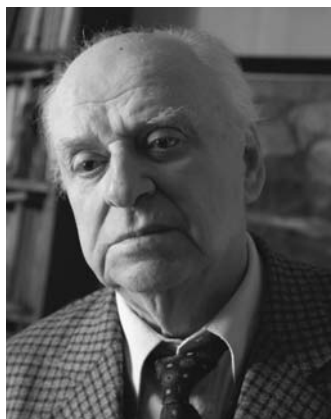


społeczny, przerabiał mentalność ludzką, wzajemne relacje, życiowe perspektywy i horyzonty. Czas „Solidarności” był pierwszym wspólnym zrywem przeciw systemowi PRL, ale represje stanu wojennego i symboliczna śmierć księdza Popiełuszki, które to wydarzenia zamykają ostatni tom książki, nie zapowiadają jeszcze wcale upadku komunizmu kilka lat później.

Szymon Bolesta jest uczestnikiem, ale i obserwatorem rzeczywistości PRL. Autor przedstawia dzieje Polski Ludowej za pośrednictwem losów swego bohatera na tle najważniejszych wydarzeń: przełomu marca 1968 roku i ostatnich aktów przemocy reżimu na krótko przed jego końcem. Trudno określić inaczej cały cykl powieściowy Janusza Krasińskiego, razem z ostatnią jego częścią, niż jako epos o czasach PRL (być może jeszcze niezakończony) – o powstaniu systemu komunistycznego w Polsce, jego trwaniu i działaniu, wreszcie o jego powolnym, zbyt powolnym upadku. Przede wszystkim jednak to pokaźne, niedające się już pominąć dzieło Janusza Krasińskiego ukazuje zbrodnicze początki komunizmu w Polsce, to, jak został zbudowany na ofiarach, krwi, cierpieniu i śmierci, na strachu i totalnym kłamstwie, doprowadzając do wyniszczenia polskie społeczeństwo, które wyszło dopiero z wojny, to rzecz o komunizmie jako kontynuacji w inny sposób takiego samego totalitaryzmu jak faszyzm.

Za dużo martyrologii – słyszy się teraz często, gdy mowa o trudnej przeszłości. Ale martyrologia to nie ideologia. Jeśli *martyr* to nie tylko ofiara, ale i świadek, to nie można odmówić świadkowi prawa do świadectwa, w którym opowiada nie tylko o swoich szczególnych doświadczeniach i przeżyciach, ale i o ofiarach innych, tych, którzy nie mogą już mówić za siebie.

**Janusz Krasiński** – ur. w 1928 r. w Warszawie; prozaik i dramaturg, autor słuchowisk radiowych, scenariuszy i reportaży. Od 1941 r. należał do Szarych Szeregów. Po Powstaniu Warszawskim wywieziony do Oświęcimia, następnie do obozu Flossenburg-Hersbruck pod Norymbergą. W marcu 1945 r. został ewakuowany pieszym transportem do Dachau, gdzie pracował w kamieniołomach. Po dwuletnim pobycie w amerykańskiej strefie okupacyjnej (uczył się w szkole średniej i służył w Polskich Oddziałach Wartowniczych) wrócił do Polski. Aresztowany w 1947 r. pod zarzutem szpiegostwa na rzecz wywiadu amerykańskiego i skazany na 15 lat więzienia (Mokotów, Rawicz, Wronki). Zwolniony w 1956 r. wskutek rewizji procesu i amnestii.



Debiutował w 1956 r. wierszem *Karuzela* w tygodniku „Po prostu”. Współpracował z warszawskimi pismami literackimi, w latach 1960–1966 był członkiem zespołu redakcyjnego Teatru Polskiego Radia, w latach 1975–1979 recenzentem i doradcą Zespołu Filmowego Iluzjon. Od 1960 r. należał do Związku Literatów Polskich (aż do jego rozwiązania w 1983 r.). W 1995 r. został członkiem Stowarzyszenia Pracowników Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa; członek PEN-Clubu, od czerwca 2005 r. prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, laureat Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza (2006).

Autor m.in. autobiograficznego cyklu powieściowego: *Na stracenie* (1992), *Twarzą do ściany* (1996), *Niemoc* (1999), *Przed agonią* (2005) oraz sztuk teatralnych *Czapa, czyli śmierć na raty* (1965) i *Śniadanie u Desdemony* (1971), wystawianych m.in. w Paryżu, Linzu i Moskwie.

# SPECYFIKA PRACY OPERACYJNEJ WYWIADU PRL

**Niekiedy, przy okazji procesów lustracyjnych słyszy się – nie współpracowałem z SB, tylko z wywiadem PRL. Tymczasem jedna z instrukcji stwierdza: „Departament I MSW jest jedyną jednostką w systemie służby bezpieczeństwa upoważnioną do organizowania wywiadu za granicą”. Wywiad miał oczywiście swoją specyfikę...**

Dotychczasowe zainteresowania badawcze, związane z zagadnieniem pracy operacyjnej organów bezpieczeństwa PRL, koncentrowały się na przedstawianiu metod pracy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz Służby Bezpieczeństwa MSW w odniesieniu do działań na terenie kraju. Najpełniejszym dotychczas opracowaniem instrukcji operacyjnych jest tom zawierający 11 odpowiednich normatywów, opracowany przez Tadeusza Ruzikowskiego<sup>1</sup>. Opublikowano również pojedyncze instrukcje operacyjne MBP i SB oraz inne akty normatywne dotyczące działań operacyjnych pionu do walki z Kościołem (Departamentu IV MSW)<sup>2</sup>, a także Biura „B” MSW i Biura „T” MSW<sup>3</sup>. W pracy najpełniej traktującej kwestie metodologiczne, *Wokół teczek bezpieki – zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, problematyka związana z pracą operacyjną wywiadu cywilnego jest prawie nieobecna<sup>4</sup>. Jedynie Andrzej Paczkowski opublikował w niej dokument „Terminologia wywiadowcza obowiązująca w pracy Departamentu I MSW”. Powstało więc mylne założenie, że metodologia pracy operacyjnej wywiadu cywilnego<sup>5</sup> była tożsama z ogólnymi zasadami stosowanymi w pozostałych pionach UB/SB.

To właśnie w materiałach Departamentu I MSW zachowały się dokumenty ukazujące działalność takich osób jak ojciec Konrad Hejmo czy też biskup Stanisław Wielgus<sup>6</sup>, których

<sup>1</sup> *Instrukcja pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa 1945–1989*, oprac. T. Ruzikowski, Warszawa 2004.

<sup>2</sup> *Metody pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa wobec Kościołów i związków wyznaniowych 1945–1989*, red. A. Dziurok, Warszawa 2004.

<sup>3</sup> H. Głębocki, *Policyjna Rzeczpospolita Ludowa. „Biblia” Służby Bezpieczeństwa: Instrukcja 006/70, „Arcana” 2002*, nr 4–5, s. 40–73; *Tajni współpracownicy. Dokumenty*, b.m.w., 1993; K. Rokicki, *Instrukcja pracy dla funkcjonariuszy obserwacji (Biura „B” MSW), „Aparat Represji w Polsce Ludowej 1944–1989” 2006*, nr 2 (4), s. 298–317; P. Gontarczyk, *Instrukcja pionu „T” MSW w sprawie zakładania podsłuchu pokojowego, ibidem*, s. 318–357.

<sup>4</sup> *Wokół teczek bezpieki – zagadnienia metodologiczno-źródłoznawcze*, red. F. Musiał, Kraków 2006.

<sup>5</sup> Wywiad cywilny jest określeniem umownym, stosowanym dla odróżnienia jednostek MBP oraz MSW prowadzących pracę operacyjną za granicą od Oddziału II/Zarządu II Sztabu Generalnego WP, określanego jako wywiad wojskowy. Inne określenie stosowane przed 1990 r. to wywiad polityczny. Jest to termin nieściśły, gdyż wywiad polityczny stanowił, obok wywiadu naukowo-technicznego, ekonomicznego (gospodarczego), kontrwywiadu zagranicznego i walki z „dywersją ideologiczną”, jedno z zagadnień, którymi zajmował się Departament I MSW.

<sup>6</sup> AIPN BU, 01285/3, Karta kieszeniowa „Jacket” nr 7207 (dot. bp. Stanisława Wielgusa); AIPN 2320/188, t. 1–3,teczka pracy TW ps. Dominik” i KO ps. „Hejnał” (dot. o. Konrada Hejmo). Zob. także

przypadki były szczególnie głośno komentowane w mediach. Warto zatem uwzględnić zagadnienie pracy operacyjnej i form jej dokumentacji stosowanych przez pion I.

Wywiad cywilny PRL powstał równoległe z organami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. W jego ramach zadanie to spełniał Wydział Wywiadu, następnie Wydział II Samodzielny, a od 1947 r. Departament VII MBP. Działania operacyjne podejmowane przez wywiad w tym okresie opierały się na ramowych wytycznych zawartych w „Instrukcji (tymczasowej) o pozyskaniu, pracy i ewidencji agenturalno-informacyjnej sieci”<sup>7</sup>. Odnosił się do tego bezpośrednio rozdział II instrukcji – „Dobór i werbowanie agentury do pracy wywiadowczej za granicą”, a pozostałe rozdziały miały zastosowanie odpowiednio do zadań wywiadowczych. Instrukcja wymieniała trzy kategorie tajnych współpracowników: agentów, rezydentów i informatorów. Podkreślano, że do pracy za granicą powinno się dobierać kandydatów znających język państwa, w którym agent ma działać, albo mających tam bliską rodzinę, znajomości na tym terenie, również znajomość miejscowości, w której ma przebywać, znajomość obyczajów danego kraju oraz rodzinę i związek z nią na terenie Polski. „Takich agentów najlepiej werbować, podkreślając mocno uczucia patriotyczne”.

Sporym postępowaniem w stosunku do tego dokumentu była bardzo obszerna „Instrukcja Nr 012/53 o pracy aparatu bezpieczeństwa z siecią agenturalną” wprowadzona w życie rozkazem nr 025/53 MBP „o pracy aparatu bezpieczeństwa publicznego z siecią agenturalną”<sup>8</sup>. Przy całej swej obszerności i szczegółowości instrukcja ta nie zawierała już bezpośrednich odniesień do pracy operacyjnej wywiadu. Było to spowodowane specyfiką pracy wywiadowczej. W ciągu dziesięciu lat wypracowano metody tej pracy, właściwe jedynie dla działań poza terytorium kraju. Wytyczne przywołanej instrukcji były podstawą do opracowania przez kierownictwo Departamentu VII MBP odrębnych, właściwych temu pionowi normatywów regulujących zakresy i metody pracy wywiadu. Praktyka ta została przejęta także przez kierownictwo Departamentu I MSW. Kolejne instrukcje o pracy operacyjnej SB, wydawane aż do 1972 r., odnosiły się jedynie w ogólnych zarysach do zadań realizowanych przez wywiad cywilny. Przykładem tego jest zarządzenie ministra spraw wewnętrznych nr 01021/60 z 2 lipca 1960 r., wprowadzające Instrukcję Nr 03/60 „o podstawowych środkach i formach pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa”<sup>9</sup>. Instrukcja ta przewidywała nowe kategorie agentury SB: tajnych współpracowników oraz pomoc obywatelską. Natomiast Instrukcja Nr 01/62 o „kategoriach spraw operacyjnych, dokumentacji operacyjnej i ewidencji operacyjnej w Samodzielnych Grupach Specjalnych Departamentu I KW/MO”, wydana przez dyrektora Departamentu I MSW płk. Henryka Sokolaka 10 sierpnia 1962 r., odwołująca się bezpośrednio do Instrukcji 01/62, zawierała odmienny katalog „zadań operacyjno-wywiadowczych”, obejmujący osobowe źródła informacji, rodzaje spraw operacyjnych czy miejsca spotkań<sup>10</sup>. Były to kategorie uwzględniające zagadnienia pracy operacyjnej właściwe wywiadowi. Z ogólnych zasad pracy operacyjnej przejmowały jedynie to, co było dla wywiadu

A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, *Raport: Sprawa o Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi katolickiemu w latach 1975–1988*, dostępny w wersji elektronicznej, zob. [www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl).

<sup>7</sup> *Instrukcje pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa...*, s. 23–28.

<sup>8</sup> *Ibidem*, s. 29–46.

<sup>9</sup> *Ibidem*, s. 93–120.

<sup>10</sup> AIPN BU, 01738/21, Instrukcja nr 01/62, „O kategoriach spraw operacyjnych, dokumentacji operacyjnej i ewidencji operacyjnej w Samodzielnych Grupach Specjalnych Departamentu I KW/MO/M”, k. 29–49.

przydatne. Warto zwrócić uwagę na konsekwentne trzymanie się tradycji nazwy „agent”. Choć w SB zastąpiono ją określeniem „tajny współpracownik”, to wywiad nadal stosował to określenie w praktyce. Niezwykle ważną kategorią współpracy był kontakt służbowo-informacyjny (KSI). Było to nowe określenie na istniejącą co najmniej od połowy lat pięćdziesiątych w pracy komórek wywiadu kategorię – agent pomocniczy. Kategoria ta obejmowała osoby, które – z racji pełnionych funkcji w instytucjach państwowych, placówkach naukowo-badawczych, zakładach produkcyjnych – miały możliwości wyszukiwania kandydatów do werbunku wśród obcokrajowców lub obywateli polskich; przeprowadzały rozmowy sondażowe z cudzoziemcami; przedstawiały wstępne oceny zdobytych informacji o charakterze naukowo-technicznym; inspirowały wyjazdy stażystów czy stypendystów do interesujących wywiad krajów kapitalistycznych i rozpracowywanych obiektów. Specyfiką tej kategorii było, że nie wymagano od KSI pisemnego zobowiązania o współpracy, natomiast rejestrowano go w kartotece Wydziału „C” w województwie, na którego terenie działała Samodzielna Grupa Specjalna<sup>11</sup>. W uzasadnionych przypadkach KSI mógł być przeklasyfikowany w TW lub agenta. Następowoło to wtedy, kiedy przekazywano go do któregoś z wydziałów lokalnej SB (wówczas stawał się TW) lub gdy wyjeżdżał za granicę i wykonywał zadania na rzecz Departamentu I MSW (wtedy stawał się agentem).

Dekada lat siedemdziesiątych to okres burzliwego rozwoju wywiadu cywilnego, odgrywającego coraz większą rolę w kształtowaniu polityki zagranicznej Polski, jak również mającego być jednym z głównych źródeł zdobywania technologii i informacji naukowo-technicznych, które pomogłyby zmodernizować gospodarkę kraju. Zwiększone zadania wpłynęły na metody pracy operacyjnej. To również czas najważniejszej kodyfikacji zagadnień dotyczących metodologii pracy operacyjnej, wynikającej z ponad dwudziestopięcioletnich doświadczeń UB/SB. Zarządzeniem nr 006/70 ministra spraw wewnętrznych z 1 lutego 1970 r. wprowadzono „Instrukcję o pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa resortu spraw wewnętrznych”<sup>12</sup>. Istotnym *novum* w tym obowiązującym aż do 1989 r. zarządzeniu było wyraźne podkreślenie, że „Zadania i formy pracy Departamentu I oraz zasady, zakres i tryb współdziałania z tym Departamentem jednostek organizacyjnych resortu spraw wewnętrznych określają odrębne przepisy”<sup>13</sup>. Po raz pierwszy więc podkreślono (bo uznano już wcześniej, wydając osobne instrukcje), że specyfika pracy operacyjnej wywiadu wymaga całkowicie odrębnego unormowania. Pierwszym efektem tego podejścia było „Zarządzenie Nr 0045/70 ministra spraw wewnętrznych z 17 maja 1970 r. w sprawie zakresu pracy oraz regulaminu organizacyjnego Departamentu I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”<sup>14</sup>. Dokument ten, po raz pierwszy kompleksowo normujący zadania wywiadu cywilnego i jego organizację, nakazywał kierowanie się we współpracy i nadzorze nad sprawami operacyjnymi – będącymi w zainteresowaniu wywiadu, a realizowanymi przez inne jednostki MSW – wytocznymi wynikającymi z zarządzenia nr 006/70, wyraźnie bowiem określał, że „**Departament I MSW jest jedyną jednostką w systemie służby bezpieczeństwa upoważnioną do organizowania wywiadu za granicą**”<sup>15</sup>. Zapis ten uświadamia, że Departament I MSW

<sup>11</sup> AIPN Wr, 0014/3125, akta KSI/TW „Mieczysław”; AIPN Wr, 0095/3023, akta KSI „Dziekan”. Za zwrócenie uwagi na te akta dziękuję Sebastianowi Ligarskiemu.

<sup>12</sup> *Instrukcje pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa...*, s. 121–139.

<sup>13</sup> *Ibidem*, s. 121.

<sup>14</sup> AIPN BU, 01821/3, k. 300–305.

<sup>15</sup> *Ibidem*, k. 301.

był jednostką Służby Bezpieczeństwa, a nie wydzielonym pionem w ramach MSW. Jest to ważne podkreślenie, gdyż wciąż można usłyszeć tezy, że nie była to część SB.

W zakresie uregulowań dotyczących pracy operacyjnej dokument zawierał jedynie ogólne wytyczne. W ich myśl podstawowym środkiem działania operacyjnego miała być agencja w obiektach wywiadowczego rozpracowania Departamentu I MSW, względnie mająca do nich bezpośredni dostęp. Podczas realizacji zadań wywiad mógł również korzystać z zagranicznych kontaktów informacyjnych oraz tajnych współpracowników i kontaktów pozyskanych spośród obywateli PRL.

Wydane 6 maja 1972 r. zarządzenie nr 0041/72 ministra spraw wewnętrznych wprowadziło do użytku służbowego „Instrukcję o pracy wywiadowczej Departamentu I MSW”<sup>16</sup>. Regulowała ona najważniejsze aspekty pracy wywiadu, odpowiednio je definiowała i systematyzowała. Jej kompleksowość spowodowała, że obowiązywała do końca lat osiemdziesiątych. Instrukcja definiowała kategorie osobowych środków pracy operacyjnej wywiadu. Były to: agent, kontakt informacyjny oraz kontakt operacyjny. Charakterystyczne, że instrukcja zabraniała werbunku członków partii komunistycznych, dopuszczała natomiast werbunek agenta „pod obcą flagą”, czyli występowanie wobec kandydata na agenta pod przykryciem służb specjalnych obcego (w domyśle kapitalistycznego) państwa, organizacji politycznej lub gospodarczej<sup>17</sup>.

Podstawowym instrumentem realizacji zadań wywiadowczych był AGENT. Mógł być nim obywatel obcego państwa, bezpieczeństwa lub – w pewnych sytuacjach – obywatel polski na stałe zamieszkały za granicą, mający możliwości wywiadowcze oraz wykonujący świadomie zlecone mu zadania. Należy zwrócić uwagę na tę ostatnią okoliczność – musiała to być osoba godząca się świadomie na współpracę i podporządkowująca się dyspozycjom wywiadu w zakresie realizowanych zadań.

Kolejną kategorią współpracowników wykorzystywanych przez wywiad były KONTAKTY INFORMACYJNE. Byli to obywatele obcego państwa, bezpieczeństwa lub obywatele polscy stale zamieszkały za granicą, którzy świadomie lub nieświadomie przekazywali dokumenty lub informacje interesujące wywiad. Cechami odróżniającymi KI od agenta były przede wszystkim brak świadomie wyrażonej zgody na współpracę z wywiadem i pełnego podporządkowania się jego dyspozycjom. Następną cechą odróżniającą tę kategorię współpracy był brak formalnych stosunków z wywiadem, przy jednoczesnych kontaktach osobistych z oficerem wywiadu (zawsze występującym pod przykryciem) lub instytucją polską za granicą. Wynikał z tego brak świadomości tajności utrzymywanego kontaktu oraz ograniczone czasowo i tematycznie możliwości informacyjne. Warto zastanowić się nad tą sprawą głębiej, by nie powstało mylne przeświadczenie, że osoba zarejestrowana jako KI zawsze świadomie podejmowała współpracę z wywiadem. Tymczasem z powyżej przytoczonej definicji wynika, że mogła to być osoba niezwiązana formalnie z funkcjonariuszem wywiadu, nieorientująca się, że jest wykorzystywana przez wywiad, spotykająca się z osobą oficjalnie reprezentującą polską instytucję dyplomatyczną, handlową lub kulturalną i udzielająca jej informacji, jakie wynikały naturalnych zainteresowań czy też sympatii, na bazie których nawiązany został ten

<sup>16</sup> AIPN BU, 02447/3, Zarządzenie nr 0041/72 ministra spraw wewnętrznych z dnia 6 V 1972 r., k. 77–112.

<sup>17</sup> Taką metodę zastosowano m.in. przy współpracy z o. Hejmo na terenie Watykanu, gdzie funkcjonariusz Departamentu I MSW podawał się za osobę związaną z zachodnoniemieckim wywiadem – BND.

kontakt. Wprawdzie mogła domyślać się, że ma do czynienia z wywiadem, lecz charakter stosunków wykluczał tajność i konspirację spotkań czy przekazywania informacji.

Kolejną formą współpracy z wywiadem był KONTAKT OPERACYJNY (KO). Była to osoba posiadająca obywatelstwo PRL, stale zamieszkała w kraju, celowo pozyskana do współpracy z wywiadem, która świadomie i w sposób tajny wykonywała zadania wywiadowcze w kraju lub za granicą. W tej kategorii mieściły się osoby pozyskane na – jak to określano – „płaszczyźnie ideowo-politycznej” i „patriotycznej” oraz rekrutujące się spośród osób posiadających ustalone lub ewentualne możliwości pracy wywiadowczej z racji wyjazdów lub delegacji służbowych na Zachód, wyjazdów na stypendia, staże naukowe, praktyki zagraniczne, a także w celach turystycznych lub przy okazji odwiedzin u rodziny.

Dodatkową formą współpracy z wywiadem były, podobnie jak KO funkcjonujące również w innych pionach Służby Bezpieczeństwa, KONTAKTY SŁUŻBOWE. Były to osoby wywodzące się z aparatu państwowego lub gospodarczego, wykonujące zadania głównie na terenie kraju. Mogli to być dyrektorzy np. central handlowych, departamentów w MSZ, MHZ, instytucji naukowych czy szefowie działów kadr, pomagający wywiadowi w zakonspirowaniu oficerów wywiadu, którzy poprzez te instytucje „przykrycia” byli oddelegowywani do pracy wywiadowczej za granicą lub w kraju. Do kategorii KS zaliczano również ambasadorów, szefów misji handlowych, placówek konsularnych, którzy z racji swej funkcji ułatwiali wykonywanie zadań oficerom wywiadu. Należy jednak podkreślić, że kontakty służbowe nie należały formalnie do kategorii współpracowników wywiadu określonych w instrukcji o pracy wywiadowczej.

Podobnie, uwzględniając specyfikę pracy wywiadowczej, prowadzono ją i dokumentowano w odmiennych formach niż w pozostałych pionach SB. Różnice wynikające ze specyfiki wywiadu przedstawiają tabele na następnej stronie.

Na zakończenie należy zwrócić uwagę na fakt, że Departament I MSW był od lat sześćdziesiątych jedyną jednostką MSW realizującą zadania operacyjne za granicą<sup>18</sup>. Pozostałe pionki były zobligowane do przekazywania tajnych współpracowników, gdy wyjeżdżali oni za granicę. Zagadnienia te normowały odpowiednie przepisy, a w momencie przejęcia przez Departament I MSW zmieniano również kategorię współpracy na obowiązującą w wywiadzie.

---

<sup>18</sup> Do połowy lat sześćdziesiątych uprawnienia w prowadzeniu tzw. kontrwywiadu ofensywnego miał także Departament II MSW, zmierzający do dotarcia do ośrodków kierowniczych i szkoleniowych zachodnich wywiadów w celu ustalenia informacji dotyczących ich działań przeciwko PRL.

**Tabela nr 1. Rodzaje agentury i spraw operacyjnych występujących w zarządzeniu nr 006/70 ministra spraw wewnętrznych z 1 lutego 1970 r. w sprawie pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa resortu spraw wewnętrznych**

Kategorie osobowych źródeł informacji
Tajny Współpracownik (TW) Kontakt Służbowy (KS) Kontakt Operacyjny (KO) Konsultant
Rodzaje spraw operacyjnych
Sprawa Operacyjnego Sprawdzenia (SOS) Sprawa Operacyjnego Rozpracowania (SOR) Sprawa Obiektowa (SO) Kwestionariusz Ewidencyjny (KO)

**Tabela nr 2. Rodzaje agentury i spraw operacyjnych występujących w zarządzeniu nr 0041/72 ministra spraw wewnętrznych z 6 maja 1972 r. w sprawie pracy wywiadowczej Departamentu I MSW**

Kategorie osobowych źródeł informacji
Agent Kontakt Informacyjny (KI) Kontakt Operacyjny (KO)
Rodzaje spraw operacyjnych
Rozpracowanie Operacyjne Rozpracowanie Obiektowe Segregator Materiałów Wstępnych

Andrzej Poczubot, Białoruś

# ANATOL RADZIWIWONIK „OLECH” – ZAPOMNIANY BOHATER POLSKI WALCZĄCEJ

**Dzisiaj jest w Polsce postacią niemal nieznaną, a na Białorusi zso-wietyzowane, pozbawione własnej historii społeczeństwo uważa go za zuchwałego watażkę, herszta reakcyjnych zbirów, zaślepionego nienawiścią do władzy sowieckiej. Czarna legenda, stworzona jesz-cze w latach czterdziestych przez sowiecki aparat propagandowy, wciąż daje o sobie znać.**

W świetle obiektywnych badań „za-siępiony nienawiścią polski nacjonalista” okazuje się nieoczekiwanie nauczycielem języka polskiego i białoruskiego, harce-rzem i bohaterskim żołnierzem Armii Krajowej – w dodatku wiary prawosław-nej. „Kułacki przywódca” przeistacza się w biedaka, któremu tylko żmudna i ofiarna praca rodziców, a także wyrozu-miałość polskich urzędników pozwoliły otrzymać wykształcenie...

## Młodość

O przedwojennym życiu Anatola Ra-dziwionika niewiele wiadomo. Urodził się 20 lutego 1916 r. w Brańsku w Rosji, gdzie rok wcześniej jego rodzina została ewaku-owana przez władze rosyjskie, uchodzące przed nadciągającą armią niemiecką. Jego ojciec, Konstanty Radziwionik, pochodził z Wołkowyska i tam też pracował jako ko-lejarz. Matka – Nadzieja z domu Makowie-cka – pochodziła z prawosławnej rodziny zamieszkałej we wsi Piekary. Radziwio-nikowie powrócili do Wołkowyska zaraz po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej. Choć sami byli ludźmi prostymi, starali się zadbać o wykształcenie dzieci. Anatol kontynuował naukę w Państwowym Męskim Seminarium Nauczycielskim w Słonimiu.



Ppor. Anatol Radziwionik „Olech”, oficer VII batalionu 77 pp AK, komendant połączonych pokowskich obwodów Szczuczyn i Lida, walczył z reżimem komunistycznym do maja 1949 r., kiedy to poległ w boju z NKWD



Warto wspomnieć, że w jego klasie seminaryjnej możemy napotkać młodych ludzi, którzy podobnie jak on za kilka lat staną się organizatorami i żołnierzami Armii Krajowej (jednym z nich był Józef Pyszko „Sokół”, wybitny organizator AK w powiecie grodzieńskim).

Po otrzymaniu dyplomu ukończenia seminarium Anatol Radziwonik podjął pracę jako nauczyciel w wiejskiej szkole w Iszczołnianach koło Szczuczyna (nowogrodzkiego). Jego uczniowie zapamiętali go jako dobrego, pełnego zapału pedagoga, a także organizatora harcerstwa. Latem 1938 r. został powołany do Wojska Polskiego. Ukończył wówczas szkołę podchorążych piechoty w Jarosławiu. Po zwolnieniu z wojska powrócił do Iszczołnian. Tu też zastała go wojna.

W ciągu ostatnich kilkunastu lat nasza wiedza o „żołnierzach wyklętych”, uczestnikach polskiego zbrojnego oporu stawianego reżimowi komunistycznemu, ogromnie się powiększyła. Powstało wiele wartościowych publikacji, przywracających prawdę o tych dzielnych ludziach, którzy oddali życie za niepodległość Polski i wolność człowieka w warunkach faktycznej nowej okupacji sowieckiej. Jednak szersze upowszechnienie wiedzy na ten temat możemy odnotować tylko w odniesieniu do powojennego podziemia niepodległościowego na terenach leżących w pojałtańskich granicach obecnej Polski. W rzeczywistości walka ta trwała także na wschód od jałtańskiego kordonu. W zorganizowany sposób prowadziły ją okręgi AK Wilno i Nowogródek oraz obwody Grodno i Wołkowysk (do drugiej połowy 1945 r.), później zaś Samoobrona Grodzieńska i Wołkowyska (1946–1948). Najdłużej, bo aż do 1949 r., wytrwał poakowski obwód Szczuczyn–Lida (nr 49/67), a na Polesiu konspiracyjny Związek Obrońców Wolności, także nawiązujący do tradycji Armii Krajowej. Jednym z najwybitniejszych organizatorów tej straceńczej walki z systemem komunistycznym był porucznik Anatol Radziwonik „Olech”, „Mruk”, „Stary”, „Ojciec”. Starzy mieszkańcy grodzieńskich i nowogrodzkich wiosek pamiętają go dobrze i do dziś wspominają, a jego postać przewija się w białoruskiej literaturze historycznej (jeden z publicystów nazwał go „nieuchwytnym »Olechem«”). Dziś, gdy filmowcy rosyjscy i białoruscy kręcą film o dzielnych funkcjonariuszach „Smierszu” i NKWD zwalczających „bandytów z AK”, gnębiących po wojnie ludność „Zachodniej Białorusi”, warto przypomnieć właśnie postać komendanta „Olecha”. Człowieka, który po „wyzwoleniu” Kresów stanął na czele antykomunistycznego ruchu oporu, kierując walką prowadzoną przez poakowski obwód Szczuczyn–Lida.

## Wojna

Nie wiadomo, czy Radziwonik uczestniczył w wojnie obronnej 1939 r. W każdym razie zataił ten fakt w życiorysie pisanym dla sowieckiego urzędu administracji terenowej (Wydziału Edukacji Żołudzkiego Rejonowego Komitetu Wykonawczego). Być może właśnie dzięki temu udało mu się przetrwać okres wywózek i represji w latach pierwszej okupacji sowieckiej 1939–1941. Dokładnie nie wiadomo, kiedy Anatol Radziwonik przystąpił do polskiej konspiracji niepodległościowej, czy było to „za pierwszych Sowietów”, czy już po wkroczeniu Niemców. W każdym razie w 1943 r. dowodził jedną z placówek konspiracyjnych w Obwodzie AK Szczuczyn kryptonim „Łąka”. Już wówczas uczestniczył w akcjach zbrojnych. Podczas służby w AK został awansowany do stopnia oficerskiego (podporucznika). Zimą 1944 r. przeszedł z konspiracji do oddziałów partyzanckich. Objął dowództwo trzeciego plutonu w 2. kompanii VII batalionu

77. pp AK, dowodzonego kolejno przez ppor. Bojomira Tworzańskiego „Ostoję” i por. Jana Piwnika „Ponurego”. Uczestniczył w walkach z niemieckimi siłami okupacyjnymi. 15 kwietnia 1944 r. patrol wydzielony z jego plutonu rozbroił posterunek żandarmerii i policji białoruskiej w Możejkwie Małym (zdobyto 1 rkm, 3 pm, 20 kb i kilka skrzynek z amunicją). W tym samym miesiącu ppor. „Olech” rozbił niemiecką załogę w majątku Możejków Wielki (zdobył 2 rkm, 2 MP, 10 kb, amunicję, granaty i zapasy zaopatrzenia). W maju 1944 r. pluton „Olecha” w zasadzce koło wsi Kowczyki rozbił oddział niemiecki (spalono ciężarówkę, zabito 4 Niemców i wzięto jeńców), a w zasadzce na trakcie pod Możejkwem Wielkim – kolejną grupę przeciwnika (zabito 5 Niemców, zdobyto broń). Uczestniczył w zwycięskiej operacji likwidacji niemieckiego garnizonu w Jewłaszach w dniu 16 czerwca 1944 r., podczas której poległ por. „Ponury”.

W lipcu 1944 r. batalion partyzancki, w którym służył ppor. „Olech”, pomaszerował na północ, by wziąć udział w operacji „Ostra Brama”. Nie zdołał jednak dotrzeć na czas pod Wilno i dzięki temu uniknął rozbrojenia przez wojska sowieckie. Ppor. „Olech”, wymykając się bolszewikom, powrócił w swe ojczyste strony w powiecie szczuczynskim. Przyjście Armii Czerwonej nie przyniosło Polakom wolności. NKWD rozpoczęło prawdziwe polowanie na polskich partyzantów oraz represje wobec polskiej ludności. W takich warunkach żołnierze Armii Krajowej kontynuowali walkę z nowym okupantem.

### **Na czele antysowieckiego oporu**

Zimą 1944 na 1945 r. ppor. „Olech” zorganizował bazę samoobrony w powiecie szczuczynskim, z której wyłonił się z czasem spory oddział partyzancki (blisko 70 żołnierzy). Na jego czele przeprowadził szereg działań przeciw formacjom NKWD i sowieckiej agenturze. Swą działalnością objął rozległe tereny powiatów Szczuczyn i Lida, podejmując nawet dalekie wypadki za Niemen i pod Iwje. W odwet za likwidację polskiego oddziału „Kuny” przez grupę NKWD pozorującą polską partyzantkę zlikwidował sowiecką grupę operacyjną na trakcie pomiędzy Hołodowem i Lidą (marzec 1945 r.). 1 kwietnia przebił się przez obławę 34. zmotoryzowanego pułku NKWD pod Niewierzyszkami, zadając przeciwnikowi straty (zginął m.in. kapitan bezpieczeństwa państwowego ZSRS), 23/24 maja 1945 r. zaś zadał porażkę grupie operacyjnej 135. pułku piechoty NKWD pod Iszczołą. W lipcu w zasadzce na szosie Lida–Grodno rozbił sowiecki samochód wojskowy, likwidując żołnierzy przeciwnika, a w sierpniu 1945 r. opanował osadę Toboła (rozbito posterunek przeciwnika, zniszczono budynek rady wiejskiej, z aresztu uwolniono kilkunastu więźniów). W tym samym miesiącu, w odwet za gwałty i zbrodnie popełniane przez żołnierzy Armii Sowieckiej, zaatakował sowiecką kolumnę samochodową (rozbito dwa auta, zadając bolszewikom spore straty w ludziach). We wrześniu 1945 r. zlikwidował trzech oficerów NKWD pod Lidą, a podczas wypadu pod Iwje stoczył zwycięską walkę z sowiecką obławą.

Dowództwo Nowogródzkiego Okręgu AK, decydując się na trwanie w konspiracji i podjęcie samoobrony przed sowieckim okupantem, wychodziło z założenia, iż należy się utrzymać na tym terenie do czasu spodziewanej konferencji pokojowej, która – jak przypuszczano – przesądziłaby o przynależności państwowej Kresów II RP. Gdy okazało się, iż nasi alianci akceptują aneksję tej części państwa polskiego przez Rosję Sowiecką, dalszy opór tracił polityczną rację bytu. W okresie wiosny–lata 1945 r. dowództwo „poakowskiego” Okręgu Nowogródzkiego podjęło decyzję o przerwaniu walki i ewakuacji żołnierzy „do Polski”. Większość konspiratorów wyjeżdżała w transportach repatriacyjnych, posługując się dostarczonymi przez organizację sfałszowanymi dokumentami. Całkowicie „spaleni” i poszukiwani przez NKWD przedzierałi się przez granicę w zwartych oddziałach z bronią w rękę, przy czym często do-



Grupa żołnierzy z oddziału „Olecha” – 1945 r. (ppor. „Olech” siedzi w środku grupy), klęczy z lewej NN „Zielony” (lejtnant Armii Czerwonej, antykomunista, który dołączył do polskiej partyzantki)

chodziło do walk z Sowietami i polską bezpieką oraz KBW. Wśród ludzi, którzy zdecydowali się, by odejść „do Polski”, nie było jednak ppor. „Olecha”, choć rozformował on większość podległych sobie sił partyzanckich i dał podkomendnym możliwość wyboru dalszej drogi.

Anatol Radziwonik pozostał bowiem wśród tych, którzy postanowili nie opuszczać ojczyzny, aby bronić miejscowej ludności przed komunistycznym terrorem. W tym czasie pełnił funkcję komendanta połączonego obwodu Lida–Szczuczyn 49/67. Właśnie na tym terenie opór wobec władzy sowieckiej był najbardziej zacięty. Historia tej osamotnionej, desperackiej i beznadziejnej walki po dzień dzisiejszy nie została opisana. Wielki świat, a nawet Polska, oddzielona szczelną granicą, o tym rozpaczliwym oporze ostatnich polskich partyzantów zupełnie nic nie wiedziała. obrońcy Kresów nie mieli żadnej łączności z centrami polskiego podziemnego oporu w Kraju. Mieli za to szerokie poparcie ludności, która widziała w nich obrońców przed prześladowaniami władz komunistycznych.

Anatol Radziwonik zdecydował się na dalsze kierowanie działalnością poakowskiego Obwodu Szczuczyn–Lida. Podlegało mu jeszcze kilkuset konspiratorów zorganizowanych w placówki terenowe oraz kilka na nowo sformowanych grup partyzanckich, liczących łącznie, jeszcze w 1948 r., 80–100 żołnierzy. W szeregach konspiracji i partyzantki dowodzonej przez „Olecha” panował prawdziwie obywatelski duch, wywodzący się z tradycji Armii Krajowej. Służyli tu obok siebie przedwojenni obywatele Rzeczypospolitej bez względu na wyznawaną wiarę – najliczniej katolicy i mniej liczni prawosławni. Znajdujemy tu także antykomunistów niebędących Polakami – pojedynczych ochotników narodowości ukraińskiej lub rosyjskiej. Jeden z nich, pochodzący z Ukrainy lejtnant Armii Sowieckiej o pseudonimie „Zielony”, wślawił się ogromną odwagą osobistą w walkach z NKWD.

Sowieckie siły bezpieczeństwa zaciekle tropiły komendanta „Olecha”. Kilkakrotnie raportowano nawet, zupełnie błędnie, o jego śmierci. Tak było między innymi 11 listopada 1945 r., gdy wyrwał się z „kotła” oblawy 34. pułku NKWD, która osaczyła go w chutorze Dajnowszczyzna (rejon Lida). Mimo dramatycznej sytuacji i miazdzącej przewagi bolszewików przebił się w brawurowym kontrataku. Na placu boju pozostało dwóch poległych partyzantów, w tym adiutant komendanta „Olecha”.

Trzeba podkreślić, że partyzantka prowadzona przez „Olecha” miała przede wszystkim charakter samoobrony miejscowego społeczeństwa przeciwko jaskrawym nadużyciom i bezprawiu przedstawicieli władz sowieckich. Szczególnie surowo zwalczano pracowników administracji, okrutnie odnoszących się do ludności – stwierdza historyk Kazimierz Krajewski w swej pracy *Na Ziemi Nowogródzkiej*. Przytacza też wypowiedź jednego z żołnierzy „Olecha” – kaprała Józefa Berdowskiego „Małego Ziuka”: „Niestety, czasami nasze akcje były bardzo surowe. Trzeba mocno ukarać, czasem trzeba i dla przykładu, i dla zastraszenia. Ale innej rady nie było. Albo walka, albo nic. Byliśmy w warunkach bardzo trudnych, było nas niewiele. Terror ze strony władz sowieckich był szalony... Dzięki naszej samoobronie to się jakoś łagodziło”.

„Olech” konsekwentnie zwalczał agenturę NKWD, której działalność stwarzała podstawę do działań represyjnych sowieckich sił bezpieczeństwa wobec ludności cywilnej. Jeżeli konspiratorzy podejrzewali, że ktoś współpracuje z NKWD, „Olech” lub któryś z jego zastępców przebierał się w mundur oficera NKWD i nieoczekiwanie zjawiał się u takiej osoby. „Źle pracujecie, towarzyszu” – mówił. Agent zaczynał się tłumaczyć i już było po nim – wspomina mieszkaniec wsi Wielkie Kozły, Bolesław Nowogródzki, w którego domu oddział „Olecha” niejednokrotnie stawał na postój. Z kolei Witold Wróblewski „Dzięcioł”, żołnierz z oddziału „Olecha”, w swej relacji podkreślał dyscyplinę i porządek panujący w grupach leśnych podległych komendantowi: „Porucznik bardzo pilnował, żeby nie było żadnej samowoli w oddziale. Jeżeli na przykład zauważał u kogoś nowe buty czy coś w tym rodzaju, od razu pytał się, skąd to masz. Za swawolę można było być rozstrzelanym”.

Na przestrzeni lat podziemie stopniowo się wykruszało. Jedni ginęli, innych aresztowano, inni – dopóki było to możliwe – wyjeżdżali „do Polski”, niektórzy przechodzili na stronę wroga... Jeżeli w 1945 r. raporty sowieckie wymieniały liczbę 800 polskich partyzantów w obwodzie grodzieńskim, to w 1948 była ich już tylko setka. Rozdzieleni na niewielkie oddziały kontynuowali swoją walkę. Białoruska badaczka Natalia Rybak wymienia liczby, z których wynika, że liczba agentów zwerbowanych przez NKWD do współpracy w latach 1944–1947 na terenie obwodu grodzieńskiego wynosiła 19 882 osoby. Przeciwno sobie „Olech” i jego żołnierze mieli ogromny aparat NKWD i tysiące donosicieli. Jednak nawet jeszcze w 1948 r. na terenie rejonów lidzkiego i szczuczyńskiego faktycznie panowała dwuwładza. W dzień rządzili komuniści, w nocy – partyzanci. Oto jak w lutym 1948 r. sytuację aktywu komunistycznego opisywał w liście do sekretarza Żołudzkiego Rejonowego Komitetu WKP(b) Szurmana kierownik iszczołniańskiej fabryki cegieł Parchomienkow:

„Z naszych pracowników major Pogulajew zorganizował oddział wsparcia – *istribitielnyj otriad*. Teraz o tym dowiedziała się cała wieś i ci chłopcy boją się w domu nocować, bo się dowiedziała o tym i banda, która w każdej chwili może przyjść i wszystkich rozwalić. Ci chłopcy chcą teraz wyjechać. Proszę nam pomóc, bo inaczej wszyscy, cały naród pucieka. Wszyscy się boją. Jak dzień, to jeszcze nic. A w nocy, gdy słońce zachodzi, to wszyscy siedzą, jakby byli w osaczonej twierdzy – drzwi zamknięte i patrzą, czy jest jakiś ruch na ulicy. Jak coś podejrzanego się dzieje, to od razu wszyscy uciekają, gdzie kto może”.



Oddział „Olecha” – prawdopodobnie wiosna 1947 r. (w środku grupy ppor. „Olech” – z lornetką na piersi), z prawej jego zastępca „Irena” (poległ w maju 1947)

Pierścień wokół komendanta „Olecha” cały czas się zacieśniał. W maju 1947 r. padł na placu boju w walce z NKWD pod Wasiliszkami jego pierwszy zastępca – sierżant „Irena” (ciężko ranny, nie mogąc się wycofać, ostatni nabój przeznaczył dla siebie). Rok później NKWD zdołało rozbić podstawowe siły Samoobrony Grodzieńskiej i Wołkowyskiej, z którymi komendant „Olech” pozostawał w luźnym kontakcie. Teraz naprawdę był już ostatnim polskim dowódcą na terenach położonych na wschód od jałtańskiej granicy. „Wielokrotnie mówiłem mu: »Panie poruczniku, taka siła przeciwko wam. Niech pan rozpuści oddział i ucieka. Bo przecież zabijają«. A on mi odpowiadał – »Nie mogę tego wszystkiego rzucić, trzeba walczyć«” – wspomina Bolesław Nowogródzki (za pomoc, jakiej udzielał „Olechowi”, został skazany na 25 lat obozu koncentracyjnego – łagru).

Największe nasilenie wystąpień zbrojnych oddziałów podlegających „Olechowi” przypada na drugą połowę 1948 r. Podjęły one wówczas zakrojoną na szeroką skalę akcję przeciw kolektywizacji, realizowanej przez administrację sowiecką. Zniszczono kilkanaście organizujących się kolchozów, likwidując jednocześnie najbardziej szkodliwych aktywistów sowieckich – stwierdza w swej pracy Kazimierz Krajewski. Według niego, w październiku 1948 r. „Olech” zarządził koncentrację podległych mu oddziałów na terenie Puszczy NACKIEJ, na którą stawiało się jeszcze około 100 żołnierzy. W tym czasie wykonano dwa wyroki na żołnierzach, którzy się dopuścili rabunków.

### Śmierć z bronią w rękę

Zima 1949 roku to okres, w którym rozpoczęła się ostateczna likwidacja oddziału „Olecha”. W lutym tegoż roku zlikwidowano pod Ostryną grupę leśną „PETERA”, w tym samym



Zygmunt Olechnowicz „Zygma”, żołnierz IV batalionu 77 pp AK, adiutant „Olecha”, ciężko ranny i ujęty przez NKWD, skazany na 25 lat łagrów, nigdy nie odzyskał wolności – po ukończeniu wyroku został zamknięty w psychuszcze, gdzie zmarł

że operacją likwidacji oddziału Anatola Radziwonika dowodził kierownik MGB obwodu grodzieńskiego Frołow.

„Zostaliśmy wydani przez miejscowego chłopca. Oddział został otoczony trzema pasami wojsk NKWD. Próbowaliśmy się przebić... Jednak nikomu się to nie udało. Przeżyłem ja, moja siostra Genowefa, która była łączniczką oddziału, oraz Zygmunt Olechnowicz, który był adiutantem »Olecha«” – opowiada Wróblewski. „Była wielka uwaga do naszego procesu. Jeden raz przywieźli mnie do budynku grodzieńskiego MGB do gabinetu naczelnika. – Chcą z tobą porozmawiać – tłumaczyli. Otwierają się drzwi i wchodzi kilku wyższej rangi oficerów. Wśród nich niewysoki Gruzin. Potem dowiedziałem się, że to był naczelnik MGB Białorusi Canawa. No i ten Canawa spojrzał na mnie i pyta: Jak byś mnie w lesie spotkał, to co byś zrobił? A ja mu odpowiadam: Jestem żołnierzem – kazaliby powiesić, powiesiłbym, kazali rozstrzelać – rozstrzelałbym. On się wściekł. I wychodząc, rzucił do mnie: siedem dni karceru” – dodaje Wróblewski, który podobnie jak pozostali ocaleli żołnierze z oddziału „Olecha” został skazany na 25 lat obozu koncentracyjnego.

Śmierć Anatola Radziwonika „Olecha” położyła kres zorganizowanemu polskiemu oporowi przeciw Sowiecom na terenie dzisiejszego obwodu grodzieńskiego na Białorusi, jednak co najmniej do połowy lat 50. walka zbrojna na tym terenie była kontynuowana przez drobne grupy „ostatnich leśnych”, nawet przez pojedynczych partyzantów.

miesiącu został ranny i ujęty dowódca patrolu samoobrony Józef Berdowski „Mały Ziuk”, w marcu zginął zastępca komendanta „Olecha” – ppor. Witold Maleńczyk „Cygan” (żołnierz armii Berlinga, który zbiegł do „lasu” przed aresztowaniem przez NKWD). Pod koniec kwietnia w okolicach chutoru Lebioda NKWD przeprowadziło operację przeciwko oddziałowi „Olecha”. Jednak porucznik raz jeszcze zdołał się przebić.

Zginął w maju 1949 r. Podawane są różne okoliczności i miejsca, gdzie doszło do tego zdarzenia. Kierownik archiwum KGB w Grodnie Igor Wałachanowicz w pracy o antysowieckiej konspiracji na terenie Białorusi podaje, że „Olech” zginął w okolicach Zaniewicz. Według niego do niewoli dostało się trzech partyzantów. W pracy o Armii Krajowej na Białorusi Jauhien Siamaszka podaje inne miejsce śmierci „Olecha” – okolice Berszt. Z kolei Kazimierz Krajewski, powołując się na relację jednego z żołnierzy oddziału „Olecha”, stwierdza, że komendant zginął w okolicach Raczkowszczyzny (3 km od wsi Bakszty).

W swych wspomnieniach opublikowanych w 2002 r. w gazecie „Grodzienskaja Prawda” jeden z uczestników likwidacji „Olecha”, wówczas kapitan MGB, Andriejew stwierdza,

# „ŚLADAMI ZBRODNI”

## NOWY PROGRAM BADAWCZO-DOKUMENTACYJNO-EDUKACYJNY INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

**Zbrodnie komunistycznego aparatu represji od wielu lat są przedmiotem badań historyków, niekoniecznie identyfikowanych z Instytutem Pamięci Narodowej. Zadanie, podjęte w planowy sposób właśnie przez IPN, okazało się nader skomplikowane, a skala trudności przekroczyła wstępne przypuszczenia badaczy. Dotarcie do informacji o siedzibach placówek bezpieki i NKWD, obozach pracy, miejscach pochówku osób zgładzonych za działalność antykomunistyczną – do dziś nie jest łatwe.**

Przez pół wieku władze komunistyczne dążyły do ukrycia informacji o skali i miejscach zbrodni, popełnianych przez podległy sobie aparat represji. Strukturalne przemiany tej „machiny zbrodni”, w wyniku których większość materiału dokumentacyjnego na interesujący nas temat znalazła się po 1956 r. w zasobach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przyczyniły się do skutecznego ograniczenia dostępu do informacji o ofiarach systemu i miejscach ich uwięzienia oraz kaźni. Nie bez znaczenia była też propaganda władz, ukazująca represjonowanych przeciwników systemu jako „słusznie ukaranych” przestępców, zbrodniarzy i zdrajców narodu, kreująca zaś pozytywny obraz funkcjonariuszy resortu. Manipulacje tego rodzaju uprawiane przez rządowych historyków i publicystów doprowadziły do sytuacji, w której wiedza o tragicznych wydarzeniach okresu stalinowskiego, szczególnie w mniejszych miejscowościach, została skutecznie „amputowana” ze społecznej świadomości. Wiele, zdawałoby się zupełnie podstawowych materiałów, zniknęło bez śladu. Mamy tu na myśli zwłaszcza dokumentację dotyczącą pochówków dziesiątków tysięcy ofiar „władzy ludowej”, która bez wątplenia była tworzona na wzór sowiecki (dokumenty tego rodzaju wytworzone w ZSRS są dziś publikowane w specjalistycznych wydawnictwach polskich, podczas gdy „rodzimej” dokumentacji tego samego rodzaju nie udało się znaleźć).

Istotne jest, że do polskiego prawodawstwa na stałe wprowadzono pojęcie zbrodni komunistycznych – dając podstawę do ścigania winnych ich popełnienia. Tym dziwniejsza do wyjaśnienia jest luka wytworzona w pamięci społecznej, dotycząca miejsc związanych z działalnością osławionej „bezpieki”. Nie chodzi w tym wypadku o upamiętnienia, które w ramach swoich ustawowych zadań realizuje Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, ale o uratowanie z niebytu – ostatnich być może – niezniszczonych jeszcze przez upływ czasu i świadome działanie, namacalnych śladów represji. O nadanie, przynajmniej niektórym z nich, rangi podobnej np. do byłej siedziby gestapo przy alei Szucha w Warszawie, Pawiaka. Czy komunistyczna katownia przy ul. Rakowieckiej – wypada retorycznie zapytać – nie zasługiwała i nie zasługuje na uzyskanie statusu muzeum, w którym można byłoby eksponować pamiątki po ofiarach i piętnować jednocześnie katów? Co z setkami siedzib powiatowych i wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa, tajnych więzień, aresztów? O ich istnieniu pamięta coraz mniej świadków, a dla społeczności lokalnych były – i ciągle jeszcze są – właśnie tym, czym osławiona Rakowiecka dla Warszawy. Niemoc, a częstokroć i niechęć do trwa-

łego zabezpieczenia tych miejsc, dokumentujących – przez samo swoje istnienie – zbrodnie komunistyczne, była i jest symptomatyczna.

**Podstawowe założenia.** Mając na uwadze realne zagrożenie trwałej utraty ze świadomości społecznej owych miejsc (z uwagi na upływ czasu), Biuro Edukacji Publicznej IPN w końcu 2006 r. rozpoczęło w skali ogólnopolskiej realizację programu badawczo-dokumentacyjno-edukacyjnego. Jego celem jest zachowanie i upublicznienie wiedzy o śladach zbrodni komunistycznego aparatu represji z lat 1944–1989 (w pierwszym etapie dotyczy on okresu 1944–1956). Program zakłada sporządzenie dokumentacji fotograficznej i filmowej obiektów wykorzystywanych przez „bezpiekę” – siedzib urzędów bezpieczeństwa (powiatowych i wojewódzkich), aresztów, więzień, miejsc egzekucji, zidentyfikowanych miejsc zbrodni popełnionych przez: funkcjonariuszy UBP, Informację Wojskową, MO, KBW, ORMO, agenturę resortu bezpieczeństwa, ludowe WP. Szczególną uwagę pragniemy zwrócić na zachowane jeszcze w wielu miejscach ślady „substancji zabytkowej” pozostałej we wspomnianych obiektach – np. na inskrypcje na ścianach sporządzone przez aresztowanych (w tym charakterystyczne kalendarze) czy pamiątki materialne – np. znalezione przy ekshumacjach itp. Naszym celem jest także zebranie materiałów dotyczących osób z kręgu aparatu bezpieczeństwa i ich ofiar – związanych z konkretnymi miejscami. Tam, gdzie będzie to możliwe, będziemy starali się uzupełnić dokumentację o relacje świadków i materiał wspomnieniowy czy wreszcie materiał dokumentacyjny wytworzony przez samą „bezpiekę”.

**Adresat programu.** Program adresowany jest do wszystkich zainteresowanych zachowaniem i poszerzaniem wiedzy z zakresu najnowszej historii Polski: historyków, studentów kierunków humanistycznych, działaczy społecznych i kulturalnych, pracowników naukowych wyższych uczelni, muzeów regionalnych, członków stowarzyszeń kombatanckich i środowiskowych, przedstawiciele samorządu terytorialnego – odpowiedzialnych za sprawę kultury i edukacji oraz mediów.

W wymiarze edukacyjnym kierujemy go do nauczycieli i uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. To kolejny wymiar poznawania historii „małych ojczyzn” – poprzez najbardziej dramatyczne przejawy terrorkomunistycznego. W przyszłym roku zostanie ogłoszony ogólnopolski konkurs dla młodzieży szkolnej (jego założenia będą zaprezentowane na wiosnę 2007 r.).

Przesłane do IPN materiały zostaną upublicznione na stronie internetowej, a najciekawsze z nich zaprezentowane w przygotowanym przez Instytut albumie dokumentacyjno-fotograficznym.

## PRZYKŁADY PRAC W ODDZIAŁACH IPN

### W Warszawie

Przystępując do prac nad programem „Śladami zbrodni”, staraliśmy się ustalić kategorie miejsc, które powinny zostać nim objęte. W grę wchodzi siedziby wojewódzkich, powiatowych i terenowych placówek UB i SB, siedziby komend MO, Informacji Wojskowej oraz placówek sowieckich służb specjalnych. Po przeprowadzeniu badań w miejscowościach Łęg i Bielsk, wiążących się ze zbrodniami popełnionymi w latach 1945–1946 przez grupę komunistów dowodzonych przez Władysława Rypińskiego, stało się jasne, że program musi objąć też miejsca związane z działalnością partyjnych „szwadronów śmierci” (PPR-PZPR). Nie może



pominać więzień i aresztów, w których przetrzymywano osoby oskarżone o podziemną działalność niepodległościową (a potem o działalność opozycyjną), obozów (także obozów pracy) podlegających Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego oraz obozów zorganizowanych przez NKWD. W programie powinny zostać uwzględnione również miejsca egzekucji i miejsca pochówku ofiar zbrodniczej działalności „bezpieki” i NKWD. Przystępując do programu, dysponowaliśmy wstępną wiedzą o przeszło 30 miejscach na terenie Warszawy, związanych ze zbrodniczą działalnością UB, SB, MO i wojskowych służb specjalnych, także służb sowieckich (NKWD, „Smiersz”, wojska ochrony tyłów). Do tego należy dodać ponad 20 takich miejsc na terenach podwarszawskich i kilkadziesiąt dalszych, rozsianych na terenie całego dzisiejszego województwa mazowieckiego. Dla ilustracji wielowątkowości omawianego programu przedstawimy dwa miejsca, szczególnie tragicznie związane z dziejami stolicy.

Willa przy ul. Świerszcza 2 w podwarszawskich Włochach. Znalazł tu swą pierwszą siedzibę Główny Zarząd Informacji Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego, spełniający w istocie funkcję komunistycznej policji wojskowej. Mieścił się w niej też areszt śledczy „Informacji” (więzienie wewnętrzne), którego szefem był por. Józef Ćwirko, obywatel ZSRS. W sąsiednim budynku przy ul. Cienistej 14 ulokował swą kwaterę gen. Iwan Sierow, zastępca Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS i zarazem pełnomocnik NKWD przy 1. Froncie Białoruskim, a w budynku przy ul. Cienistej 16 urządzono areszt NKWD.



Willa przy ulicy Świerszcza

Więźniami aresztu GZI byli głównie oficerowie i żołnierze AK oraz uczestnicy różnorodnych struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Stopniowo do piwnic przy ul. Świerszcza przybywali też aresztowani za „przestępstwa polityczne”, wywodzący się z szeregów ludowego Wojska Polskiego. Warunki, w jakich przebywali więźniowie „Informacji” w piwnicach willi przy ul. Świerszcza, opisuje jeden z nich: „[...] Warunki pobytu były okropne:

piwniczka mała, o rozmiarach 2,5 na 2,5 m, okno zamurowane, w miejscu łóżek drewniane »nary«, żadnych prześcieradeł ani koców. Nadmieniam, że koce nie były potrzebne, gdyż przez 24 godziny na dobę paliła się duża żarówka o dużej mocy, nagrzewając pomieszczenie i ujemnie wpływając na nasz wzrok. W rogu piwnicy stała *parasza*, coś w rodzaju ubikacji [kubel na fekalia]. Nie było żadnych spacerów [...] w drzwiach był tzw. judasz, przez który strażnik bardzo często zaglądał do środka, nie było żadnych krzeseł, stołków. Jedzenie było bardzo niskokaloryczne, porcje były głodowe, nie otrzymywaliśmy nawet wody, a w celi było gorąco [autor więziony był latem 1945 r.]”.

Metody śledztwa stosowane przez Informację Wojskową w placówce przy ul. Świerszcza przedstawia kolejny fragment relacji żołnierza AK, odbitego w lipcu 1945 r. z transportu do więzienia we Wronkach: „Metody badań – byłem bity po karku i tętnicy szyi kantem dłoni, również polanem drzewa, które leżą pod piecem. Innych bito naganem w twarz, wybijano zęby. Na ogół wszystkich bito po twarzy i kopano. Zabawa taka mogła trwać godzinę, dwie i więcej. Bicie doprowadzało do tego, że ludzie wychodzili czarni od bicia. Sam widziałem wypadek złamania ręki badanemu”.

Po opuszczeniu przez Informację Wojskową willę przy ul. Świerszcza 2 przejął UB, a następnie RKU. Potem przekazano ją miejscowej administracji i została oddana pod kwaterunek, który zasiedlił ją lokatorami. Po 1989 r. odzyskała ją prawowita właścicielka, pani Jolanta Piekarska. Stopniowo odzyskiwała kolejne lokale wraz z przynależnymi do nich piwnicami. Ona pierwsza zwróciła uwagę na dziwne napisy, znaki i nazwiska, ukazujące się spod pajęczyn i warstw półwiekowego brudu na ścianach i stolarce. Udało się jej zainteresować tematem środki przekazu i niektóre instytucje rządowe. Po kilku artykułach na temat miejsca komunistycznych zbrodni zapanowała długotrwała cisza...

Gdy do sprawy włączył się warszawski oddział IPN, sporządzono dokumentację fotograficzną zachowanej materii zabytkowej piwnic owego „wewnętrznego więzienia” GZIW, obejmującej improwizowane kalendarze wyryte przez więźniów, napisy i nazwiska. Ponieważ udało się odnaleźć „Wykaz aresztowanych” z 1944 i 1945 r. przechowywany w materiałach GZINDWP (w zbiorach Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN), można było skonfrontować nazwiska wyryte na ścianach cel z zapisami tego szczególnego dokumentu. Udało się zidentyfikować ponad 20 osób, w tym Bolesława Piaseckiego – komendanta Konfederacji Narodu i batalionu partyzanckiego AK, żołnierzy 30. DP AK – Jerzego Kazimierskiego „Leżańskiego”, Ludwika Molika „Tomigana” i Adama Chmielewskiego, sapersa ludowego WP – Jana Zgierskiego czy ppłk. Szpaca – adiutanta gen. Zygmunta Berlinga. A oto zapis z ciasnej celi pod schodami, mającej właściwie charakter karceru, umieszczony pod znakiem krzyża



wyrytym na wysokości pólżęcego człowieka – „Jezu wyratuj”. Dziś wiemy, że więziono tu aresztowane kobiety – żołnierzy AK. W innej z cel odnajdujemy napis „honor i ojczyzna” czy „Amnestia 1945”. Większość drzwi do piwnicznych cel jest oryginalnym zabytkiem z okresu użytkowania przez GZINDWP, do dziś ma charakterystyczne „judasze”.

Równie wstrząsające wrażenie wywarła na nas wizja lokalna w byłej siedzibie NKWD przy ul. Strzeleckiej 8 (róg Śródkowej). Urzędował tu Iwan Sierow i najprawdopodobniej „warszawska grupa operacyjna NKWD” płk. Pawła Michajłowa – do której przydzielony został późniejszy pułkownik MBP – Józef Światło. Sowieckie służby specjalne, a potem UB, wykorzystywały tu cały zespół gmachów zlokalizowanych po obu stronach ulicy. Według meldunków Delegatury Sił Zbrojnych – także numery Strzelecka 12 i 11/13.

Placówka przy ul. Strzeleckiej zyskała sławę wyjątkowo okrutnej katowni. Wydaje się, że trafiali tu więźniowie, co do których stwierdzono, iż mogą mieć „wartość operacyjną” w dalszych śledztwach i powinni przejść gruntowniejszą „obróbkę”. Dopiero potem – w pierwszej połowie 1945 r. – wysyłano ich dalej, najczęściej do obozu w Rembertowie. W piwnicach Strzeleckiej stosowano podczas śledztw zarówno prymitywne, wyniszczające bicie kijami, jak i wyrafinowane tortury (ściskanie głowy, zrywanie paznokci, wrzynające się kajdanki, przetrzymywanie nago w wodzie, bicie przy jednoczesnym przystawieniu ostrego pręta do oka itp.). Dla niektórych więźniów, jak wynika z raportów wywiadu poakowskiego, katownia przy Strzeleckiej była końcem żołnierskiego szlaku:

„W Warszawie na Strzeleckiej codziennie od 3 tygodni dokonywane są egzekucje na żołnierzach AK. O godzinie 3 rano wieszka się 7–8 skazańców. Niezależnie od tego, tyłuż więźniów rozstrzeluje się w piwnicach. Przed śmiercią stosowane są najpotworniejsze tortury. Wyrok wykonuje osobiście Żyd Falkensztajn – cywilny funkcjonariusz NKWD”.

Informacje uzyskane od rodzin starych mieszkańców tej części Pragi wydają się potwierdzać tezę, że areszt śledczy przy ul. Strzeleckiej był jednocześnie miejscem eksterminacji fizycznej części więźniów. W rejonie istniejącego obecnie parkingu, zalanego dziś betonem, 62 lata temu miano zakopywać ofiary NKWD. Inne przekazy mówią o wrzucaniu zwłok więźniów do burzowca biegnącego pod piwnicami.

Domy przy ul. Strzeleckiej wykorzystywane były w późniejszym okresie przez UB, potem zamieszkali je lokatorzy z kwaterunku lub przydziału, w szczególności rodziny dawnych funkcjonariuszy. Korzystali z piwnic – katowni, zamieniając je w pomieszczenia gospodarcze i nierzadko niszcząc ślady niedawnej zbrodniczej przeszłości. Mimo to w piwnicach budynków przy ul. Strzeleckiej zachował się nieomal w pełni dawny wystrój więzienny – cele z oryginalnymi drzwiami wyposażonymi w „judasze” i napisy: cela nr 1, cele nr 20 – itd. (łącznie dwadzieścia



kilka cel). Wewnątrz, pomimo zniszczeń i zamalowań – do dziś widoczne są napisy, nazwiska, kalendarze, podobne do tych z placówki GZI we Włochach. Możemy np. odczytać, że w jednej z cel „siedziało AK z Ryk” czy „por. »Czarny«”. Odnaleźliśmy też klapę w podłodze – czyżby wlot do burzowca, o którym mówili nam mieszkańcy Pragi?

Kierownictwo IPN wystąpiło do Konserwatora Zabytków Miasta Warszawy o objęcie obu obiektów ochroną, zwłaszcza pilne wydaje się wpisanie piwnic przy ul. Świerszcza do rejestru zabytków. Umieszczono też na budynku stosowną tablicę informacyjną. Jolanta Piekarska, przy wsparciu IPN, toczy walkę o zachowanie pozostałości materii zabytkowej dawnej siedziby Informacji Wojskowej we Włochach. Dzięki jej życzliwości udało się nam kilkakrotnie przeprowadzić w willi zajęcia dla nauczycieli, zrealizowano krótki materiał filmowy na temat historii tego obiektu. Choć piwnice willi przy ul. Świerszcza 2 są świetnym miejscem do urządzenia placówki muzealnej, władze dzielnicy Włochy, władze miejskie oraz Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa nie podejmują żadnych realnych działań.

Konserwator zabytków uznał za najpilniejsze wpisanie do rejestru zabytków Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina – symbolu wieloletniej sowieckiej okupacji i dominacji. Stolica małej Litwy ma już od dawna placówkę muzealną poświęconą ofiarom komunistycznego terroru, zlokalizowaną w byłej siedzibie NKWD. Gdy warszawscy decydenci powołają wreszcie podobną placówkę w stolicy, zapewne będziemy musieli dokonywać jej rekonstrukcji – choć dziś dysponujemy jeszcze znacznymi pozostałościami materii zabytkowej.

**Kazimierz Krajewski, Tomasz Łabuszewski**

## **W Trójmieście**

W Sopocie, w dość widocznym miejscu, na szlaku łączącym Molo z Operą Leśną, przy ul. 1 Maja, znajduje się dziś budynek Sądu Rejonowego. Elegancki, wybudowany pod koniec XIX wieku, kryje w sobie jednak mroczną tajemnicę – to tutaj od kwietnia–maja 1945 r. mieścił się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego Sopot (do Trójmiasta władza komunistyczna dotarła dopiero w końcu marca 1945 r.). Za posuwającym się na zachód frontem, w trakcie zajmowania przez Armię Czerwoną kolejnych ziem instalowano na nich Urzędy Bezpieczeństwa. Z reguły zajmowały one budynki używane do tej pory przez władze niemieckie. Charakterystyczne, że to właśnie więzienia i budynki gestapo nie ulegały zniszczeniom wojennym.

Ponieważ większość budynków w Gdańsku była zburzona, a te nadające się do użytku zostały już – przez władze sowieckie lub polskie komunistyczne – zaadaptowane, zaczęto szukać nowych budynków poza Gdańskiem. Sopot okazał się odpowiednim miejscem. Przez krótki czas miał w nim siedzibę Urząd Wojewódzki, tutaj też ulokowano Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku – tak brzmiała jego pierwotna, formalna nazwa. Praktycznie od początku używano nazwy PUBP Sopot, choć obejmował on powiat gdański. Od połowy 1945 roku na wszystkich dokumentach widnieje napis „PUBP Sopot”.

Przez pierwszy okres siedziba PUBP Sopot mieściła się w kamienicy przy obecnej ul. Niepodległości nr 651. Po niecałych dwóch miesiącach funkcjonariusze zajęli nieodległym gmach byłego niemieckiego sądu przy obecnej ul. 1 Maja, do tej pory wykorzystywany przez wojska sowieckie. Był to budynek trzykondygnacyjny, o sporym strychu i podziemiach, miał kilka niewielkich cel. Dobrze służył posterunkowi niemieckiej policji w kurzorcie i świetnie nadawał się na siedzibę urzędu. Dodatkowym jego walorem było to, że nie przylegał do innych budowli, co gwarantowało „anonimowość pracy”.

Dzięki znacznej liczbie pomieszczeń można było tam bardzo wygodnie pracować. Poszczególne sekcje zajęły własne skrzydła budynku. Okna pokoi przesłuchań należących do



PUBP Sopot

sekcji śledczej wychodziły na podwórko okolone murem, więc krzyki bitych i torturowanych ludzi nie były słyszalne. We frontowej części budynku mieścił się pokój sowieckiego doradcy. Znajdował się na wprost pokoju szefa PUBP. Według relacji pracowników, to szef urzędu przychodził do pokoju doradcy, a nie na odwrót. To świadczy o tym, kto rzeczywiście rządził w UBP.

Oprócz licznych pokoi, przeznaczonych do pracy biurowej lub „śledczej”, w budynku znajdowały się też warsztaty rzemieślnicze, stołówka i małe pomieszczenia mieszkalne dla niektórych funkcjonariuszy. Jako magazyn „zabezpieczonego” mienia poniemieckiego wykorzystywano obszerne poddasze. Według relacji świadków (zarówno funkcjonariuszy, jak i zatrzymanych) znajdowały się tam sterty ubrań, meble i inne części wyposażenia domu, pochodzące z prywatnych mieszkań, pozostawione przez uciekinierów. Formalnie rzeczy te zabezpieczano przed szabrem, faktycznie dysponowali nimi pracownicy bezpieki. Stąd brano ubrania, pościel, meble zarówno dla urzędu, jak i do domów prywatnych „ubeków”.

Na potrzeby urzędu zaadaptowana została także piwnica. Pierwotnie podzielona była na trzy części: cele dawnego komisariatu policji niemieckiej, magazyny i pomieszczenia kotłowni. Za „nowej” władzy wszystkie pomieszczenia, łącznie z kotłownią, służyły jako cele (jako cele wykorzystywano także niektóre pomieszczenia strychowe, zamykając ludzi razem ze składowanymi tam meblami czy ubraniami). Cel pilnowało dwóch „kluczników”, byłych żołnierzy sowieckich, mieszkających stale na terenie urzędu. Do ich zadań należała „opieka” nad zatrzymanymi oraz konwojowanie ich na terenie budynku. Faktyczny nadzór nad aresztowanymi sprawowała sekcja śledcza.

Pierwszymi „mieszkańcami” cel byli Niemcy i Pomorzanie. Zamykani formalnie jako podejrzani o zbrodnie wojenne, w zdecydowanej większości byli po prostu darmową siłą roboczą. Zatrzymani w kwietniu 1945 r. szewc reperował i szył buty dla sopockiej „bezpieki” co najmniej do końca 1947 r. Podobnie było z innymi rzemieślnikami. W PUBP Sopot „na etacie” byli więźniowie: krawiec, piekarz, stolarz, mechanik samochodowy, szklarz, a także kucharki czy murarze.

Wszystkich – praktycznie byli to sami Niemcy lub Kaszubi – wykorzystywano do niewolniczej pracy. Zatrzymani pod byle pozorem, zastraszeni groźbą egzekucji, pracowali, ciesząc się renomą świetnych fachowców. Jeden z pracowników UBP w swojej relacji opisuje, jak straszono niemieckich więźniów – jeśli nie będą dobrze pracować, to „polskie gestapo” będzie się na nich mściło. Wielu z nich, siedząc w celach PUBP Sopot nawet i dwa lata, gorliwie pracowało. Gotowali dla funkcjonariuszy posiłki, sprzątały gmach i otoczenie, pielęgnowali ogród, zajmowali się kotłownią, remontami wewnątrz, naprawianiem butów, ubrań, remontami mebli itp. Największym przedsięwzięciem była budowa nowej wartowni.

W czerwcu 1946 r. z PUBP Sopot zdołał uciec oficer wileńskiej Armii Krajowej, por. Zygmunt Augustowski „Huberta”. Była to pierwsza ucieczka z tego urzędu, w dodatku znaczącego oficera podziemia. Bezpośrednio po niej całą winę zrzucano na nieudolność wartowników (istotnie, jeden z nich został przepukiony i wypuścił Augustowskiego) oraz słabość zabezpieczeń budynku. Aby uniknąć podobnych zdarzeń w przyszłości, ówczesny szef PUBP Sopot, por. Jerzy Andrzejewski (późniejszy generał, komendant KW MO Gdańsk w stanie wojennym), postanowił otoczyć cały budynek wysokim ogrodzeniem, a od frontu zbudować osobny budynek wartowni. Użył do tego, rzecz jasna, więźniów – Niemców. Według relacji jednego z ówczesnych pracowników, Piotra Artwicha, specjalnie „doaresztowano” jeszcze kilku fachowców, aby praca przebiegała sprawnie. Wykonano ją w ciągu dwóch tygodni. Teren urzędu otoczono ogrodzeniem blisko trzymetrowej wysokości, a przy jego budowie wykorzystano metalowe elementy wcześniejszego dekoracyjnego płotku. Na wprost głównego wejścia dobudowano wartownię. Wszystko wykonano solidnie i rzetelnie, dopasowując do całości architektury – dziś wydaje się, że od początku taki był zamysł budowniczych.

W dobudówce oprócz wartowni znalazło miejsce biuro przepustek, założono telefon. Wartownia była przystosowana do potencjalnej obrony (małe okienka, będące w zasadzie strzelnicami).

Osadzeni Niemcy wykonywali podstawowe prace gospodarcze. Pracowali w kotłowni, przy transporcie mebli do prywatnych mieszkań funkcjonariuszy itd. Ich nadzieją była obietnica wyrażenia zgody na wyjazd do Niemiec. Dla wielu okazała się złudna. Tylko części z nich udało się wyjechać, reszta – jak można sądzić – spędziła następne lata w więzieniach. Na temat pobytu rzemieślników jako więźniów nie ma żadnych wzmianek w jakiegokolwiek dokumentacji – sprawozdaniach czy statystykach, nie ma po nich śladu. Tych dwudziestowiecznych niewolników przetrzymywano bezpodstawnie.



Por. Jerzy Andrzejewski

Gdyby nie jednoznacznie brzmiące relacje – zarówno więźniów, jak i funkcjonariuszy UBP – nikt nie wiedziałby o wykorzystywanych „niewolnikach”. Była to jedna z bardziej wstydlivych tajemnic komunistycznego aparatu represji na Pomorzu.

Piotr Niwiński, IPN Gdańsk

## Na Dolnym Śląsku

Projekt badawczo-edukacyjny „Miejsca represji i kaźni na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie w latach 1939–1956” prowadzony przez wrocławski oddział IPN zakłada poszukiwanie miejsc pamięci ofiar systemu nazistowskiego i komunistycznego. Problematyką zbrodni popełnianych w czasie II wojny światowej zajmują się wyspecjalizowane instytucje (Muzeum Gross-Rosen, Muzeum Martyrologii Alianckich Jeńców Wojennych w Żaganiu czy Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu), do 1989 r. nie były natomiast prowadzone systematyczne prace badawcze dotyczące zbrodni komunistycznych.

Podjęte przez pracowników IPN we Wrocławiu w latach 2003–2006 działania doprowadziły do ustalenia kilkudziesięciu lokalizacji, związanych z represjami wobec społeczeństwa polskiego po II wojnie światowej. Na podstawie materiałów wytworzonych przez aparat represji oraz wspomnień świadków dokonano „wizji lokalnej” w większości byłych siedzib PUBP, więzień i Ośrodków Pracy Więźniów (OPW), aresztów Informacji Wojskowej i miejscach pochówków oraz zebrano doświadczenia pozwalające na poczynienie kilku uogólnień.

Siedziby UB to w większości przypadków budynki wolno stojące, umiejscowione zazwyczaj na obrzeżu (w latach czterdziestych) miejscowości, mające piwnice, ogrodzone dziedzince lub ogrody. Współcześnie pełnią różne funkcje, są to domy mieszkalne (Oleśnica, Jawor), przedszkola (Kłodzko), urzędy (Lubań, Krapkowice, Nowa Ruda), siedziby policji (Nysa, Strzelin, Grodków), sądu (Żagań), banki (Wałbrzych, Ząbkowice Śl.). Większość śladów materialnych istnienia w nich siedzib UB została bezpowrotnie zniszczona, o przeznaczeniu części pomieszczeń świadczą jednak drzwi w piwnicach (okute, wyposażone w zamki, sztaby, charakterystyczne wizjery), kraty w oknach. W Bolesławcu odnaleziono także napisy na ścianach, wydrapane przez osadzonych w nich ludzi. Zachowany rozkład pomieszczeń piwnicznych, służących jako areszty, daje wyobrażenie o ciężkich warunkach przetrzymywania więźniów w celach. Potwierdzają je wspomnienia ofiar i zachowane protokoły inspekcji aresztów i sekcji śledczych, w których podkreślano przeludnienie cel, panujący brud, zawilgocenie.

Obiektem zainteresowania badaczy powinno stać się otoczenie byłych siedzib UB, ze względu na przypadki „zaginięcia” osób zatrzymywanych przez funkcjonariuszy UB i funkcjonujące w świadomości lokalnych społeczności przekonanie o grzebaniu ofiar prowadzonych śledztw właśnie na terenie urzędów. Z takimi doniesieniami można było spotkać się np. w Oławie czy Kłodzku, gdzie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odkryto przez przypadek szczątki ludzkie, których pochodzenia ostatecznie nie wyjaśniono, przyjmując, że związane są z II wojną światową.

Pobyt i śledztwo w UBP było początkiem drogi, jaką przebywała ofiara komunistycznego systemu represji. Dalsze etapy to prokuratura, sądy (wojskowe), więzienia i obozy pracy. Więzienia, ze względu na swoją specyfikę (wszystkie ośrodki karne z czasów komunistycznych nadal funkcjonują), są trudno dostępne. Przebudowy, remonty, dostosowywanie do zmieniających się przepisów spowodowały, że odtworzenie ich pierwotnego stanu i funkcjonowania (cele śmierci, miejsca wykonywania wyroków śmierci) jest dziś możliwe głównie dzięki wspomnieniom świadków.

Odrębną kategorię miejsc represji stanowią obozy pracy, w których wykorzystywano więźniów. Zaczęły powstawać w momencie zakończenia wojny, początkowo trafiali do nich Niemcy i folksdojczycy. Organizowane w miejscach do tego nieprzystosowanych działały krótko, nie pozostawiając po sobie śladów materialnych ani czy dokumentów. Od końca lat czterdziestych, m.in. w związku z tzw. planem sześcioletnim, aby zapewnić siłę roboczą dla rozbudowujących się zakładów, zaczęto organizację Ośrodków Pracy Więźniów (OPW). Powstawały one, często od podstaw, przy fabrykach (Jelczańskie Zakłady Samochodowe), kopalniach (kopalnia „Lena” koło Złotoryi, Kopalnia Glin Ogniotrwałych w Jaroszowie) i kamieniołomach (Strzelce Opolskie). Panujące w nich warunki zagrażały zdrowiu i życiu osadzonych w nich ludzi. Charakter represyjny miały także Bataliony Pracy, których żołnierze byli zatrudniani m.in. przy wydobywaniu rudy uranu.

Po likwidacji systemu OPW w końcu lat pięćdziesiątych infrastruktura związana z ich funkcjonowaniem była w dalszym ciągu wykorzystywana przez więziennictwo. Baraki mieszkalne stopniowo przekształcano w magazyny miejscowych przedsiębiorstw (np. pegeerów). Zachowane, m.in. w Archiwum Akt Nowych, plany obozów umożliwia-



Baraki OPW, Jarosław

ją lokalizację pozostałości po OPW. Do dziś przetrwały baraki mieszkalne, ślady murów i resztki podwójnych drutów w Wilkowie koło Złotoryi czy Wojcieszowie, gdzie były obozy umiejscowione poza granicami zakładów, dla których powstały. Tam, gdzie obóz był zlokalizowany w obrębie przedsiębiorstwa (Jelcz, Strzelce Opolskie) – budynki przebudowano, zmieniło się ich przeznaczenie, dlatego w niczym nie przypominają miejsca cierpień tysięcy ludzi. Żadne ślady nie pozostały również po OPW we Wrocławiu (ul. Sieradzka), którego więźniowie byli wykorzystywani do prac rozbiórkowych na terenie miasta.

Osobną kategorią były miejsca pozostające pod kontrolą wojsk sowieckich stacjonujących na terenie Polski. Ewenementem w skali kraju było więzienie i sąd w Legnicy funkcjonujące przy stacjonującym tam dowództwie wojsk Armii Radzieckiej, w którym represjom poddawano również obywateli polskich. Gdy w latach dziewięćdziesiątych miejscem tym zaczęła się interesować lokalna społeczność, na polecenie władz w Warszawie budynek został rozebrany.

**Robert Klementowski, Wojciech Trębacz, IPN Wrocław**



# NARODZINY CENZURY

**Nie bez powodu jedną z pierwszych decyzji PKWN, zanim jeszcze wojna się skończyła, było ustanowienie Resortu Informacji i Propagandy (wkrótce przekształconego w ministerstwo), a także uruchomienie urzędów cenzury (przyszły Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk wraz z wojewódzkimi i powiatowymi filiami). Ministerstwo Informacji i Propagandy, kierując radiem i prasą, zajmowało się przy tym nie tylko propagandą – czyli „urabianiem opinii publicznej przez wprowadzanie nowych myśli, poprzez częste ich powtarzanie celem utrwalenia” – ale też walką z „szepetaną propagandą” i „plotką”, a więc oduczaniem ubezwłasnowolnionego już w roku 1939 i terroryzowanego społeczeństwa od przekazywania sobie informacji, od prowadzenia rozmów czy wymiany myśli.**

Walkę toczono pod nadzorem NKWD, wszelkimi dostępnymi środkami (także przy pomocy donosicieli, zwanych zaraz po wojnie informatorami lub agentami), przy ścisłej współpracy z MO i Urzędem Bezpieczeństwa. Centralne Biuro Kontroli Prasy, Kin i Radia było jednym z departamentów MBP<sup>1</sup>.

## Wycinanie mózgu

Celem władzy było stworzenie „Człowieka Ziemi Nowej”, o którym na zaproszenie KW PPR opowiadał w 1947 r. w Szczecinie Kazimierz Koźniewski. Pozbawionego pamięci, nieznającego historii, niezdolnego do samodzielnego myślenia, powolnego narzędzia propagandy, niemającego nigdy wątpliwości i znajdującego zawsze oczekiwaną przez partię odpowiedź. „Planową akcję otumaniania opinii publicznej i wygrywania dla swej sprawy ogłupiających ludzi” – tak to określił publicysta WiN – rozpoczęto zaraz po wojnie. Starano się przy tym „zapomnieć” imiona największych polskich bohaterów Polski Podziemnej, „by ich cień nie przesłonił karlich typów przysłanych z Moskwy”. „Nowy człowiek” musiał być więc odporny na „nacjonalizm”. „Nacjonalizmem” nazywać zaś wówczas zaczęto każdy przejaw patriotyzmu czy szacunku dla własnego kraju i jego tradycji oraz wartości takich jak honor czy wierność. „Nacjonalizm” był dla nowej władzy groźny, gdyż człowiek wierny wyznawanym przez siebie wartościom, któremu nieobce było poczucie honoru, obywatel szanujący własny kraj, droższy mu od wizji szczęścia ludzkości, odporny był na propagandę i kłamstwo. Dlatego właśnie, jak pisał Józef Mackiewicz, „sowieckie działania wobec podbitego narodu” przypominały operację chirurgiczną polegającą na „wycinaniu pacjentowi jego mózgu i serca narodowego”<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe Kraków, WUiP Kr, 4, k. 53; Archiwum Akt Nowych, Akta Ministerstwa Informacji i Propagandy, 977, k. 48.

<sup>2</sup> AP Szczecin, KW PPR, 555, b.p.; WiN 11, k. 446, AP Kraków; J. Mackiewicz, *Nie Rosja, ale Sowiety*, „Wiadomości”, 4 V 1947.

## Zagrożenia: sumienie, uczciwość, charakter

„Zniszczenie organizmu narodowego” połączone ze „zburzeniem istniejącego oparcia światopoglądowego”, wedle cytowanego publicysty WiN, miało w Polsce „sparaliżować siły oporu”. Cenzorzy więc nie tylko przemilczali wydarzenia i fakty zadające kłam oficjalnej propagandzie, ale też wykreślali w prasie, radiu, literaturze i teatrze niebezpieczne dla władzy myśli i pojęcia, choćby pojawiły się one w starej sztuce teatralnej przeznaczonej dla teatru amatorskiego czy w niskonakładowym piśmie katolickim i dotyczyły problemów moralnych.

„W Polsce potrzeba najbardziej ludzi uczciwych – ludzi z charakterem, ludzi wielkich charakterów” pisał w „Currence” w 1949 ks. Jan Mleczko. „Ludzi o półrozumie, o półsercu, półwoli z brutalnym samolubstwem, ze służalczą obłudą znajdziesz wszędzie [...] a przecież wielkość narodu tworzą nie tyle dobra materialne, ile duchowe”. Cenzor z poznańskiego WUKPPiW S. Turek rozważania te wykreślił, uznając, że „atakują” one „współczesne idee oraz współczesną rzeczywistość”. Naczelnik urzędu uznał zaś jego ingerencję za „konieczną”. „Głos sumienia nie da się zmienić i zawsze złe potępia, a dobre pochwala” – pisał w 1948 r. w „Słowie Bożym” cytowany ksiądz. – „Sumienie nie da się naginać do upodobań ludzkich, ale rozkazuje jakby pracodawca, grozi, a w razie potrzeby karze”. Słowa te zostały przez cenzorów Brykalskiego i Maurycego Kamienieckiego wykreślone. Podobnie jak przesłanie „Niedzieli” z 1949 r.: „Pan Bóg za grzechy ciężkie karze ogniem wiecznym, za grzechy zaś mniejsze zsyła kary doczesne”. „Usuwanie fragment ten, zapobiega się ugruntowaniu w społeczeństwie fanatyzmu religijnego i wiary w zabobony, wytrącające jednostkę z równowagi” – pisał cenzor J. Witkowski. Kościół stale „wytrącał z równowagi” cenzurę, która nie była w stanie zagłuszyć jego przesłania. Udawało jej się tylko skutecznie przemilczać i fałszować fakty, tak aby w oczach społeczeństwa oczernić Kościół. Dlatego też w ramach prowadzonej przez NKGB akcji dyskredytowania papieża Piusa XII cenzor Sławomir Bieniewski wykreślił w 1949 r. z „Głosu Katolickiego” informację o złotym jubileuszu kapłańskim papieża. „Wielka i szeroko zakrojona musiała być ta działalność Papieża, skoro nawet innowiercy, a między nimi Żydzi, składali mu wyrazy wdzięczności” – pisał ks. dr Kryszak. – „Wiele razy dał też wyraz swej troski o nasz naród”. Skreślony fragment cenzor opatrzył komentarzem: „Przypisywanie Papieżowi dążeń i cech, których on nie posiada”.

Propagowanie moralności, uodporniającej człowieka na działanie sowieckiej propagandy, zostało zakazane. Nie pozwalano więc na łamach prasy błagać Boga „o cnotę trzeźwości”. Dlatego też H. Sarama z rzeszowskiego WUKPPiW wykreśliła w 1950 r. intencje miesięczne z „Posłańca Serca Marii”. „Zdrowe społeczeństwa szanują, czczą i pielęgnują czystość u młodzieży” – pisano tam. – „Zapowiedzią zagłady narodu jest brak rumieńca. A więc ci wszyscy gorszyciele młodzieży, ci, którzy mając sami duszę brudną, kalają wszystko, wszyscy ci, dla których nie istnieje grzech w ogóle [...] którzy wprowadzają kult brudu moralnego – to szkodnicy społeczeństwa”<sup>3</sup>.

## Czysty nacjonalizm

Najgorszym wrogiem nowej władzy był jednak chyba „czysty nacjonalizm”, jak ten promowany w 1949 r. przez W. Kieszkowską w artykule o ojcu Jacku Woronieckim na ła-

<sup>3</sup> AP Kraków, WiN 42, t. 1, k. 116; AAN, Akta GUKPPiW, 81 a (6/5 b), k. 51; *ibidem*, 85 (6/9 b), k. 45; *ibidem*, 26 (1/31), k. 72; *ibidem*, 87 (6/11a), k. 2; *ibidem*, 81 a (6/5 b), k. 71; AP Rzeszów, WUKPPiW Rz 47, 98, k. 3.

mach „Królowej Apostołów”. O. Woroniecki „nie dawał się lekkomyślnie unieść najbardziej zdawałoby się porywającym przykładom z zagranicy. Nie był zwolennikiem naśladowania obcych wzorów i dróg [...] Uważał, że religia i rozwój polskiej kultury muszą iść własnymi, »swojskimi« drogami odpowiadającymi pragnieniom i potrzebom polskiej natury, polskiej duszy”. Jak zauważył poznański cenzor Bronisław Schmidt, który zdania te wykreślił, była to próba „rozbujaania skrajnego nacjonalizmu, który ma się przeciwstawić korzystaniu z doświadczeń i wzorów radzieckich w budowaniu socjalizmu”. A „polski nacjonalizm” dawał o sobie dodatkowo jeszcze znać przy okazji obchodów różnych rocznic, które społeczeństwo zamierzało świętować inaczej, niż chciała narzucona władza. Cenzorzy dywagacje podobne po prostu usuwali, np. Landsberg i Kowalczyk w 1949 r. wykreślił z „Dziś i Jutro” fragment recenzji K. Kornika z książki Stanisława Padlewskiego *Przemarsz przez piekło*. „Historia Starówki będzie kiedyś w przyszłości najwspanialszym pomnikiem woli narodu do niezależnego bytu, bezgranicznego ukochania wolności i Ojczyzny”.

Jakub Berman, do śmierci polskiemu nacjonalizmowi przeciwny, nie bez racji wierzył, że „suma konsekwentnie i umiejętnie prowadzonych działań stworzy nową świadomość Polaków”. Do działań tych przez lata należało zacieranie przez władzę śladów, zarówno po własnych zbrodniach i nieprawościach, jak i po istnieniu ludzi, których unicestwiano. Zetrzeć więc postanowiono z powierzchni ziemi (za radą, a może na polecenie Sowietów, z zemsty za Powstanie?) jak najwięcej śladów po Warszawie, tej przedwojennej. Wznowiono dlatego dość prędko rozpoczęte przez Niemców na jesieni 1944 r. wyburzenie kamienic i budynków ocalałych w Powstaniu. Cenzura zaś zadbała, aby wiadomości o tym nie ujrzały światła dziennego. W 1948 r. cenzorzy Prażuch i Lewicka nie dopuścili więc np. do publikacji w „Życiu Warszawy” apelu Rady Związku Artystów, którzy protestowali przeciwko wyburzaniu zabytkowych budynków na terenie budowanej właśnie Trasy W-Z. Cenzorzy Maneli i Kowalczyk wykreśliłi zaś z „Gazety Ludowej” szczegółowy opis zagłady owych budynków, w tym wysadzenie w powietrze siedemnastowiecznego pałacu Tepperów i pałacu Prażmowskich na Krakowskim Przedmieściu. W podobny sposób potraktowano większość informacji o wyburzaniu w 1947 r. „całych i zdrowych budynków mieszkalnych dla Pałacu Ministerstwa Przemysłu”, pomiędzy pl. Trzech Krzyży, Kruczą, Żurawią i Hożą. Za sprawą cenzury nie dopuszczano także do głosu wezwań publicystów „Gazety Ludowej” i „Słowa Powszechnego”, którzy walczyli o zachowanie starych nazw ulic<sup>4</sup>.

Bez rozgłosu odbywały się też ekshumacje i pogrzeby poległych w Powstaniu. Panowała wokół nich „atmosfera obojętności” czynników oficjalnych, które utrudniały jak mogły rodzinom i kolegom pogrzebanie żołnierzy w kwaterach powstańczych. Rękami cenzury wstrzymywały przy tym wszelkie informacje na ten temat. I tak w 1946 r. z „Gazety Ludowej” usunięta została wiadomość o organizowaniu „komitetu ekshumacyjnego” poległych z baonu „Gustaw”. Zofia Żołątkowska wykreśliła zaś z tejże gazety nekrolog zawiadamiający o nabożeństwie żałobnym za poległych żołnierzy „Radosława”. Jak chciała donieść w rok potem „Stolica” – „cichym i nieoficjalnym świętem żołnierzy powstańców” stawał się w Warszawie Dzień Wszystkich Świętych. „Cichym, bo nigdzie w żadnym z komunikatów” nie pojawiała się o nim wzmianka. A cenzura usunęła i tę informację<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> AAN, GUKPPiW, 85 (60/9), k. 12; *ibidem*, 41 (1/101), k. 105; *ibidem*, 19 (1/40), k. 45; *ibidem*, 3 (1/16), k. 96; *ibidem*, 19 (1/40), k. 114; *ibidem*, 10 (1/26), k. 16; T. Torańska, *Oni*, Londyn 1985, s. 358.

<sup>5</sup> AAN, GUKPPiW, 3 (1/5), k. 32, 99; *ibidem*, 10 (1/26), k. 68.

## Walka z reakcją

Nie wszystkich wrogów i potencjalnych przeciwników nowej władzy udało się od razu uwięzić, zesłać do łagrów czy zamordować. Tych, którzy pozostali na wolności, należało spacyfikować, a więc nie tylko zastraszyć, ale również zniesławić i ośmieszyć, tak aby odwróciło się od nich społeczeństwo i aby zapomniano przy okazji o więźniach i pomordowanych. Już w czerwcu 1945 r. wydziały informacji i propagandy rozpoczęły „akcję uświadamiania społeczeństwa o istocie reakcji oraz kampanię walki z reakcją”. Wtedy właśnie zaczęło się wymazywanie z pamięci pozytywnego obrazu II Rzeczypospolitej, ZWZ-AK, Kościoła i Rządu RP na Uchodźstwie – walka z pokonanymi drwiną, kłamstwem i pomówieniami. Nowej historii uczono we współpracy z cenzurą i przy czynnej pomocy Urzędu Bezpieczeństwa. Jak to wyznał Kazimierzowi Moczarskiemu płk Józef Dusza z Departamentu Śledczego MBP: „Dzisiaj piszemy historię międzywojenną, okupacyjną i początków Polski Ludowej na waszych skórkach i kościach, a dzisiejsze i jutrzejsze podręczniki historii są i będą pisane tak, jak my chcemy”.

Propagandę wspierali pisarze i artyści, a więc „inżynierowie dusz”, zwani też „intelektualistami”. Jak opowiadał w 1948 r. członek KC PPR Stefan Żółtkiewski, wychowawcą ich była partia. Uczyla ona twórców nie tylko „czucia i myślenia”, była też przewodniczką pozwalającą dokonywać właściwych wyborów przez dostosowywanie się do zmieniających się dyrektyw. Najważniejszą bowiem postawą była „elastyczność”. Jednak „trudną wiedzę, co na danym etapie jest jeszcze pozytywne – a co już nie” posiadał tylko Komitet Centralny. Ze skomplikowaną sytuacją radziła sobie jedynie cenzura, która pracowała „dobrze”. W dodatku „taktownie i poprawnie”, jak zapewniał Żółtkiewski<sup>6</sup>.

Cenzorzy doszukiwali się w każdym niemal zdaniu, w każdej myśli wrogich treści. Nie bez powodu zresztą. Każde słowo prawdy stanowiło bowiem zagrożenie dla władzy opartej na przemocy, kłamstwie i obłudzie. „Na złodzieju czapka gore”, chciałoby się rzec. Dlatego pewnie w „Wiadomościach Diecezji Łódzkiej” nie mogły się w 1949 r. ukazać słowa Chrystusa: „Nie lękajcie się, Jam zwyciężył świat”. Cytat ten miał bowiem „akcent polityczny i mobilizujący” i nawiązywał do „przeciwstawienia się obecnej rzeczywistości”. Podobny niepokój wzbudzał wiersz Broniewskiego *Pionierom*. Cenzorzy Kowalczyk i Natalia Berland wykreślili go z „Wici” w całości. O „zwycięskiej Rewolucji” pisał bowiem poeta w sposób, który w 1947 r. nowej władzy wyraźnie zagrażał: „Cóż że depczą, cóż że są siłą / cóż że kolbami miazdzą twarz / W mur głowami, serca przez wyłom...”. Równie groźny wydał się w 1949 r. cenzorowi Bronisławowi Schmidtowi wiersz Lebidiewa i Kumacza *Jeśli jutro na bój*. Usunięty został z „Głosu Wielkopolskiego” „ze względu na jego bojowy wydźwięk i brak umiejscowienia w czasie”. Schmidt zapobiegł także umieszczeniu w „Głosie Katolickim” fragmentu *Quo vadis*. Podejrzewał bowiem redakcję, że próbowała opublikować fragment o prześladowaniach religijnych, by dać czytelnikowi „możność przenoszenia przykładów na czasy dzisiejsze”. Kierowana podobną troską cenzorka Saraama wykreśliła w 1952 r. w „Posłańcu Serca Marii” złote myśli św. Franciszka Salezego: „Uciekam od ludzi, którzy ostro z bliźnimi swoimi postępują, o takich nie chcę nic wiedzieć”. Miał to bowiem być jej zdaniem „atak na ostatnie procesy”. „Czy może anioł sprzeciwić się działalności szatana i zniweczyć ją?” – padało pytanie w *Liście do mojego Anioła Stróża* w „Posłańcu Matki Boskiej Saletyńskiej”. Odpowiedź brzmiała – „Tak!”. Według cenzora Michała Hegera było to „utwierdzanie reakcji w oporze”, do publikacji więc nie dopuścił<sup>7</sup>.

<sup>6</sup> AP Kraków, WUiP Kr, 4, k. 769; A. Steinsbergowa, *Widziane z ławy obrończej*, Paryż 1977, s. 57; AAN, PZPR, 237/XVIII – 2, k. 51–57.

<sup>7</sup> AAN, GUKPPiW, 83 (6/ 7 c), k. 58; *ibidem*, 15 (34), k. 194; *ibidem*, 85 (6/9 b), k. 100; *ibidem*, 81

## Armia Czerwona

Wykreślane były informacje o wyczynach bojówek PPR, oddziałów UB, MO i Armii Czerwonej na terenie Polski, opisy dokonywanych przez nich morderstw, pacyfikacji, rabunków i gwałtów. Stosunek do Armii Czerwonej był przy tym bałwochwalczy. Usunięte więc zostało w 1951 r. z „Posłańca Serca Marii” nawet podziękowanie złożone Matce Najświętszej przez rodzeństwo, któremu udało się przeżyć w 1945 r. ofensywę styczniową pod Miechowem. „Tendencją” autora miało bowiem być „umniejszenie zasług Armii Czerwonej w wyzwoleniu Polski”. Nie dopuszczano do publikacji doniesień, które w najmniejszym choćby stopniu podważały wiarygodność oficjalnych wersji aktów terroru czy zaplanowanych prowokacji, takich jak referendum i wybory, kieleckie wydarzenia czy obchody 3 maja w 1946 r. Nie pozwalano więc dlatego „Gazecie Ludowej” na druk nekrologów członków PSL, którzy „zmarli śmiercią tragiczną”, „w niewyjaśnionych okolicznościach” lub zostali zabici przez „nieznanych sprawców”.

Kreując legendę o „wyzwoleniu” Polski przez Armię Czerwoną (na Kresach miało to być „wyzwolenie” dwukrotne), ingerowano nawet w teksty ogłoszeń, w których rodziny starały się uzyskać informacje o zaginionych krewnych. Wymazywano często daty i nazwy miejscowości, o ile tylko wskazywały one na zatrzymanie poszukiwanych przez Sowieców czy NKWD. I tak np. w całości usunięte zostało ogłoszenie z „Dziennika Polskiego”, w którym mieszkająca we Wrocławiu żona poszukiwała męża, lwowskiego adwokata „przebywającego rzekomo w głębi Rosji”. W uzasadnieniu cenzor Jan Wakulczyński stwierdził, że informacje zawarte w ogłoszeniu „są niezgodne z prawdą”. W 1947 r. cenzorzy Wakulczyński i Figlewski wykreślili z zamieszczonego w „Życiu Warszawy” apelu, *Uwaga powracający z Rosji*, informacje o młodym „powstańcu Warszawy, który zaginał w Częstochowie 18–19 stycznia 1945”. Niecenzuralne były też informacje o lwowskim podpułkowniku, inżynierze, aresztowanym w 1939 r., „osadzonym” na Brygidkach i „wywiezionym podobno do Kijowa” w 1940 r. Jako „szkodliwe zdanie skierowane przeciwko ZSRR” cenzor Jerzy Raczkowski usunął z „Głosu Wielkopolskiego” informację, iż poszukiwane małżeństwo z powiatu złoczowskiego zostało w 1940 r. „wywiezione na Wschód”. Cenzor Kamieniecki wykreślił zaś informację o nauczycielach ze Świąciańszczyzny, których „droga do Polski prowadziła często przez Kaługę, z powodu tragizmu, jaki naród polski przeżył w tej wojnie”. Zapropomowane przez niego zdanie brzmiało już w miarę poprawnie: „z powodu wojny wielu z nich znalazło się na terenach ZSRR”.

A tam, jak uczono w szkołach i pisano w gazetach, Polakom działo się dobrze. Dlatego pewnie w 1946 r. cenzor Całuń wykreślił z zamieszczonego w „Pokłosiu Salezjańskim” wykazu salezjanów zmarłych tragicznie m.in. informacje o ks. Romanie Niteckim z Daszawy k. Stryja, zmarłym w łagrze nad Onegą. Cenzorka Sarama nie dopuściła zaś pełnego opisu uroczystości pięćdziesięciolecia kapłaństwa ks. Ludwika Bukata z diecezji przemyskiej. Nie zgodził się on na uroczyste obchody, „gdyż patrzył na nędzę licznych uchodźców i wysiedlonych ze wschodu mieszkających w Sokołowce”. A było to „bardzo szkodliwe i niezgodne z prawdą twierdzenie, że wysiedleni ze Wschodu cierpią nędzę”<sup>8</sup>.

a (6/5 b), k. 18; AP Rzeszów, WUKPPIW Rz 47, 97, k. 25.

<sup>8</sup> AP Rzeszów, WUKPPIW Rz., *op. cit.*, k. 8; AAN, GUKPPIW, 3 (1/5), k. 164v; *ibidem*, 3 (1/17), k. 39, 43; *ibidem*, 3 (1/8), k. 107; *ibidem*, 84 (6/8), k. 58; *ibidem*, 14 (1/30), k. 93, 92; *ibidem*, 6/9, k. 1; *ibidem*, 15 (1/32), k. 16; *ibidem*, 5 (1/10) k. 2; AP Rzeszów, WUKPPIW Rz, 98, k. 32.

## Kresów nie było

Po zakończeniu wojny obowiązywały nadal na świecie postanowienia paktu Ribbentrop–Mołotow co do polskiej granicy wschodniej. Jej nietykalności mieli teraz strzec Polacy. Należało wykreślić z ludzkiej pamięci polskie Kresy, wymazać je ze świadomości ludzkiej, skrętnie zatrzeć po nich ślady, co zresztą znakomicie się udało. Przez lat kilkadziesiąt nie wolno było pisać ani mówić o Lwowie, Wilnie, Grodnie, Stanisławowie, Wołyniu czy Podolu, bez względu na rodzaj omawianych spraw czy poruszaną epokę historyczną. Dlatego Jan Centkowski wykreślił w 1948 r. z „Królowej Apostołów” informację, że „kolebką polskich sióstr pallotynek są wschodnie rubieże Polski”. Miała to być zdaniem cenzora „prowokacja łożki żalu” (*sic!*). A w 1949 r., w opowieści o wojennych losach sióstr nazaretanek napisanej dla „Ładu Bożego”, Grodno zamienione zostało przez cenzurę na Łomżę. W artykule o przedwojennych młodzieżowych kołach krajoznawczych w 1949 r. cenzor krakowski Edward Drabik wykreślił „miejsowości za linią Curzona”. Społeczeństwo bowiem było „na najlepszej drodze do dalszego pogłębiania przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, podawanie więc tych miejscowości było nie tylko zbędne, ale i szkodliwe”. W rok potem Karol Słotwiński z Katowic ocenzurował w „Wieczorach Teatralnych” dziewiętnastowieczny afisz zapowiadający występy Gabrieli Zapolskiej w Teatrze hr. Skarbka we Lwowie. Kazał usunąć reklamę zamieszczoną na dole afisza, która głosiła: „Brylanty, złote i srebrne wyroby J. Dąbrowski – Lwów, Teatralna 7”. Było to bowiem „zbyteczne podkreślanie polskości Lwowa”. Naczelnik WUKPPiW uznał ową ingerencję za konieczną. Nie wolno też było, co stwierdził cenzor Schmidt, „budzić drogą pośrednią reminiscencji”, jak uczynił to „Tygodnik Katolicki” w 1949 r., wspominając obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, do której „ludność napływowa ma wielkie nabożeństwo”. „Szkodliwe”, a więc nienadające się do druku, zdaniem poznańskiej cenzorki pisma „Emeryt” G. Likowskiej, było też „niesprecyzowanie sprawy wysiedlenia i rekwizycji” w liście kobiety, której przy wysiedleniu ze Lwowa zabrano „najlepsze książki, nie mówiąc już o innych niezbędnych rzeczach”. Niecenzuralne bywały teraz nawet wiadomości o potrawach wigilijnych. W 1949 r. cenzor Sławomir Bieniewski wykreślił z „Głosu Katolickiego” informację, iż kutia była „znaną powszechnie na wschodzie Polski”. W uzasadnieniu stwierdził: „Kutia znana była przede wszystkim na terenach wschodnich w granicach z 1939. Obecnie tereny te nie wchodzą w skład Państwa Polskiego”. Z tego samego powodu lubelski cenzor Antoni Gilas zakwestionował nekrolog lekarza weterynarii w „Medycynie Weterynaryjnej”. „Skreślono – tłumaczył – ponieważ takie zdanie, że »zostaje lekarzem w powiecie Kowel«, może podrażniać chwiejne elementy i pobudzać ich do tendencji rewizjonistycznych do b. ziem wschodnich [...] lekarza weterynarii w Kowlu nie jest jakimś tytułem naukowym lub zaszczytnym, na skutek pewnych precedensów w historii bardziej dostojnym od »lekarza weterynarii w Krasnymstawie« lub gdzie indziej. Z tego powodu ograniczono tę swoistą demonstrację”. Jeszcze lepiej rozumiał sytuację cenzor Michał Heger, który w 1949 r. wykreślił z pisma „Caritas” informacje o dziejach Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek z Małopolski Wschodniej, gdyż franciszkanki „były narzędziem ucisku ludności ukraińskiej”, autor artykułu zaś nie uznawał „prawowitego gospodarza wymienionych ziem”<sup>9</sup>.

<sup>9</sup> AAN, GUKPPiW, 74 (3/1 d), k. 31; *ibidem*, 78 c (6/2 d), k. 40; *ibidem*, 81 (6/5 f), k. 108; *ibidem*, 80 (6/4 d), k. 6; *ibidem*, 85 (6/9 b), k. 157; *ibidem*, 74 (3/1 d), k. 12; *ibidem*, 85 (6/9 b), k. 130; *ibidem*, 82 (6/6), k. 90–90v; *ibidem*, 81 a (6/5 b), k. 73.

## Nowe znaczenia starych słów

Cenzura czynnie wspomagała tworzenie nowego języka, który opisując rzeczywistość, miał ją przede wszystkim kształtować. Jeszcze w czasie wojny pod okupacją sowiecką we Lwowie i w Wilnie przyklejać zaczęto ludziom etykiety, które w sposób jednoznaczny, raz na zawsze określały i definiowały człowieka. Nowy język nazywać miał i klasyfikować wrogów i ich przestępstwa. Etykiety i przezwiska nadawano przy tym w sposób dowolny. W ramach „przebudowy społecznej” urzędy informacji i propagandy oraz wydziały propagandy komitetów PPR uczyły na kursach nowych znaczeń starych słów, takich jak „naród”, „patriotyzm”, „faszyzm”, „nacjonalizm”, „antysemityzm” czy „reakcja”. Patriota powinien być teraz „pozytywnie ustosunkowany do demokracji ludowej” i lojalny wobec Związku Sowieckiego. „Faszystami” nazywano za to chętnie żołnierzy Armii Krajowej i gen. Andersa. A także, idąc za wskazówką Włodzimierza Sokorskiego, tych wszystkich, którzy nie byli „pod komendą PPR”.

Najlepiej powiodło się Niemcom. Już w 1949 r. trzeba było bowiem dokonać „podziału pomiędzy narodem niemieckim a hitlerowcami”, a to, jak objaśniał cenzor J. Witkowski, „z uwagi na fazę stosunków Rządu Polskiego z NRD”. Wtedy właśnie pojawili się istniejący po dziś dzień „hitlerowcy” i „naziści”, bliżej w Polsce nieznani podczas blisko sześćdziesięcioletniej okupacji. Za sprawą Stalina delikatność wobec narodu niemieckiego obowiązywać miała podobno jeszcze przed końcem wojny. Tak przynajmniej twierdził Marcel Reich-Ranicki, cenzor poczty polowej w armii Berlinga, który „Niemców” zastępować musiał w żołnierskich listach „nazistami”. A gdy już powstała NRD, niecenzuralne stały się nawet aluzje pod adresem Niemców. Nie wolno było, jak to ujął cenzor E. Drabik, „rozciągać hitlerowskich zbrodni na całość narodu niemieckiego”. Dlatego też cenzura dbała, aby wszędzie tam, gdzie pisano o wojnie, słowo „Niemcy” pojawiało się jak najrzadziej.

W imię „proletariackiego internacjonalizmu” zadbano też o uczucia narodu ukraińskiego. Cenzorzy pilnowali więc, aby sprawcami ludobójstwa na Wołyniu byli nie Ukraińcy, lecz „faszyści”, i aby o ich zbrodniach pisać jak najmniej. Cenzor J. Witkowski, wykreślając z „Kroniki Diecezji Sandomierskiej” opis śmierci ks. Walczaka w Feliksowie na Wołyniu, zarąbanego siekierami i żywcem wrzuconego do studni, napisał: „dużo szkodliwego realizmu mogłoby budzić nienawiść do narodu ukraińskiego. Typowo propagandowy chwyt, mający na celu wyolbrzymianie męczeństwa duchownych katolickich za wiarę i ojczyznę”<sup>10</sup>.

„Proletariacki internacjonalizm” w mniejszym stopniu obowiązywał w stosunkach polsko-żydowskich. O uczucia narodu polskiego mniej dbano, za to cenzura najwyraźniej sprzyjała teorii o odwiecznym polskim antysemityzmie, pilnując, aby nie ukazało się nic, co mogłoby teorii tej przeczyć. Dlatego też cenzor Lorenc wstrzymał w 1946 r. w „Gazecie Ludowej” artykuł *Polska drugą ojczyzną*. Opowiadano w nim o 435 żydowskich repatriantach, którzy uciekli z Palestyny „przed prześladowaniami Anglików i Arabów”, wracając do Polski, w której było „dużo lepiej, a przede wszystkim bezpieczniej”. Lorenc i Kowalczyk, cenzurujący w 1947 r. materiały z procesu prezesa Zarządu Głównego WiN Franciszka Niepokólczyckiego, nie dopuścili też do druku w „Gazecie Ludowej” odpowiedzi, jakiej udzielił on prokuratorowi na zapytanie o „stosunek do zagadnień żydowskich podczas okupacji”. Niepokólczycki miał wówczas zeznać: „To łączy się z nastawieniem przedwojennym, antykomunistycznym, że Żydzi aktywni politycznie byli zorganizowani w ruchu komunistycz-

<sup>10</sup> GUKPPIW, 88 (6/11e), k. 32–33; *ibidem*, 81 (6/5 c), k. 5; M. Reich-Ranicki, *The Author of Himself*, Princeton, New Jersey 2001, s. 218.

nym i ostrze wywiadu nie było skierowane przeciwko Żydom jako takim, ale wynikało z potrzeb wywiadu politycznego”<sup>11</sup>.

W ten sposób stalinowska wizja pozostaje żywa do dziś, fałszując i zaciemniając historyczne wydarzenia. Już teraz niektóre pojęcia stają się nieczytelne (jak w 2004 r. „nazistowska parabelka” w „Rzeczpospolitej” dla określenia niemieckiej broni). Czy za kilkanaście lat wszyscy aby będą wiedzieli, co to za „naziści” napadli na Polskę w 1939 roku? Jacy „faszyści” mordowali Polaków na Wołyniu? Z Polakami tylko sprawa jest jasna i prosta. „Żołnierze Andersa”, czyli „faszystowskie mordery”, którzy według propagandy w 1946 r. zabijając mieli w Kielcach Żydów, przeistoczyli się po pięćdziesięciu latach w Polaków właśnie.

GŁÓWNY URZĄD KONTROLI PRASY,  
 PUBLIKACJI I WIDOWISK  
 ul. Mysia 5  
 skr. pocztowa Nr P-32  
 00-950 Warszawa

Ocena Naczelnika W. U. K. P.  
 Ingerencja uzasadniona): konieczna  
 Ingerencja nieuzasadn.): brak  
 Podpis: [signature]

<sup>11</sup> AAN, GUKPPiW, 3 (1/7), k. 6; *ibidem*, 3 (1/15), k. 15.



# „ZE LWOWA, BRACIE, ZE LWOWA”...

**TADEUSZ SZCZUDŁOWSKI – BOHATER GDAŃSKIEGO ŚRODOWISKA  
ROPICIO**

Pod koniec lat sześćdziesiątych w rejonie Ustki odbywały się polsko-sowieckie manewry morskie. Formacje sowieckie i wopiści „bronili” wybrzeża przed atakiem z morza. Polski desant morski miał za zadanie wylądować na brzegu i dotrzeć do wyznaczonego rejonu. Polscy dowódcy nie ukrywali, że byłoby grzecznie pozwolić towarzyszom radzieckim na odniesienie kolejnej *pobiedy* – tym bardziej że na manewry zjechało wielu sowieckich generałów, którzy je obserwowali i nadzorowali. Stało się zadość tym pobożnym życzeniom. Cały polski desant został wylapany przez „obrońców”. Było to o tyle ułatwione, że nasi chłopcy z czerwonych beretów, nieprzyzwyczajeni do uroków morza, wyrzuceni z okrętu podwodnego trzy mile od brzegu, rzygali [?] na wszystkie strony, a ich jedynym pragnieniem w tej sytuacji było jak najszybciej pójść do sowieckiej niewoli... Manewry dobiegały końca. Po stronie atakujących brakowało co prawda jednego oficera i dwóch marynarzy, uznano jednak, że się zagubili lub utopili – takie wypadki się zdarzały. To nie przeszkodziło dowództwu manewrów w rozpoczęciu pijaństwa wieńczącego „zwycięstwo”. Tymczasem „zagubieni”, niedostrzeżeni przez sowieckich obrońców i wopistów z latarkami, powoli zmierzali do brzegu. Oficer przedziurawił trzy komory powietrzne pontonu i powyrzucał do wody wszystko, co niepotrzebne. Płynęli na jednej komorze, ryzykując życie, ale dzięki temu nie zostali zauważeni wśród morskich fal. Dotarli do brzegu i korzystając z „osłabienia czujności” obrońców polskiego wybrzeża, przeskakując między kępami krzaków, dotarli do samej komendy manewrów! Zameldowali przybycie *szpionów!* Jeden z polskich komandorów, szczególnie usłużny wobec „gości”, zamiast pogratulować odwagi i wojskowego fortelu, patrzył na swojego oficera z nieukrywaną złością i mocnymi słowami demonstrował swoje niezadowolenie. Tak się zaczęły kłopoty władzy z młodym porucznikiem Marynarki Wojennej Tadeuszem Szczudłowskim, zastępcą dowódcy morskiego ścigacza.

\* \* \*

Urodził się 22 listopada 1933 r. we Lwowie, w rodzinie legionisty i obrońcy Lwowa z roku 1918, uczestnika wojny z bolszewikami – Władysława Szczudłowskiego. Ojciec Tadeusza walczył także w wojnie obronnej 1939 r., potem złożył przysięgę w AK. Również w rodzinie matki, Marii z Kamińskich, było wielu obrońców polskich Kresów. Konieczność opuszczenia po wojnie stron rodzinnych i „repatriacji” była dla rodziny Szczudłowskich prawdziwą klęską. Na dnie serca pozostały wspomnienia ze Lwowa.

Trzeba było jednak rozpocząć nowe życie. Tadeusz trafił na Dolny Śląsk. W Jeleniej Górze ukończył w roku 1952 Technikum Przemysłowe i zdał maturę. Podczas zasadniczej służby wojskowej przeszedł kurs oficerów rezerwy łączności, na którym się wyróżnił. Właściwie nie miał wyboru. Wojsko potrzebowało ludzi przeszkolonych w łączności, jakiś sowiecki oficer, który się spotkał z absolwentami kursu, powiedział im, że są *choroszi* i że na pewno marzy im się kariera zawodowa w wojsku... Tadeusz pomyślał, że skoro ma zostać

oficerem, to prawdziwym, a nie po kursie. Jako gimnazjalista należał do Ligi Morskiej, morze fascynowało go od najmłodszych lat. Jeżeli więc ma zostać w wojsku, to jako oficer marynarki. Udało się! Został przyjęty do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Studia ukończył w roku 1958 i przez 10 lat pełnił służbę na okrętach wojennych. Kariery nie zrobił, bo do kariery potrzebne były wówczas nie tylko zdolności, ale i oddanie ideologii, którego przełożeni nie doszukali się w postawie Tadeusza. Został przeniesiony do rezerwy w stopniu porucznika marynarki wojennej.

Ponieważ miał także dyplom porucznika żeglugi wielkiej Marynarki Handlowej, chciał podjąć pracę w żegludze międzynarodowej, ale z powodu zastrzeżeń do jego „postawy ideowej” nie wydano mu paszportu i książeczki żeglarskiej. Stanie się to dopiero w roku 1989. Do tego dołączyły się kłopoty rodzinne. Od roku 1970 samotnie wychowywał syna Piotra, późniejszego wybitnego działacza niepodległościowego, uczestnika Ruchu Młodej Polski i ROPCiO. Tadeusz dorabiał w rzemiośle artystycznym i podjął zaocznie studia historyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Gdańskiego, które ukończył jako magister w roku 1972.

W roku 1976 rozpoczął się nowy etap w jego życiu. Wszystko starannie sobie przemyślał. Nigdy nie improwizował, jest typem perfekcjonisty. Kiedy się do czegoś bierze, robi to dobrze i z wielką żarliwością. Postanowił zupełnie jawnie i demonstracyjnie wypowiedzieć posłuszeństwo władzy komunistycznej. W tej decyzji umocniły go niedawne studia historyczne, wzbogacane ciągle nowymi lekturami, i historia własnej rodziny. Kiedy na jesieni 1976 r. gdańscy studenci z kręgu późniejszego Studenckiego Komitetu Solidarności i RMP zbierali podpisy pod protestem przeciwko represjom wobec robotników Radomia i Ursusa, podpisał ten protest. Niczego jednak nie robił połowicznie. Podpis oznaczał pełne zaangażowanie się już nie tylko w obronę robotników, ale i w działalność opozycyjną w ogóle. Dla Tadeusza było oczywiste, że nie walczy o prawa obywatela pojmowane abstrakcyjnie, teoretycznie, lecz o realny cel, jakim jest niepodległy byt państwa polskiego.

Prawo Polaka do posiadania własnego, suwerennego państwa jest jednym z praw kardynalnych każdego człowieka. Ta świadomość przebijająca z każdego wystąpienia publicznego Tadeusza Szczudłowskiego i determinuje jego dzisiejsze opinie na temat sytuacji w Polsce. Wszystkie wystąpienia zachowały się, niektóre zostały nawet nagrane. Są dowodem wielkiej odwagi cywilnej Tadeusza, który nie wahał się mówić o suwerenności w czasach, gdy takie tematy przeznaczone były tylko na nocne rodaków rozmowy.

W roku 1977 Tadeusz Szczudłowski przystąpił do rodzącego się Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Zrobił to w sposób spektakularny, odważny, w swoim stylu. Zwrócił się do ROPCiO z... podaniem o przyjęcie jego mieszkania na gdańskiej Morenie, przy ul. Zabłockiego, na punkt konsultacyjny Ruchu! Nie trzeba tłumaczyć, że zdecydował się w ten sposób na pełną inwigilację, nieproszonych gości, na represje. Stał się osobą publiczną, napiętnowaną przez władze, które nienawidziły go tym bardziej, że był żywym dowodem słabości wojskowej szkoły janczarów. Nie raz usłyszał od esbeka złowrogą przestrożę, że byłemu oficerowi Układu Warszawskiego takich rzeczy nie wolno robić. Był wielokrotnie przeszukiwany, aresztowany i pobity.

W mieszkaniu Tadeusza Szczudłowskiego znajdował się Punkt Konsultacyjno-Informacyjny ROPCiO, odbywały się spotkania, podczas których mieszkanie było pełne ludzi. Pamiętam, że w czasie spotkania z Markiem Skuzą mogłem tylko z korytarza wychylić głowę do pokoju, by lepiej słyszeć. Bywali tu znani opozycjoniści: opiekun duchowy studentów z gdańskiego SKS, o. Bronisław Sroka SJ, cichociemny ppłk Marian Gołębiwski, Wojciech

Ziemiński, Makary Sieradzki, dr Eugeniusz Myczka (bliski współpracownik Stanisława Mikołajczyka), Leszek Moczulski, Karol Głogowski, Jacek Bartyzel i wielu innych. Mimo niewielkiej przestrzeni była to oaza wolności, a Tadeusz Szczudłowski wydawał się każdemu z nas jakby człowiekiem z innego świata.

Bywał na spotkaniach gdańskich studentów ze środowiska SKS i RMP. Był bardzo szczęśliwy, że młodzi ludzie kontynuują pracę niepodległościową. Szczególnie zżyty był z Darkiem Kobzdejem, młodszym od niego o 21 lat studentem Akademii Medycznej w Gdańsku. Łączyło ich lwowskie pochodzenie i wspólna organizacja Mszy św. w intencji Ojczyzny w gdańskiej bazylice NMP, przemarsze pod pomnik Jana III Sobieskiego i manifestacje patriotyczne 3 maja i 11 listopada. Ten pomnik też był ze Lwowa... Po okresie „internowania” w Warszawie, w latach sześćdziesiątych Jan III Sobieski trafił do Gdańska. Marian Hemar z odległego Londynu napisał na ten temat piękny wiersz, bo Hemar też lwowiak...

Po kolejnej manifestacji, podczas której domagano się pełnej prawdy o Katyniu, 3 maja 1980 r. Tadeusz, razem z Darkiem Kobzdejem, został aresztowany. W trybie doraźnym skazano obydwu na 3 miesiące więzienia za „szkalowanie” PZPR i „władzy ludowej”, podważanie sojuszu z Sowietami i „zakłócanie porządku publicznego”. Siedzieli w gdańskim areszcie przy Kurkowej, gdzie w lipcu 1917 r. Niemcy więzili brygadiera Józefa Piłsudskiego oraz późniejszego premiera i generała, Kazimierza Sosnkowskiego. Cella Darka znajdowała się tuż obok dawnej celi marszałka. Podczas odbywania kary obydwaj głodowali. Na wol-



Zdjęcie jedyne w swoim rodzaju, wykonane „nielegalnie” przez Mieczysława Domańskiego podczas rozprawy rewizyjnej w gdańskim Sądzie Rejonowym, w maju 1980 r. Kiedy Domański wysunął aparat spod poły płaszcza, sędzia i prokurator tego nie zauważyli. W ostatniej chwili spostrzegli to milicjanci. Trzej z nich ze wstydu pochowali głowy, widać tylko czapki... Na ławie oskarżonych z lewej Tadeusz Szczudłowski, z prawej Dariusz Kobzdej. W ławie obrońców Władysław Siła-Nowicki i Jacek Taylor.

ności trwała akcja, organizowana przez RMP, o uwolnienie więźniów. W bazylice NMP w Gdańsku modlono się w tej intencji.

Wyszli 4 sierpnia. Dziesięć dni później zaczął się Sierpień. Tadeusz natychmiast zjawił się w stoczni – razem ze swoim synem Piotrem. Wspólnie z młodymi stoczniowcami w niedzielę 17 sierpnia, w momencie krytycznym dla całego strajku, postawili wielki drewniany krzyż przed bramą nr 2, gdzie w roku 1970 zginęli pierwsi stoczniowcy, jako kamień węgielny pod przyszły Pomnik Ofiar Grudnia 1970. Krzyż ten dał nadzieję około dwu tysiącom gdańskich stoczniowców – którzy w przeddzień opuścili stocznię. Niektórym było wstyd, że zabrakło im wiary, więc teraz nie wchodzili przez bramę, tylko skakali przez płot i szybko dołączali do strajkujących kolegów. Wrócili na strajk, tym razem już solidarnościowo! Tego samego dnia ks. Henryk Jankowski odprawił Mszę św. dla strajkujących.

Tadeusz należał do tych, którzy nie godzili się na żadne półśrodki i energicznie zabiegali o kontynuację strajku aż do osiągnięcia celu, jakim były wolne związki zawodowe. Tadeusz spodziewał się, że taka struktura – bezprecedensowa w państwie „realnego socjalizmu” – stanie się narzędziem walki o cel najważniejszy – niepodległość. Współredagował 21 stoczniowych postulatów, wyklócał się z każdym, kto chciał je łagodzić, cenzurować. Podkreślał aspekty polityczne strajku, szerszą perspektywę celów do osiągnięcia. Nie wszystkie jego postulaty uwzględniono. Sprzeciwiał się m.in. zapisowi w porozumieniach sierpniowych o „kierowniczej” roli PZPR w państwie, „nierozzerwalności” systemu „socjalistycznego” i „obowiązujących sojuszy międzynarodowych”, czyli sowieckiego zniewolenia. Na I Zjeździe „Solidarności” (był jego gościem honorowym) wzywał do wyeliminowania takich zapisów z dokumentów związkowych. Stopniowo jednak, jako „ekstrema”, był odsuwany od związkowych gremiów przez esbecką agenturę, ale też przez późniejszych kontrahentów „okrągłego stołu”.

W stanie wojennym został uznany za szczególnie niebezpiecznego. Ścigano go listem gończym, bo nie dał się internować. Został aresztowany na początku stycznia 1982 r., wraz z synem Piotrem. Piotr został przewieziony do więzienia w Iławie, Tadeusz trafił do obozu w Strzebielinku pod Wejherowem, gdzie był dobrym duchem internowanych. Z jego inicjatywy powstał zachowany do dziś wielki krzyż internowanych, dzięki niemu duch oporu trwał. Odwiedzający internowanych członkowie rodzin witani byli organizowanymi przez Tadeusza śpiewami patriotycznymi, do których się przyłączyli... W barakach dochodziło do manifestacji, podtrzymujących na duchu uwięzionych.



Tadeusz Szczudłowski w sporze z Lechem Wałęsą, w przeddzień podpisania porozumień sierpniowych. Spór dotyczył umieszczenia w porozumieniach zobowiązań politycznych wobec komunistów.

Po wyjściu z internowania nie zaniechał działalności. Bronił więźniów politycznych, organizował pomoc dla ich rodzin. Szedł z krzyżem na czele pochodu, który 10 maja 1988 r. wymaszerował ze strajkującej Stoczni Gdańskiej do kościoła św. Brygidy.



Fot. Andrzej Dzierżewowski

Wyjście strajkujących ze Stoczni Gdańskiej wieczorem 10 maja 1988 r. Scena niby znana, a jednak nieznaną... W oficjalnych publikacjach na czele pochodu idą, trzymając się pod rękę, Lech Wałęsa i Tadeusz Mazowiecki. W rzeczywistości pochód otwierał Tadeusz Szczudłowski z wielkim drewnianym krzyżem, symbolem tego zwycięstwa...

Tadeusz Szczudłowski ma krytyczny stosunek do przemian, jakie zaszły w Polsce po 1989 r. Nie odzwierciedlały jego niepodległościowych ideałów. Może dlatego nie jest dziś w kraju tak znany jak wielu niegdysiejszych, często mniej zasłużonych dla sprawy opozycjonistów. Nawet jego krytycy polityczni podkreślają jednak, że jest człowiekiem szlachetnym, ideowym, zasługującym na najwyższy szacunek.

Kiedy ostatnio rozmawiałem z Tadeuszem Szczudłowskim o jego wystąpieniach z lat siedemdziesiątych pod pomnikiem Sobieskiego w Gdańsku, zwierzyłem mu się: „Panie Tadeuszu, patrzyłem wtedy na pana jako student; słuchałem pana słów, za które można było pójść do więzienia lub zginąć» w niewyjaśnionych okolicznościach«, i zawsze się zastanawiałem: »skąd on się taki wziął«?... Popatrzył na mnie z uśmiechem, ale jednocześnie z jakąś pewnością, że zadałem ważne pytanie: „Ze Lwowa, panie Piotrze, ze Lwowa”...



Chwila satysfakcji i refleksji nad tym, co było.  
3 maja 2006 r.  
Prezydent RP  
Lech Kaczyński  
odznaczył Tadeusza  
Szczudłowskiego  
Krzyżem  
Komandorskim  
z Gwiazdą Orderu  
Odrodzenia Polski

Sławomir Cenckiewicz, IPN Gdańsk

# „ŹLE URODZONY”

**PAMIĘCI HENRYKA LENARCIAKA (1933–2006)**

**Rok temu odszedł od nas Henryk Lenarciak – ślusarz, pracownik wydziału elektrycznego Stoczni Gdańskiej, uczestnik strajków 1970 r., 1971 r., 1980 r. i 1988 r., działacz „Solidarności” i budowniczy Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku, prześladowany i więziony przez komunistów.**

Całe życie był skromnym, cichym i ubogim człowiekiem. Bardzo niski, przesadnie szczupły, w wielkich, darmowo przyznawanych przez zakład okularach, zdumiewał samym faktem pracy w stoczni, bo wyglądał na kompletną ofiarę, kogoś niezdolnego do fizycznego wysiłku. Całe życie ciężko pracował. Wielki duch w małym ciele. Takim też został zapamiętany. Odszedł praktycznie niezauważony i zapomniany, jak wielu bohaterów walki z komunizmem. O jego zasługach przypomniał w sierpniu 2006 r. prezydent Lech Kaczyński, który pośmiertnie odznaczył go Złotym Krzyżem Zasługi.

Jego śmierć przyszła nagle, niczym grom z jasnego nieba, chociaż był już niemłodym człowiekiem (zginął tragicznie 3 sierpnia 2006 r.). Wciąż jestem nią poruszony i mam do siebie pretensje. Rozmawiałem z nim, wypytywałem o historię, pokazywałem dokumenty, ale zawsze powtarzałem panu Henrykowi, że się niebawem odezwę i tak, na spokojnie, przez kilka dni, usiądziemy i wszystko dokładnie omówimy, nagramy, spiszemy. Nie zdażyłem.

## Z Kurpiów do Gdańska

Lenarciak urodził się 18 czerwca 1933 r. Mawiał, że „jest źle urodzony – na piaskach”. Piaski to pola wokół jego rodzinnej wsi – Baranowa, niedaleko Przasnysza, na Kurpiach. A Kurpie to kraina dzielnych ludzi, dobrych Polaków, jak pisała niegdyś Maria Konopnicka. Jako młody chłopak pan Henryk był świadkiem pacyfikacji podziemia niepodległościowego przez oddziały KBW i UB. Obrazy z dzieciństwa zapadły trwale w jego pamięć. Zapamiętał słowa ojca, który powiedział mu wówczas: „Tylko ty się syn strzeż polityki”<sup>1</sup>. Przez całe życie starał się być wierny ojcowej przestrodze, choć polityka sama upominała się o niego. Był patriotą i prawym człowiekiem nieobojętnym na krzywdę innych, a w komunizmie to wystarczyło, by zostać uznanym za wroga.

W 1952 r. Lenarciak opuścił swoje rodzinne strony i udał się za pracą do Trójmiasta. 4 sierpnia 1952 r. został pracownikiem Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Po jednym dniu zatrudnienia nabawił się poważnej kontuzji. Wypadek w pracy – zmiążdżona noga, pęknięcie śródstopia i w konsekwencji dwa miesiące zwolnienia. Później były dwa lata służby wojskowej, ślub i znów Stocznia. Przez kolejne lata, dzień w dzień od świtu do nocy, z wyjątkiem niedziel i świąt, pracował ciężko jako ślusarz wyposażeniowy na budowanych statkach.

## Lekcja Grudnia '70

Po ogłoszeniu podwyżek cen jesienią 1970 r. w Stoczni Gdańskiej zawrzało. Lenarciak po kilkunastu latach pracy nie miał praktycznie niczego. Ani żadnych oszczędności, ani go-

<sup>1</sup> E. Szczesiak, *Okno na wolność*, Gdańsk 2005, s. 12–17.

dziwego mieszkania – tylko pożyczki do spłacenia. 14 grudnia 1970 r. szedł w wielotysięcznym tłumie oburzonych stoczniowców krzyczących: „Chcemy chleba”. „Byliśmy w sile” – wspominał. Dwa lata temu Lenarciak opowiedział tamte chwile gdańskiemu reportażystcie Edmundowi Szczesiakowi. W jego książce czytamy: „Przechodnie przystawali, klaskali, niektórzy przyłączali się do nich. Jakaś kobieta na ich widok uklękła na chodniku i płakała. [Lenarciak] szedł na końcu pochodu, na przedzie byli młodszy. Wyszli z bocznej uliczki na główną arterię, przeszli przed dworcem i zatrzymali się przed masywnym gmachem Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Groźnie zabrzmiały słowa pieśni, służącej dotąd do partyjnej celebracji: »Wyklęty powstań ludu ziemi«, przechodzące w zapewnienie, że »bój to jest nasz ostatni«. Śpiewali, żeby ich słyszano. Że są i czekają. Śpiewali hymn narodowy i pieśni religijne. W drzwiach pojawił się wystraszony mężczyzna. Próbował coś tłumaczyć tym, którzy stali przy samych schodach, ale inni też chcieli usłyszeć, co ma do powiedzenia. Przed budynkiem stał radiowóz – nyska z głośnikami. Podprowadzili więc do niej tego, od którego oczekiwali wyjaśnień. Usłyszeli, że mają wrócić do pracy, więc go wygwizdali”<sup>2</sup>.



Henryk Lenarciak

Kolejne chwile, wydarzenia i dni na trwałe wstrząsnęły Lenarciakiem. Był świadkiem masakry robotników na ulicach Gdańska. Ani przez chwilę nie opuścił kolegów. Był z nimi pod „Reichstagem” (jak nazywano budynek KW PZPR) i Komendą Miejską MO przy ul. Świerczewskiego (obecnie ul. Długie Ogrody) w centrum Gdańska. W czasie strzelaniny wycofał się na teren Stoczni Gdańskiej, gdzie ogłoszono strajk protestacyjny. Na wniosek załogi Lenarciak wszedł do Komitetu Strajkowego. Bronił się przed tym, ale nie miał wyjścia – wszyscy jednogłośnie żądali jego obecności w komitecie. Jednak w świetle postępowania władz, determinacji milicji i wojska, a zwłaszcza tego, co stało się w Gdyni, dalszy opór nie miał sensu. Lenarciak łągodził nastroje i apelował o rozwagę<sup>3</sup>.

### „Pomożemy”

Dojście Gierka do władzy przyjęto raczej z optymizmem. Grożący strajkiem stoczniowcy, w tym Lenarciak, domagali się niezwłocznej wizyty I sekretarza w Gdańsku. „Stoczniowcy żądają, by w terminie do dnia 10 stycznia 1971 r. przybył do nich na spotkanie tow. Gierek celem uwzględnienia postawionych przez stoczniowców postulatów. W wypadku, gdy tow. Gierek nie przybędzie na spotkanie ze stoczniowcami i nie uwzględni ich postulatów, zostaną rozesłani delegaci do większych zakładów pracy na terenie całego kraju, aby jednocześnie zakłady te przystąpiły do generalnego strajku” – informował kierownictwo

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 31–32.

<sup>3</sup> L. Goodwyn, *Jak to zrobiliście? Powstanie „Solidarności” w Polsce*, Gdańsk 1992, s. 213–214.

MO i SB w Gdańsku płk Henryk Stasiak<sup>4</sup>. Gierek przyjechał i wywarł pozytywne wrażenie w czasie styczniowej wizyty w Trójmieście. Na spotkaniu ze stoczniowcami w siedzibie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku wydawał się przekonujący. Lenarciak powie później, że „Gierek nie przyjechał, aby klajstrować”. Rozmawiał z nim osobiście w czasie przerwy. Gierek miał mu nawet powiedzieć: „My będziemy robić porządki na górze, a wy róbcie na dole”<sup>5</sup>. Sam Lenarciak zabrał wówczas głos. Domagał się cofnięcia podwyżek cen, gospodarności oraz respektowania praw ludzi pracy. Poza tym jako gorliwy katolik publicznie wystąpił w obronie Kościoła. Domagał się zgody na budowę świątyni w nowej dzielnicy Gdańska – Przymorzu, gdzie mieszkał. Pokazał pismo z ponad dwoma tysiącami podpisów. Zmieszany Gierek zapewnił zebranych, że parafia powstanie. „Gierek, wskazując Henia sekretarzowi wojewódzkiemu PZPR, niejako wyznaczył go na nadzorcę budowy” – wspomina kolega ze stoczni, Henryk Jagielski<sup>6</sup>. Lenarciak dopiął swego. Kościół na Przymorzu, zwany w Gdańsku popularnie „okrągłakiem”, w końcu powstał.

### Przewodniczący rady oddziałowej

Z lekcji Grudnia '70 wyszedł Lenarciak jako prawdziwy robotniczy przywódca. Władze zgodziły się na autentyczne wybory do związkowych rad oddziałowych. Lenarciak otrzymał prawie sto procent głosów. Został przewodniczącym rady oddziałowej Związku Zawodowego Metalowców na Wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej. Do rady wszedł także jego młodszy kolega z wydziału, elektryk Lech Wałęsa, który został mianowany przez Lenarciaka społecznym inspektorem pracy<sup>7</sup>. Po wyborze na przewodniczącego rady Lenarciak powiedział, że zamierza stale bronić najbardziej poszkodowanych i najniższej zarabiających. I rzeczywiście, na tyle przejął się swoją funkcją, że uwierzył w możliwość poprawy bytu stoczniowców. Kołatał gdzie tylko mógł – u kierowników, w partii, związkach zawodowych i dyrekcji. Walczył o podwyżki, zapomogi, pożyczki i wczasy pracownicze. Wierzył, że teraz jest na to wszystko zgoda, że partia jest bliższa robotnikom. Był ideowcem, więc pamiętał również o losie rodzin kolegów zastrzelonych w grudniu 1970 r. na ulicach Gdańska. Upominał się o zapomogi dla nich, ale też o godne upamiętnienie tego wszystkiego, co stało się wówczas w Trójmieście. Wiosną 1971 r. jako przewodniczący rady zakładowej postulował odsłonięcie przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej tablicy pamiątkowej lub nawet pomnika poświęconego pamięci poległych w grudniu 1970 r. stoczniowców. Wraz z gronem najbliższych przyjaciół i kolegów organizował zbiorowe wyjazdy na groby kolegów oraz zbierał pieniądze na wieńce i kwiaty<sup>8</sup>. Słowem – stał się jednym z pierwszych strażników pamięci Grudnia '70. I pozostał nim do końca swoich dni.

### „Jesień 70”

Udział w rewolcie 1970 r. i pogrudniowe zaangażowanie Lenarciaka ściągnęło na niego zainteresowanie ze strony SB. Podobnie jak w przypadku kilku tysięcy uczestników Grud-

<sup>4</sup> AIPN, IPN Gd 003/169, t. 3, Notatka płk. Henryka Stasiaka dla KW MO w Gdańsku, Gdańsk, 8 I 1971 r., k. 47.

<sup>5</sup> E. Szczesiak, *Okno...*, s. 45.

<sup>6</sup> Rozmowa z Henrykiem Jagielskim, czerwiec 2006 r., notatki w zbiorach autora.

<sup>7</sup> L. Goodwyn, *Jak to zrobiliście?...*, s. 224–226. Wałęsa był wcześniej członkiem Komitetu Strajkowego i powołanej z inicjatywy dyrektora Stoczni Gdańskiej Rady Delegatów Robotniczych.

<sup>8</sup> AIPN, IPN Gd 003/169, t. 2, Notatka płk. Henryka Stasiaka dla KW MO w Gdańsku, Gdańsk, kwiecień 1971, k. 1–3.



nia, również na niego założono tzw. teczkę inwigilowanego i kwestionariusz ewidencyjny w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Jesień 70” – gigantycznej operacji gdańskiej SB zainicjowanej 31 grudnia 1970 r. Sprawę tę prowadzono przez prawie całą dekadę lat siedemdziesiątych, a jej celem było m.in. „ustalenie inspiratorów zajęć w zakładach pracy oraz rozpoznanie ich powiązań ze znanymi w przeszłości osobami występującymi z pozycji antysocjalistycznej w celu poddania ich kontroli operacyjnej”<sup>9</sup>. Jak w praktyce wyglądała owa „kontrola operacyjna”, ukazuje instrukcja postępowania wobec każdego, kto przewinął się przez ubeckie kartoteki po Grudniu: „Brał czynny udział w wypadkach grudniowych. Należy przeprowadzić wszechstronny wywiad, w którym ustalić aktualną opinię w miejscu zamieszkania. Ustalić, czy pracuje, jaką posiada opinię w zakładzie pracy. Jeśli nie pracuje, zarejestrować w kartotece »nierobów« i wypełnić ankietę. Ustalić wszelkie aktualne kontakty i ich charakter oraz osobowość. Systematycznie rozliczać pod kątem zaistniałych przestępstw sprawdzając dokładnie alibi. Przeprowadzić rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze oraz kontrolę. Sprawdzić aktualną przeszłość kryminalną. Pozyskać O[sobowe] Z[ródła] dla zapewnienia sobie dopływu informacji o działalności figuranta. Jeśli wyniki z przeprowadzonej inwigilacji i innych czynności operacyjnych wskazywać będą, że figurant zerwał z przeszłością, nie utrzymuje kontaktów z elementem przestępczym i podejrzanym, a prowadzi unormowany tryb życia, wystąpić z wnioskiem o zaniechanie dalszej inwigilacji”<sup>10</sup>. Ponadto SB przeprowadzała wywiad w miejscu pracy i zamieszkania, w czasie przesłuchań pobierano od „figurantów” odciski palców (lub całej ręki) i wykonywano zdjęcia. Skalę prowadzonych działań i efekty pracy operacyjnej SB ukazują pierwsze statystyki operacji. Od rozpoczęcia SOR „Jesień 70” do 16 stycznia 1971 r. do współpracy z SB „pozyskano” łącznie aż 106 osób, a w okresie „wydarzeń grudniowych” (14–31 grudnia 1970 r.) zwerbowano 53 tajnych współpracowników. W *Analizie wyników pracy operacyjnej Wydziału III* z tego okresu czytamy, że „łącznie w związku z koniecznością operacyjnego zabezpieczenia dopływu informacji o działalności poszczególnych środowisk i pracowników obiektów gospodarki narodowej od chwili zapoczątkowania wydarzeń grudniowych pozyskano 131 tajnych współpracowników”<sup>11</sup>.

### „Figurant”

Po wstępnej selekcji materiałów zebranych w ramach SOR „Jesień 70” Lenarciak został jednym z najważniejszych pogrudniowych „figurantów” Wydziału III KW MO w Gdańsku. Jego „rozpracowanie” zyska później kryptonim „Kobra”, który zapewne nawiązywał do noszonych przezeń okularów. Z czasem zaczęto go „rozpracowywać” w ramach dwóch spraw – „Jesieni 70” oraz sprawy obiektowej o kryptonimie „Arka”, której celem była „ochrona operacyjna” Stoczni Gdańskiej im. Lenina<sup>12</sup>. Znaczące osiągnięcia SB sprawiły, że już na początku 1971 r. Lenarciak został wciągnięty na listę „wrogich elementów” przewidzianych

<sup>9</sup> AIPN, IPN Gd, 003/14, t. 4, Wniosek o wszczęcie sprawy obiektowej kryptonim „Jesień 70”, Gdańsk, 31 XII 1970 r., k. 7–8.

<sup>10</sup> Zob. ankiety inwigilowanych: AIPN, IPN, Gd 003169, t. 8 i 9.

<sup>11</sup> AIPN, IPN Gd, 003/14, t. 4, *Analiza wyników pracy operacyjnej Wydziału III KW MO w Gdańsku za okres od 14 XII 1970 r. do 16 I 1971 r.*, Gdańsk, 16 I 1971 r., k. 353.

<sup>12</sup> Por. S. Cenckiewicz, *Grudzień '70 w Gdańsku według tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa*, „Pamięć i Sprawiedliwość”, 2003, nr 3, s. 275-302.



Pogrzeb ofiar Grudnia '70

do zwolnienia<sup>13</sup> i osaczony przez tajnych współpracowników ulokowanych na Wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Jeden z nich, TW o pseudonimie „Bolek”, 27 kwietnia 1971 r. szczegółowo opisał zaangażowanie Lenarciaka w zbieranie składek na wieńce, które 1 maja miały być złożone przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej. „Dziś od rana nie pracowałem – czytamy w donosie „Bolka” – ok. godz. 12.00 dowiedziałem się od Lenarciaka, że już zbierają pieniądze i że puszczono w obieg ankietę co do miejsc złożenia wieńcy” [sic!]. I dalej: „na 12 wniosków – 9 było za złożeniem ich przy drugiej bramie Stoczni w miejscu poległych – pozostałe 3 za dołączeniem się do większości. O godz. 14.30 w dniu 27 [kwietnia] zwołał zebranie Lenarciak chcąc zmienić powyższe decyzje, jednak nie dało się tego zrobić”<sup>14</sup>. Sprawa upamiętnienia ofiar Grudnia '70 przewija się niemal we wszystkich donosach dotyczących Lenarciaka. Pod koniec 1971 r. TW o pseudonimie „Kolega” informował: „Duży wpływ na załogę W-4 posiada przewodniczący Rady Oddziałowej Lenarciak, któ-

<sup>13</sup> Na liście „wrogich elementów”, podzielonych wedle miejsca zatrudnienia, przy Lenarciaku napisano: „Aktywny uczestnik wydarzeń grudniowych, członek Komitetów strajkowych w grudniu i styczniu, zbierał pieniądze na wieńce, delegat załogi do rozmów z dyrekcją Stoczni w dniu 20.5.71 r.?” Por. AIPN, IPN Gd, 003/14, t. 60, b.p. (duży format). Zob. także: AIPN, IPN Gd, 003/16, t. 4, *Wykaz pracowników Stoczni Gdańskiej im. Lenina przewidzianych do zwolnienia z pracy*, b.d., k. 434.

<sup>14</sup> AIPN, IPN Gd, 003/14, t. 12, Doniesienie TW ps. „Bolek”, opracował kpt. Henryk Rapczyński, Gdańsk, 27 IV 1971 r., k. 165.

ry po zakończeniu Zjazdu [PZPR] wykazywał w rozmowach robotnikom jego doniosłość i znaczenie dla dalszej poprawy warunków bytu społeczeństwa. Lenarciak starał się też, w[edług] t[ajnego] w[spółpracownika], wykorzystać to do rozładowania atmosfery: »mówiłem, że nie ma co szumieć, a wszystko trzeba załatwić spokojnie i okazało się, że miałem rację«, dotyczyło to wypowiedzi Lenarciaka na zebraniu załogi W-4, gdy domagał się od załogi zademonstrowania poparcia dla nowych władz swoją rozważą i zachowaniem spokoju oraz zrezygnowaniem z domagania się pomnika<sup>15</sup>.

## Kuszenie

Zaangażowanie w Grudzień '70, autorytet wśród robotników i rozważne zachowanie Lenarciaka sprawiły, że SB chciała go mieć po swojej stronie. Wiedział, że jest kwestią czasu, kiedy wezwą go na przesłuchanie. Kiedyś po powrocie z komendy MO przyszedł do niego Wałęsa i powiedział: „Heniu, mów wszystko, bo oni wszystko wiedzą”. No i stało się, już następnego dnia Lenarciak wyładował na milicji. „Nieprzyjemna była to rozmowa” – wspominał. – „Jeden tam chwycił krzeselko na mnie, bo powiedziałem, że nie rzucałem kamieniami, a tylko krzyczałem, żeby inni nie rzucali, bo rzucają w swoich. Zdenerwowało go to i chwycił za krzeselko”<sup>16</sup>. Później było następne wezwanie i próba nakłonienia do „współpracy”. W szczegółach opisał tamten dramatyczny moment dokumentaliście Grzegorzowi Braunowi, który nie mógł wówczas przypuszczać, że utrwali jego ostatnie słowa. „My panu załatwiliśmy kościół, a pan nam podpisze współpracę i będzie sprawa załatwiona, będzie miał pan spokój” – rozpoczął oficer SB. Lenarciak odpowiedział: „Ja się do współpracy nie piszę, nie nadaję się, bo żeby być jakimś współpracownikiem, to trzeba być i jakiejś postury większej i jakimś cwaniakiem, a taki jak ja się do niczego nie nadaje. A poza tym wiadomo, jaka jest opinia o człowieku, który jest wzywany na komisariat i po komisariatach się wóczy”. Funkcjonariusz odparł od razu: „No, my nie będziemy spotykali się na komisariatach, ale w kawiarence, gdzieś w gospodzie”. Lenarciak: „Ale alkoholu nie używam – to odpada”. Esbek: „No to możemy samochód załatwić panu, »Warszawę« czy jakiś inny”. I znów odpowiedź pana Henryka: „Jak ja boję się jeździć samochodem, bo ja wariat jestem, z kim jadę, to zawsze za wolno”. Oficer nie dawał za wygraną: „A mieszkanie pan takie malutkie ma, takie tam półtora pokoju. Trzeba zrobić chociaż ze 2–3 pokoiki, byśmy panu załatwili”. Lenarciak odparł: „Kiedy mnie na cztery osoby wystarczy to, co mam, ja nie jestem wymagający”. Esbek: „No ale żona by miała, mogłaby się inaczej urządzać”. „Nie, nie wiąże się na to” – odpowiedział Lenarciak, co wywołało gniew esbeka: „To my jednak nie ustępujemy. U nas nie ma nic za nic. Myśmy załatwili pańską sprawę, to pan musi załatwić naszą”. Na co Lenarciak znów odważny: „Niestety, ale ja jestem na razie w związkach zawodowych, jestem przewodniczącym i moim obowiązkiem jest bronić ludzi, a nie robić im krzywdę”. Esbek: „Ale my krzywdy nie robimy, tylko porozmawiamy”. Lenarciak: „Wiem, ale to jest nieprzyjemna rozmowa”. Funkcjonariusz SB nie wytrzymał i rzucił na koniec: „My panu powiemy, że pan na kolanach będzie błagał, żeby przyjąć pana do współpracy, ale wtedy to my będziemy stawiali warunki”. „Mówię mu – wspomina Lenarciak – może Bóg da, że nie

<sup>15</sup> AIPN, IPN Gd, 003/16, t. 2, *Notatka służbowa dot. sytuacji na Wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej im. Lenina*, Gdańsk, 13 XII 1971 r., k. 373. Zob. także: AIPN, IPN Gd, 003/14, t. 35, kpt. Eugeniusz Misztal, *Notatka służbowa z odbytego spotkania z t.w. ps. „Obojętny”*, Gdańsk, 29 XI 1971 r., k. 95.

<sup>16</sup> Relacja Henryka Lenarciaka udzielona Grzegorzowi Braunowi w listopadzie 2005 r., nagranie wideo w zbiorach autora.

będę musiał zwracać się o pomoc”. „No zobaczymy!” – krzyknął esbek i dodał: „My wiemy, na kim i na czym panu najbardziej zależy i postaramy się, żeby pan to odczuł”<sup>17</sup>. Powyższy opis to piękne świadectwo uporu i oporu, które pokazuje, że nawet w dramatycznych warunkach grudniowej pacyfikacji robotnik mógł zdobyć się na odmowę współpracy z SB.

### Budowniczy Trzech Krzyży

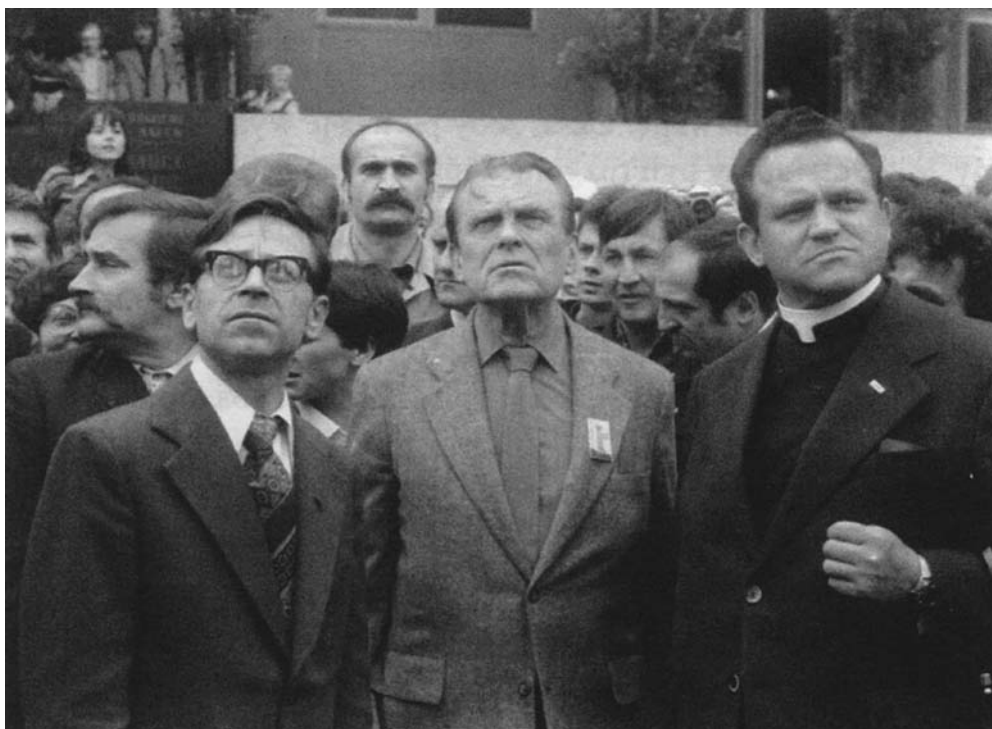
Odmowa „współpracy” oznaczała problemy i represje. Do końca Polski Ludowej Lenarciak znajdował się „w zainteresowaniu” SB. W drugiej połowie dekady gierkowskiej, z którą przecież na początku wiązał pewne nadzieje, zyskał nowy kryptonim „operacyjnego rozpracowania”. Tym razem został „figurantem” sprawy o kryptonimie „Len” prowadzonej przez Wydział III „A” KW MO w Gdańsku. Sympatyzował z Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża. Czytał „Robotnika Wybrzeża” i brał udział w konspiracyjnych spotkaniach. Poznał m.in. Andrzeja Gwiazdę, Bogdana Borusewicza i Annę Walentynowicz. Miał w domu rewizje. Straszono go m.in. tym, że jeśli nie zapomni o Grudniu, to syn nie zda matury, pomimo dobrych wyników w nauce. Słowa dotrzymani – w maju 1979 r. syn „oblał” maturę. W grudniu 1979 r. Lenarciaka zatrzymano na 48 godzin w ramach działań prewencyjnych o kryptonimie „Tarcza”, wymierzonych w działaczy Wolnych Związków Zawodowych, Ruchu Młodej Polski i ROPCiO. SB chciała w ten sposób nie dopuścić do organizacji obchodów grudniowej rocznicy przed bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej 16 grudnia 1979 r. Następnego dnia, kiedy nie wrócił do domu i nie przyszedł do pracy, w jego obronie zastrajkował Wydział W-4. Pod budynkiem dyrekcji odśpiewano hymn narodowy. Kierownictwo zakładu stchórzyło i ogłosiło dzień wolny od pracy<sup>18</sup>.

W sierpniu 1980 r. Lenarciak chorował. Historia z niego zakpiła. On, bohater Grudnia, wieloletni pracownik Stoczni Gdańskiej, poważany przez załogę, był nieobecny przy wybuchu Wielkiego Strajku. Wiedział jednak o jego wybuchu. Rozmawiał też o tym z Wałęsą w niedzielę 10 sierpnia. Kiedy wyzdrowiał, 25 sierpnia 1980 r. czym prędzej pojawił się w stoczni. Został szefem kasy strajkowej. Cieszył się, że wraca sprawa, o którą wojował od 1970 r. – budowa pomnika ofiar Grudnia. Po podpisaniu porozumień sierpniowych Lenarciak odpowiadał za realizację tego postulatu. Z ramienia „Solidarności” został przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców. Z przedstawicielami władz walczył nie tylko o odpowiednie rozmiary pomnika, miejsce jego usytuowania (sprawa płotu stoczniowego), ale też o jego religijny i patriotyczny charakter. Krytykowali go też działacze „Solidarności” – w tym chyba najgłośniejszy Anna Walentynowicz – za to, że pomnik akcentuje zgodę narodową, bo Lenarciak był zawsze człowiekiem zgody. Trzeba przypomnieć, że były w tym czasie podejmowane próby zafałszowania charakteru powstającego pomnika. Rozważano pomysł, aby zamiast nazwy „Pomnik Poległych Stoczniovców” nazwać monument „Pomnikiem Pojednania Narodowego”. Lenarciak zgodę postrzegał przez pryzmat panującej harmonii pomiędzy wszystkimi stanami i pokoleniami Polaków. Pięknie wyraża to płaskorzeźba umieszczona na pomniku z jego inicjatywy: obok siebie stoją górnik, hutnik, stoczniovec, rolnik i dziecko. Był człowiekiem szanującym prostotę zachowań i ludzką pracę. To on osobiście dzwonił do Sztokholmu, gdzie Czesław Miłosz odbierał literacką Nagrodę Nobla, i prosił poetę, by zgodził się na umieszczenie w pobliżu pomnika fragmentu pięknego wiersza *Który skrzywdziłeś*<sup>19</sup>. Dzień 16 grudnia 1980 r. był też jego

<sup>17</sup> *Ibidem*. Zob. także film dokumentalny G. Brauna pt. *Plusy dodatnie, plusy ujemne*, TVP 2005.

<sup>18</sup> E. Szczesiak, *Okno...*, s. 59.

<sup>19</sup> *Ibidem*, s. 119.



Podczas odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniovców

świętem – w dniu odsłonięcia Pomnika Poległych Stoczniovców ziściło się jego marzenie, o którego realizację walczył dokładnie dziesięć lat.

### **Świadek upadku kolebki i portier**

W stanie wojennym Lenarciak uniknął internowania. W pracy powiedziano mu, że jest pod specjalnym nadzorem. Był wystraszony tym, co go otaczało. Wojsko i milicja na ulicach, a wielu kolegów w „internatach”. Znowu przyszło mu bronić pamięci Grudnia. Był poruszony kradzieżą całej dokumentacji budowy pomnika z siedziby „Solidarności”. Podobno zomowcy napychali sobie kieszenie medalami, które miały zostać wręczone w 11 rocznicę Grudnia '70<sup>20</sup>. Aresztowano go dopiero 15 października 1982 r., czyli już po formalnej delegalizacji „Solidarności”. Dostał dwa miesiące więzienia za udział w strajku w Stoczni Gdańskiej w obronie związku. Siedział w Gdańsku i w Potulicach. Później przyszło kolejne upokorzenie – najpierw nie pozwolono na zawieszenie na stoczniovców murze tablic z nazwiskami zastrzelonych w 1970 r., a później, 24 czerwca 1983 r., władze zlikwidowały Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców, miejsce, na którym stoi pomnik przemianowały zaś z placu Solidarności na plac Solidarności Robotniczej.

W maju i sierpniu 1988 r. Lenarciak raz jeszcze strajkował. Był weteranem wśród stoczniovców młodzieży, która „ciągnęła” protest. Cieszył się z nadchodzących nowych czasów. Szybko jednak przeżył rozczarowanie. Mieczysław Rakowski postawił Stocznnię Gdańską

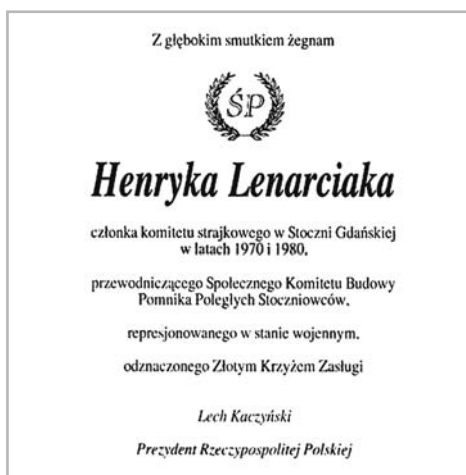
<sup>20</sup> *Ibidem*, s. 139.

w stan likwidacji, a rządy solidarnościowe, w których zasiadało wielu jego znajomych z okresu strajków, zalegalizowały ten wyrok na kolebce związkowego ruchu. Po 37 latach pracy w grudniu 1989 r. został wysłany na emeryturę, której jeszcze nie oczekiwał. Oglądając upadłą stocznnię, tak zwierzał się Edmundowi Szczesiakowi: „Europa jest zadowolona. Mur berliński upadł, kraje uciśnione przez komunizm są wolne, nie ma żelaznej kurtyny. Ale ci, którzy byli podłożem tych zmian, którzy otworzyli innym okno na wolność, w podzięciu dostali taką nagrodę, że w pierwszej kolejności została rozwiązana Stocznia Gdańska”. I dalej: „Jest demokracja, o którą walczyliśmy, w której pokładaliśmy nadzieje. Że nie będzie głodnych, poniżonych. Oddali życie, żebyśmy mogli żyć godnie. Mamy wolną Polskę, mamy demokrację, o którą walczyliśmy i w której możemy mówić, co chcemy, nie zamykają nas za każde słowo prawdy. Ale co z tego, skoro nikt tym się nie przejmuje”<sup>21</sup>.

Przez ostatnie lata życia Henryk Lenarciak głównie opiekował się chorą żoną. Było im ciężko. Miał kilkaset złotych emerytury. Musiał dorabiać sobie jako portier w spółdzielni inwalidów. Spotkał go tam kiedyś Wałęsa. Tak się złożyło, że w tym zakładzie umieszczono komisję wyborczą, w której głosował Wałęsa. Kiedy były pracownik W-4 wysiadł z luksusowego auta, na widok zabiedzonego i nędznie ubranego swego byłego brygadzysty krzyknął: „A co ty tu robisz?”. Pan Henryk odpowiedział: „Dorabiam”. Skonsternowany Wałęsa odparł tylko „Aha” i szybko odszedł<sup>22</sup>.

Naszym lokalnym bohaterem zainteresował się dopiero reżyser zakazanego filmowego felietonu historycznego *Plusy dodatnie, plusy ujemne*, Grzegorz Braun. Wystąpił w jego filmie. Był poruszony materiałami, które pokazał mu ten dokumentalista. Wśród nich znajdowały się donosy na pana Henryka. Pod wpływem tego impulsu zgłosił się do gdańskiego oddziału IPN z wnioskiem o wgląd do swojej „teczki”. Był jeszcze na zamkniętym pokazie filmu Brauna w mieszkaniu Krzysztofa Wyszokowskiego. Mówił mi, że prawda historyczna wymaga świadectwa, dlatego zdecydował się publicznie zabrać głos. Razem z Henrykiem Jagielskim i Józefem Szylerelem zapowiadał publiczną prezentację dokumentów IPN. W owym czasie, z jakichś powodów, został zwolniony z pracy. Może firma wstydziła się tak niereprezentatywnego dozorca podnoszącego szlaban przy wjeździe, a może zaszkodził mu udział w filmie Brauna? Od tej chwili już tylko cierpiał. Bez pracy nie potrafił żyć. W dniu 3 sierpnia 2006 r. zginął w wypadku. Policijny komunikat mówił o tym, że „kierujący tramwajem na skrzyżowaniu ul. Chłopskiej i Obrońców Wybrzeża jadąc w kierunku Jelitkowa, potrafił pieszego, który przechodził przez przejście na czerwonym świetle. W wyniku poniesionych obrażeń pieszy zmarł”.

Odszedł jeden z tych, którzy jeszcze przed 1980 r. mieli odwagę walczyć o godność robotników, sprawę polską i prawdę historyczną. *Requiescat in Pace.*



<sup>21</sup> *Ibidem*, s. 209 i 211.

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. 212. Także: relacja Henryka Lenarciaka udzielona Grzegorzowi Braunowi.

# WYROK – KARA ŚMIERCI

*Spójrz na niebo błękitne w oddali,  
Na te obłoki, co tak wolno płyną.  
Na próżno wzrok twój skarży się i żali,  
Cóż je obchodzi, że tu ludzie giną.*

**Te pełne dramatycznego krzyku strofy zostały wydrapane na ścianie celi, jednej z tysiąca podobnych<sup>1</sup>. Od tego czasu minęło już pięćdziesiąt lat, a my nadal za mało wiemy o tym, co się wówczas w nich działo. Jedno wiemy na pewno – ich ściany były niemymi świadkami wielu ludzkich tragedii.**

Lata 1944–1956 stanowiły najtragiczniejszy okres w powojennej historii Polski. Wszechobecny terror, aresztowania, brutalne przesłuchania i śmierć stanowiły dla wielu codzienność tamtych lat. Niemal każdy, nawet najmniejszy przejaw negatywnego stosunku do władzy kończył się wyrokiem skazującym. Najwyższe zapadały za tzw. zbrodnie stanu, zawarte w rozdziale XVI kodeksu karnego WP. Równie często stosowany był dekret z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa. Tylko w pierwszym rozdziale aż w 11 artykułach przewidziany był NWK („najwyższy wymiar kary”), czyli kara śmierci. W myśl tych przepisów za podobną zbrodnię mogło zostać uznane nawet „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości”, zwane popularnie szeptanką.

Na podstawie okólnika z 19 lutego 1946 r. zostały powołane do życia Wojskowe Sądy Rejonowe<sup>2</sup>. Siedzibą WSR stały się stolice województw, a obszar jurysdykcji pokrywał się z ich granicami. Sądy te powszechnie szafowały wyrokami śmierci, na skutek czego kara ta nie była już wyjątkowa. Stała się codziennością „politycznie podejrzanych”. Przez dziesięć lat istnienia WSR ogłoszono takich wyroków ponad 3650, z czego połowę wykonano. Z wyrokami śmierci nierozzerwalnie łączą się miejsca egzekucji. Na terenie całego kraju było ich wiele, ale niektóre budzą szczególne skojarzenia. Więzienie mokotowskie w Warszawie czy więzienie przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu są symbolami terroru tamtych lat.

Po 1949 r. wyraźnie nasilił się opór wśród młodzieży. Było to efektem rozbicia „podziemia dorosłych”, którego członkowie siedzieli w więzieniach z wysokimi wyrokami lub zostali pomordowani przez bezpiekę i NKWD. W Polsce powstawało ówczesnie wiele organizacji „bez ustalonego zabarwienia politycznego”, wedle terminologii UB, działających w znacznej części na terenie szkół średnich. Zasadniczym celem konspiracyjnej młodzieży była walka z komunizmem i obrona niepodległości Polski. Formy, jakie przybierała, można scharakteryzować jako utrudniające wprowadzenie nowych zasad funkcjonowania państwa: redagowanie i kolportaż ulotek, sporządzanie napisów na murach, bojkot posiedzeń ZMP. Część organizacji stawiała sobie bardziej radykalne cele – zbieranie broni, organizowanie pomocy dla więźniów politycz-

<sup>1</sup> Cyt. za: D. Suchorowska, *Wielka edukacja. Wspomnienia więźniów politycznych PRL (1945–1956)*, Warszawa 1990, s. 72.

<sup>2</sup> B. Łukaszewicz, *Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie 1945–56*, Olsztyn 2000, s. 28.

nych, a nawet planowanie odbicia aresztowanych. Młody wiek i świadomość wartości ideałów, za które ginęli ich ojcowie i bracia w czasie wojny, skłaniały do aktywnego działania. Władza bardzo rygorystycznie traktowała „wywrotową działalność” młodzieży. Świadczą o tym drażące wyroki, zasądzone z całą surowością, na równi z dorosłymi.

\* \* \*

Bronisław Kozak, uczeń XI klasy Gimnazjum w Szprotawie, był jedną z ofiar komunistycznego systemu. Urodził się 19 lipca 1928 r. jako pierwotne dziecko Władysława i Stanisławy. Pierwsze kroki w swej edukacji stawiał w szkole podstawowej w Brzezinach w powiecie lubartowskim. Do wybuchu wojny ukończył trzy klasy i – jak wynika ze stopni na świadectwach – uczył się dobrze. „Bardzo lubił zwierzęta”, wspomina najmłodsza siostra, „często ranne przynosił do domu, aby je kurować”. Opiekował się także trójką młodszego rodzeństwa. „Sadzał mnie na kolanach i namawiał do wytężonej nauki”, relacjonuje pani Helena<sup>3</sup>. Po zakończeniu działań wojennych kontynuował edukację w gimnazjum. Nie widząc dla siebie przyszłości na ojcowiznie, podjął decyzję o wyjeździe. Droga powiodła go na „dziki zachód”, tak wówczas nazywano ziemię zachodnie. Opowiadano o krainie mlekiem i miodem płynącej, która dla niego jednak stała się miejscem kaźni.

Szprotawa, miasteczko oddalone o 140 km na północ od Wrocławia, stanowiło nowy dom dla wielu przesiedleńców, zarówno tych z Kresów Wschodnich, jak i z terenów centralnej Polski. W 1948 r. dołączył do nich również Broniek. Pierwsze miesiące spędził u wujostwa, ale nie czuł się tu dobrze. Szybko zamieszkał samodzielnie w pokoju na poddaszu, przy pl. Browarnym 1. Tam powstały pierwsze wiersze i zappełniały się karty pamiętnika. Fragmenty, które zachowały się jako dowody rzeczowe w aktach sądowych, świadczą o dużej wrażliwości chłopca i talencie literackim. Pamiętnik pisany był w formie listów do św. Mikołaja: „I cóż mógłbyś mi drogi przyjacielu doradzić, co mam robić, jak postępować, czy dalej mam być ofiarą twego smutnego lica i w ciasnej szafie wypalać co przerwę po dwa mocne kipy”. Przeżywał porażki w szkole i zawody miłosne. Był zwyczajnym dwudziestolatkiem, który chciał znaleźć swoje miejsce w życiu. Czy je znalazł podczas niespełna trzyletniego pobytu w Szprotawie? Czy też owo miejsce to skrawek ziemi na cmentarzu Osobowickim we Wrocławiu, oznaczony numerem 74?

We wrześniu 1948 r. podjął dalszą naukę w gimnazjum, w X klasie. Do tej samej klasy uczęszczali także chłopcy, którzy później zostaną oskarżeni o przynależność do nielegalnej organizacji: Czesław Chutko, Mikołaj Maciejowicz, Henryk Olichwer, Henryk Sitko, Czesław Suszko, Witold Syrycki, Józef Zawadzki. Nowy rok szkolny 1949/1950 w gimnazjum szprotawskim wszystkim zapadł głęboko w pamięć. Na kartach historii miasta zapisał się krwawymi literami, a dla Bronka był przedostatnim rokiem w życiu.

Nie jest rzeczą łatwą kroczyć śladami Bronisława Kozaka. Niektóre tak mocno się zatężyły, że są prawie niewidoczne. Jedynymi osobami, które mogą pomóc mi w podjęciu takiej próby, są żyjący współoskarżeni. Józef Zawadzki, najbliższy przyjaciel Bronka z okresu szprotawskiego, był moim ostatnim rozmówcą. Od niego dowiedziałam się, że w zasadzie wszystko, o co byli oskarżeni, jest prawdą. Zarzucano im redagowanie i sporządzanie ulotek, czego głównym pomysłodawcą był Kozak. Następnie rozwieszali je na terenie gimnazjum, czasami również na ulicach miasta. Stało się tak 2 maja 1949 r., kiedy Broniek napisał cztery ulotki jednakowej treści: NIECH ŻYJE 3 MAJA i wraz z kolegami rozlepił je na ulicach Szprotawy. Chłopcy pisali także anonimowo do działaczy ZMP z żądaniem zaprzestania pracy w organizacji. Bojkotowali zebrania związku,

<sup>3</sup> Relacja Heleny Antczak z 19 XI 2003 r.



wybijając szyby w budynku, a ich uczestników obrzucając kamieniami. Jednym z głośniejszych incydentów było zachłapanie szyldu ZMP znajdującego się na budynku posiedzeń: „nalaliśmy do żarówek atramentu z tuszem, które następnie zalaliśmy smołą, i udaliśmy się wieczorem [...] pod gmach Zarządu ZMP, gdzie Kozak rzucił żarówkę [...] na wywieszkę”<sup>4</sup>.

„Kozak zawsze był gotów do działania – opowiada Józef Zawadzki. – Uważał, a ja się z nim zgadzałem, że nadal jesteśmy w stanie wojny i trzeba podtrzymywać ducha walki, aby kiedy nadejdzie odpowiedni moment, cała młodzież ruszyła do boju”<sup>5</sup>. Rozmawiał więc z kolegami, przedstawiając swoje stanowisko i wyjaśniając wątpliwości. Nie wszyscy rozmówcy się z nim zgadzali. Wielu jednak myślało podobnie i gotowi byli w razie potrzeby podjąć działanie. Na moje pytanie, czy Broniek tworzył organizację, Zawadzki stanowczo zaprzeczył: „Żadnej organizacji nie było”. Czy rzeczywiście? Kozak swoją postawą i umiejętnością wyraźnie stanowił „mózg”, Zawadzki siłę i możliwości organizacyjne, a kilku kolegów zaplecze. Niewątpliwie mieli broń do dyspozycji. Stan posiadania ograniczał się wprawdzie tylko do czterech granatów, pistoletu FN kaliber 7,65 mm oraz piętnaostrzałowej „belgijki”, kaliber 9 mm. Zdobywanie większej ilości uzbrojenia stało się jednym z głównych celów chłopców. Myśleli o rozbrajaniu żołnierzy WP i funkcjonariuszy UB, a nawet o zorganizowaniu napadów na posterunki milicji w Małomicach i Niegosławicach. Plany te pozostały tylko w sferze marzeń. Byli świadomi konsekwencji posiadania broni, a mimo to odważnie trwali przy swoich założeniach. Zawadzki określa to jednoznacznie: „Liczyło się tylko to, że możemy zrobić coś dla kraju”<sup>6</sup>. W ich wyobrażeniach mogli wszystko, nawet obalić ustrój państwa „gołymi rękami”. Młodość i chęć działania powodowała, że byli gotowi oddać życie za ojczyznę. Ich poczynania były tymczasem skrupulatnie odnotowywane przez funkcjonariuszy Powiatowego UBP. Sporządzano szczegółowe notatki, zbierano dowody rzeczowe. Trafiły one później jako materiały obciążające do akt sprawy.

W miesiącach wakacyjnych 1949 r. Szprotawę obiegła informacja, że nad Bobrem zastrzelony został oficer sowiecki. Lejtnant Wasilij Żukow pełnił obowiązki farmaceuty w stacjonujących na terenie miasta oddziałach Armii Czerwonej. Na podstawie posiadanych informacji nie można jasno stwierdzić, kto był sprawcą tego czynu. Akta w sposób wyraźny wskazują, że dokonał go Bronisław Kozak przy współudziale Czesława Suszki. Mieli oni udać się nad rzekę z zamiarem rozbiorzenia łowiącego tam ryby Żukowa. W wyniku szarpantiny doszło do oddania strzałów, zarówno ze strony Kozaka, jak i oficera. Ten ostatni z powodu odniesionych ran poniósł śmierć na miejscu<sup>7</sup>. Wśród mieszkańców panowała zgodna opinia, że były to porachunki kolegów-czerwonoarmistów. Miało chodzić o niewiastę. Wokół sprawy zrobił się duży szum. Milicja oraz organy bezpieczeństwa podjęły szerokie działania operacyjne, które jednak nie doprowadziły do wykrycia sprawców.

Chłopcy czuli się jednak obserwowani. Wrażenie to nasiliło się po relegowaniu Bronka ze szkoły. 15 kwietnia 1950 r. na posiedzeniu rady pedagogicznej dyrektor Kołodziejcki poruszył sprawę Bronisława Kozaka, ucznia klasy XI, zarzucając mu „pozostawianie pod wpływem reakcji i przyczynianie się do wytwarzania niezdrowej atmosfery wśród młodzieży”. Postawił wniosek o usunięcie go ze szkoły. Po protestach grupy nauczycieli postanowiono zasięgnąć opinii partii, UB i Powiatowego Zarządu ZMP. Już 25 kwietnia na podstawie pisma ZMP rada jednogłośnie

<sup>4</sup> AIPN Wr, 23/318, t. 1, k. 5; t. 7, k. 12.

<sup>5</sup> Relacja Józefa Zawadzkiego z 3 III 2004 r.

<sup>6</sup> *Ibidem*.

<sup>7</sup> AIPN Wr, 23/318, t. 1, k. 1.

przyjęła wniosek dyrektora o usunięciu Kozaka ze szkoły<sup>8</sup>. Tym samym pozbawiono go możliwości przystąpienia do egzaminu dojrzałości. Zdał go dwadzieścia miesięcy później w więzieniu.

Aresztowania rozpoczęły się 5 sierpnia 1950 r. Pierwsi w Urzędzie Bezpieczeństwa w Szprotawie znaleźli się Bronisław Kozak i Czesław Suszko. Po około dziesięciu dniach nastąpiły dalsze zatrzymania. W świetlicy UB zgromadzono blisko trzydziestu podejrzanych. „Badania rozpoczęły się od przemocy fizycznej – wspomina Maciejowicz – bito nas, a następnie dopiero zadawano pytania”. Dotyczyły one przynależności do nielegalnej organizacji, lecz bez precyzyjnego określenia, o jaką organizację chodzi. Bronka przesłuchiowano trzykrotnie, 14, 15 i 17 sierpnia. Protokół z pierwszego przesłuchania nie zachował się w aktach sprawy. Kolejne dwa zawierają szczegółowe opisy zarzucanych mu „przestępstw”. Po tej pierwszej weryfikacji do WUBP we Wrocławiu przewieziono czternastu chłopców i dziewczynę, Laure Kotlińską. Według słów Zawadzkiego, jedyną jej winą było to, że oboje byli zakochani.

Śledztwo powierzono ppor. Zdzisławowi Niewiarowskiemu. Skrupulatny funkcjonariusz bardzo się starał, aby protokoły zawierały „właściwe” informacje i w tej postaci były podpisywane przez podejrzanego. W przypadku braku „współpracy” stosował cały zakres tortur, rodem z aresztów NKWD. „Łagodniejsze” polegały na biciu gumą po piętach aż do utraty przytomności. Następnie, aby zwiększyć cierpienie, kazał stać wiele godzin na spuchniętych stopach, które okropnie parzyły. Inną „metodą perswazji” były razy zadawane szablą po pośladkach. Skóra pękała przy każdym uderzeniu. Jedyłą chwilą odpoczynku był moment omdlenia. Nie trwał on jednak zbyt długo, gdyż oblewano przesłuchiwanego zimną wodą. Po ocuceniu kontynuowano bicie gumą i szablą. Często także stosowano wobec podejrzanego tzw. taboret. Tortura polegała na siedzeniu na nodze od taboretu z wyciągniętymi nogami. Uderzeniami po twarzy utrzymywano człowieka w równowadze. Nie sposób zliczyć kopnięć i ciosów zadawanych pięściami. Przesłuchanie, w żargonie więziennym zwane „trwałym” lub „konwejerem”, mogło ciągnąć się bez przerwy przez kilka dób. W tym czasie nie zmieniał się jedynie „badany”. Funkcjonariusze natomiast „pracowali” nad nim po osiem godzin, a „każdy ile chciał, tyle bił”<sup>9</sup>. Józef Zawadzki wspomina, że jedno z jego przesłuchań trwało sześć dób. Po czterech dobach miał uczucie, że ściany się burzą i spadają mu na głowę. Znajdował się wtedy w takim stanie, że mógł podpisać wszystko i nawet tego nie pamiętać.

O wiele trudniejsze do wytrzymania było znęcanie się psychiczne. Przybierało różne formy, od zastraszeń i gróźb dotyczących najbliższej rodziny, do wielogodzinnego pobytu w karczerze. Niewielkie, ciemne pomieszczenie w piwnicy, wypełnione do kostek wodnistą mazią, staowało się sprawdzianem odporności organizmu. Więźnia wrzucano doń rozebranego do naga, pozostawiając go sam na sam z zimnem, samotnością i własnymi myślami. Przez pierwsze godziny walczył z chłodem przez stosowanie ćwiczeń ruchowych. Następnie próbował przenieść się myślami w miejsca poza murami aresztu. Szczególnie bliskie stawały się chwile spędzone z rodziną czy ukochaną dziewczyną. Najtrudniejszym momentem do przetrwania był świt. Zmęczony organizm zapadał w letarg i budził się gwałtownie, kilka centymetrów przed zętknięciem twarzy z lodowatą mazią. Całkowicie już świadomy pogrążał się w substancji, która w dużej mierze składała się z jego własnych ekskrementów. Wtedy następował kryzys. Gdyby człowiek miał sposobność odebrania sobie życia, zrobiłby to bez wahania<sup>10</sup>.

<sup>8</sup> Archiwum Zakładowe Liceum Ogólnokształcącego w Szprotawie, Sprawozdania z posiedzeń Rady Pedagogicznej z 15 i 25 IV 1950 r.

<sup>9</sup> Relacja M. Maciejowicza.

<sup>10</sup> Relacja J. Zawadzkiego.

Z akt Bronisława Kozaka wynika, że przesłuchiwany był czternastokrotnie, od sierpnia 1950 r. do stycznia 1951 r. Przesłuchania miały wyjątkowo brutalny przebieg. Dowiadujemy się o tym z prośby Czesława Suszki o rewizję wyroku: „Kozak przesłuchiwany był w tym czasie codziennie i prawie co noc. Po kilku dniach [...] po powrocie ze śledztwa powiedział mi [...], że okropnie go biją i już nie może dalej wytrzymać. Pytają, mówi, co zrobił nad rzeką”. „Pewnego dnia podczas przesłuchania mnie wprowadzono Kozaka, strasznie zmasakrowanego”. W sferze spekulacji pozostanie przyczyna tak brutalnego traktowania chłopca. Przypuszczalnie nie chciał przyznać się do zarzucanych mu czynów. Być może buntował się przed podpisywaniem protokołów. Niewiarowski po zakończeniu śledztwa sporządził następującą charakterystykę: „Kozak jest typem bezczelnym, prowokacyjnym, zdecydowanie wrogo nastawionym do obecnego ustroju w Polsce, a w szczególności jest zaciętym wrogiem Związku Radzieckiego”.

Tortury i nacisk psychiczny przyczyniły się w znaczący sposób do umieszczenia Bronka w kwietniu 1951 r. na oddziale psychiatrycznym więzienia nr 2. Został poddany obserwacji lekarskiej od 10 do 18 kwietnia. W tym czasie rozpoznano u niego *reactio psychogenes* (stupor) oraz naciekową gruźlicę lewego płuca. Zaburzenia psychiczne objawiały się brakiem kontaktu wzrokowego i głosowego, utrzymywaniem rąk w stereotypowym, niewygodnym położeniu oraz niewypełnianiem żadnych poleceń i stawianiem silnego oporu przy próbach dotykania ciała. Przeprowadzona (obecnie) konsultacja z lekarzem psychiatrą potwierdza, że objawy te mogą wskazywać na pozostawanie chorego w stanie stuporu. Diagnoza ta jest jednak mocno ograniczona z powodu szczątkowych danych medycznych i specyficznych warunków występowania choroby, niespotykanych w obecnych czasach. Podczas pobytu na oddziale Bronka nie przyjmował posiłków, musiał być karmiony przez współwięźniów. Z trudem się poruszał, ślaniając z osłabienia. W takim stanie został wypisany. Przyjęty ponownie na oddział szpitalny, przebywał na leczeniu od 4 maja do 11 czerwca 1951 r. Wykazywał wszystkie wcześniejsze symptomy choroby. Jego stan fizyczny pogorszył się, a czynna gruźlica uniemożliwiła podjęcie terapii wstrząsowej. Lekarze podjęli decyzję o umieszczeniu go na oddziale gruźliczym więzienia nr 1. Został tam przewieziony 21 czerwca i przebywał do momentu wykonania kary śmierci. Podczas tego pobytu, jak wynika z akt, napisał gryps do domu. Przechwycony przez strażników, stał się powodem do podważenia wiarygodności jego choroby. W tej sprawie natychmiast przesłuchani zostali współwięźniowie, którzy potwierdzili symulację Bronka. Zeznali oni, że podczas pobytu w jednej celi Kozak rozmawiał z nimi i sam spożywał posiłki. 6 września 1951 r. wystawione zostało drugie orzeczenie lekarskie, podpisane przez komendanta Katzenellenboge i asystenta Wassermana. Stwierdza ono zespół symulacyjny: „Powyższe rozpoznanie udało się ustalić wyłącznie na podstawie zeznań współwięźniów. Poza tym bowiem dotychczasowa obserwacja kliniczna nie dostarczyła dowodów w kierunku symulacji”<sup>11</sup>. Wydaje się dzisiaj, że jednym potwierdzeniem lub zaprzeczeniem symulacji mogłaby być ekspertyza grypsu przeprowadzona przez biegłego grafologa.

Machina śmierci ruszyła. Jeszcze w tym samym dniu, 6 września, zmieniono daty dokumentów, pierwotnie przygotowanych na 18 sierpnia 1951 r. Były to: postanowienie o odpowiedzialności karnej i zamknięciu śledztwa, protokół zaznajomienia podejrzanego z materiałami śledztwa oraz akt oskarżenia. Ten ostatni został odczytany Kozakowi 19 września i pozostał bez podpisu. Rozpoczęcie przewodu sądowego wyznaczono na dzień 26 września. Oskarżeni doprowadzani byli na salę rozpraw pojedynczo, tak aby nie mogli kontaktować się ze sobą. Jednego więźnia konwojowało czterech strażników. Następnie w holu budynku sądu „byliśmy

<sup>11</sup> AIPN Wr, 23/318, t. 3, k. 3; t. 9, k. 31v; t. 15, k. 165, 165v, 191, 191v.

przejmowani przez milicjantów” – relacjonuje Maciejowicz. Broniek na rozprawę nie dotarł o własnych siłach. Trzymany pod ramiona przez dwóch strażników, był wleczonej po stopniach i korytarzach gmachu. Jego buty obijały się o posadzkę, wydając złowrogi stukot.

Rozprawie przewodniczył kapitan Stanisław Romanek, a towarzyszyło mu dwóch ławników, szeregowych żołnierzy. 26, 27 i 28 września wyjaśnienia składało sześciu oskarżonych, odwołując złożone w śledztwie zeznania. Mówili, że były one wymuszone przez oficera śledczego. Opisywali tortury, jakie stosowano w celu uzyskania podpisów na protokołach. Kiedy przyszła kolej na Kozaka, ten milczał. Franciszek Sitko wspomina, że dobrze pamięta Bronka, siedzącego na ławie oskarżonych: „Przez cały czas trwania sprawy nie odzywał się w ogóle, tylko kołysał się jak dziecko opuszczone, objawiające chorobę sierocą [...] Był nieobecny, pogodzony, bezsilny wobec tego, co się z nim dzieje”<sup>12</sup>. W związku z brakiem wyjaśnień przewodniczący polecił odczytanie zeznań złożonych przez Kozaka w śledztwie. W tym miejscu obrońca Bronka dwukrotnie prosił o wyrażenie przez sąd zgody na wezwanie biegłego psychiatry. Sąd po naradzie przychylił się do prośby obrońcy. Zarządził przybycie biegłego na 11 października, tj. w dniu wznowienia rozprawy po przerwie.

W wyznaczonym czasie na proces stawił się lekarz psychiatra, Izidor Wasserman. Ten sam, który jako asystent podpisał orzeczenie lekarskie, stwierdzające symulację Bronisława Kozaka. Orzekł „że w czasie obecnym ma on zdolności rozpoznawania znaczenia czynu i pokierowania [swoim] postępowaniem”<sup>13</sup>. Dla Bronka oznaczało to tylko jedno – karę śmierci. Czy zdawał sobie z tego sprawę i dlatego trwał w stanie symulacji? Czy być może naprawdę był chory psychicznie? Dziś nie można jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania.

Wyrok, który zapewne zapadł już w areszcie śledczym, został ogłoszony 15 października 1951 r. Na jego mocy Bronisław Kozak został skazany na podstawie pięciu artykułów kkWP i dekretu z 13 czerwca 1946 r. na karę śmierci z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa. Najwyższy Sąd Wojskowy decyzją z 15 listopada tr. utrzymał wyrok w mocy. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bolesław Bierut 3 stycznia 1952 r. nie skorzystał z prawa łaski. Trzy centymetry poziomej kreski zamazujące słowo „korzystam” zadecydowały o śmierci Bronka. Tylko trzy centymetry... które przekreśliły ostatnią szansę na uratowanie życia<sup>14</sup>.

Zapewne nigdy nie dowiemy się, w jakich okolicznościach wykonano karę. Protokół stwierdza wprawdzie, że o godzinie 19.00 „po odczytaniu wyroku została oddana salwa karabinowa, w wyniku której Kozak Bronisław, s. Władysława, poniósł śmierć”<sup>15</sup>. Być może rozstrzelano go w cichej piwnicy, bez świadków i bez przestrzegania procedur. Może nawet, jak w wielu innych wypadkach, oddano strzał w tył głowy, sprowadzając go po więziennych schodach. Jedno jest pewne. 10 stycznia 1952 r. zamordowano kolejnego więźnia politycznego. Jednego z wielu, który miał odwagę głośno wyrazić swój sprzeciw wobec ówczesnej rzeczywistości. Rzeczywistości, o której nam, Polakom, nigdy nie wolno zapomnieć.

***Mortui viventes obligant – zmarli zobowiązują żyjących.***

Artykuł powstał jako odpowiedź na konkurs IPN „Polska 1939–1989: drogi do niepodległości” (2004). Autorka otrzymała III nagrodę.

<sup>12</sup> Relacja Franciszka Sitko z 15 XII 2003 r.

<sup>13</sup> AIPN Wr, 23/318, t. 16, k. 264, 285v, 286, 316, 320.

<sup>14</sup> Archiwum Akt Nowych, Kancelaria Cywilna Prezydenta RP i Rady Państwa, 809, k. 183.

<sup>15</sup> Cyt. za: K. Szwagrzyk, *Golgota Wroclawska*, Wrocław 1995, s. 690.

# PODNIĘĆ ŻYCIE Z RUIN

**Wojska sowieckie wkroczyły 17 stycznia do całkowicie wyludnionej Warszawy. W ciągu kilku dni linia frontu przesunęła się na zachód, omijając Szeligi. Byliśmy, z moim mężem [Stanisławem Żarynem] i teściem, świadkami wkraczania armii sowieckiej na nasze tereny, obserwując reakcję mieszkańców. Staliśmy przy szosie na Ożarów w zupełnym milczeniu. [...] Pod zimowym niebem przed naszymi oczami przesunął się film czarno-biały, nie budząc żadnych uczuć – ani wrogości, ani szczęścia. Jakże inaczej by to było, gdyby wkraçały do Warszawy wojska alianckie z Zachodu...**

W Szeligach i w okolicy nie było już śladu wojsk niemieckich. To nowe wojsko „sojusznicze” różniło się w sposób zasadniczy od poprzedniego. Żołnierze brudni, nierzadko zawszeni, wciągali słomę do salonu i walili się na nią, aby spać. Byli głodni, wyciągali, co się dało, z kuchni, spiżarni i piwnicy. Po kilku godzinach w tej części dworu, którą zajmowali, zrobiło się bardzo zimno od otwartych drzwi wejściowych. Wówczas, w poszukiwaniu ciepłego kąta, żołnierze zaczęli wchodzić do pomieszczeń, w których byliśmy wszyscy słoczeni. Z lękiem patrzyłam, jak sowiecki żołnierz ciągnie swój brudny siennik i rozkłada go koło naszego tapczanu. Nie miał on żadnych złych zamiarów, po prostu chciał się przespać w cieple, ale my nie byliśmy pewni, co nas spotka za chwilę.

To uczucie ciągłej niepewności co do losu najbliższych i zmieniające się z godziny na godzinę zachowanie naszych „sojuszników” wydaje mi się najbardziej charakterystycznym zjawiskiem w pierwszych dniach po wyzwoleniu.

Oficerowie niewiele się różnili od prostych żołnierzy. Brudni i nieogoleni snuli się po domu, nieufnie patrząc na jego mieszkańców. Zachowywali się bezceremonialnie, traktując nas chwilami jak przyjaciół i sojuszników, a za chwilę jak wrogów klasowych i podejrzanых spiskowców. Groza naszego położenia zwiększała się z upływem dnia, bo wieczorem zaczynała krążyć wódka. Oficerowie schodzili się po służbie w naszej jadalni i zapraszali na wspólny posiłek. Wódka krążyła gęsto. Nie było sposobu wymówić się od tych libacji, ponieważ każda tego rodzaju wymówka była traktowana jako wyraz pogardy „właściciela majątku” dla prostego żołnierza. Zachowania ich stawały się groźne i natarczywe. Dłoń często sięgała do broni. Do wspólnego picia zmuszali mojego chorego ojca, a nawet osiemdziesięcioletnią babcie Kazię. Tylko mama nie dała się ruszyć z łóżka, udając bardzo ciężko chorą. Oficerowie z oznakami lęku wycofywali się z jej pokoju.

Około dziesięciu kolejnych wieczorów było dla nas prawdziwym koszmarem. Przeżywałam chwile grozy, bo nigdy nie było wiadomo, czy któryś z pijanych oficerów nie zastrzeli ojca albo męża. Baliśmy się także o nasze kuchenne dziewczyny – żołnierze gonili je po ogrodzie i napastowali. Chwilami miałam wrażenie, że zamknięto mnie w klatce z dzikimi zwierzętami. Któregoś dnia pijany oficer zauważył medalik na szyi Stasia. Bezceremonialnie pociągnął za łańcuszek. Zamarłam ze strachu, ale on nagle rozplakał się pijackimi łzami, mówiąc, że jemu też matuszka taki medalik zawiesiła na szyi, gdy szedł na wojnę. „Ale ja w to nie wierzę” – dodał szybko, rozglądając się trwożnie dookoła.

Nawet wymawianie się od picia było źle widziane. „No, my wiemy – mówili oficerowie – że wy, panowie, nami gardzicie... ale my was wyzwolili, więc musicie pić z nami”. Marszczyli brwi i grozili rewolwerami, a znów za chwilę klepali nas poufale po ramieniu i pili nasze zdrowie. Staraliśmy się opuścić towarzystwo, zanim oficerowie będą zupełnie pijani, ale drzwi do naszych pokoi nie wolno było zamykać na klucz, bo to wydawało się im podejrzane. Po niespokojnych dniach przychodziły noce pełne bliżej niesprecyzowanej grozy.

Pewnego dnia po południu Staś zniknął. Nie przyszedł na obiad ani na kolację. Od żołnierzy nie można było niczego się dowiedzieć. Fornale widzieli go ostatni raz na podwórzu, kiedy jeden z oficerów kazał mu wsiąść na wóz i jechać z nim nie wiadomo dokąd. Byłam zrozpaczona, a mój mąż wrócił dopiero trzeciego dnia. Wzięli go na podwozy i kazali wieść na linię frontu. Wrócił piechotą, bo wóz mu zabrali. Żony ani nikogo nie pozwolili mu zawiadomić, bo to tajemnica wojskowa.

Tymczasem we dworze zmieniały się oddziały wojska, jedni wychodzili, a drudzy zajmowali opuszczone pokoje pełne zabrudzonej słomy. Zjawiły się też wkrótce władze ludowe. Komisarz z opaską czerwono-białą na ramieniu zwołał chłopskie zebranie w jadalni i wypytywał, czy właściciel bardzo znęcał się nad chłopami. Właściciel – babcia Kazia, prawie niewidoma – wysłuchiwał tych bredni z bladym uśmiechem na twarzy. Komisarz był niezadowolony, bo nie było skarg, a nawet czasem nieśmiałe pochwały. „Właścicielka nie biła – podsumował – ale teraz jest już inna władza, ludowa”.

Od „komisarza” zalaływało wódką. Widziałam, jak niektórzy z naszych ludzi płaszczą się przed nim i zabiegają o łaski. No cóż, mają nadzieję na ziemię, a to dla nich najważniejsze. Srodze się na tym zawiodą.

Nas traktowano nie najgorzej – byliśmy tylko krewnymi właścicielki. Sprawa uległa pogorszeniu, gdy zjawiła się komisja specjalna, która na mocy dekretu o reformie rolnej, wydanego przez bezprawną władzę PKWN, miała nam odebrać Szeligi. Z aktów, wprowadzcie nieformalnych (bo niepotwierdzonych przez notariusza), wynikało, że babcia Kazia za życia już obdarowała swoje wnuczki, każdej dając około 20 ha, i że reszta majątku była już znacznie poniżej ustanowionego limitu 50 ha, ale to nie pomogło. Komisja odrzuciła wszystkie dokumenty, a ponadto zaczęła nas wszystkich traktować jak „wrogów ludu”. W komisji brała udział jedna kobieta – brzydka i źle ubrana, choć jeszcze młoda. Miała włosy rudawe i małe biegające oczka. Wszystko, co mówiła, traktowała bardzo serio, bez najmniejszego poczucia humoru. Do mojego teścia, starszego pana o pięknych szlachetnych rysach twarzy, powiedziała: „Właściwie należałoby was wszystkich zlikwidować, ale na to nie mamy na razie dość siły”. Mój teść skłonił się jej z powagą i podziękował za szczerość. Nie rozumiała!...

Po tym przyjemnym wstępie w godzinach przedpołudniowych nastąpiła noc, którą na zawsze zapamiętam. Obudziło nas walenie do drzwi i do pokoju wszedł oddział rosyjskiej milicji NKWD w towarzystwie kompletnie pijanego „komisarza”. Komisarz rzucał się i groził, że nas zabije, jeśli nie znajdzie się ta broń, którą ukrywamy. Rozpoczęła się rewizja przy świetle chybotliwych świec i krzykach komisarza. Oficerowie NKWD, których było trzech, założyli natychmiast sąd przy stole, w pokoju, gdzie w łóżkach leżeli rodzice. Była pierwsza lub druga w nocy. Oskarżonym był mój szwagier, Władek Olizar. Mój mąż i ja zostaliśmy odizolowani od reszty rodziny i zamknięci obok w gabinecie, w którym od czasu rekwizycji innych pomieszczeń sypialiśmy z dwuletnią [córeczką] Marysią. Przez uchylone drzwi słyszeliśmy wszystko, co się działo w „sądzie”. Przewodniczył mu major i zadawał pytania cichym, jednostajnym głosem. Sprawa wydawała się beznadziejna. Pytania, a raczej półtwierdzenia, były wciąż te same: „Należałeś do AK?”, „Masz ukrytą broń?”, „Jeśli nie oddasz, to wiesz, co cię czeka”,

„I tak ją znajdziemy, więc po co zaprzeczasz”. Mój szwagier nieodmiennie odpowiadał „nie”, „jestem inwalidą”. W pokoju babci Kazimierzy odbywały się rewizje, czyli wyrzucanie wszystkich rzeczy z szaf i komody na podłogę. Co jakiś czas do pokoju, w którym siedziałam ze Stasiem, wchodził oficer NKWD, czerniawy, z orlim nosem i mówił do nas ściszym głosem: „No cóż, będę musiał was zlikwidować... tu w tej piwnicy, która jest pod wami... i was, i waszą żonę”, po czym wychodził, a nas ogarniało dziwne ośpienie. Patrzyłam na Marysię, smacznie śpiącą w łóżeczku, i miałam uczucie, że świat i życie odpływają ode mnie. Nie był to strach ani bunt, tylko potworny paraliż wszystkich uczuć.

Około godziny trzeciej nad ranem usłyszeliśmy szelest odsuwanych krzeseł w pokoju rodziców i nagle zupełnie inny, dobronuduszy głos majora: „Nu, u nas ruskie przysłowie, kogo nie złapano, jak kradnie, to nie złodziej... jesteście wolni!”. Po czym „sędziowie” uściśniły dłoń „podsądnemu” i wyszli, zabierając ze sobą pijanego komisarza i ludzi, którzy mu pomagali przy rewizji. Broni nie znaleziono, bo jej nie było, ale przecież mogli ją podrzucić! Nie podrzucili...

Znaleźliśmy się sami – we czwórkę, ciasno stłoczeni w środku pokoju, niezdolni zrozumieć, co się stało i co mamy dalej robić. Kłąć się spać czy czekać na ciąg dalszy? Nagle usłyszałam za plecami trzask otwieranej papierośnicy. Ten „z orlim nosem” podszedł tak bezszelestnie, że nikt tego nie zauważył. Teraz uprzejmie częstował nas papierosem i zachęcał do pójścia spać. Rozeszliśmy się jak najszybciej. Rano moi teściowie i Stefania [szwagierka autorki] zeszli z poddasza na śniadanie. Nie wiedzieli nic o tym, co się działo na dole, ani o groźbie śmierci, która wisiała przez kilka godzin nad naszymi głowami.

Wkrótce po tym przybyła komisja ds. reformy rolnej, zawiadamiając nas, że mamy opuścić dom w ciągu najbliższych godzin. Komisarz, tym razem trzeźwy, wręczył mi szczotkę do zamiatania i kazał sprzątać pokój jadalny. Przyglądał mi się ironicznie i w końcu zawyrokował: „Nieźle wam to idzie, obywatelko!”, na co odpowiedziałam, że sprzątanie nie jest dla mnie nowością. Bardzo się zdziwił, jego pojęcia o „paniach z dworów” musiały być na poziomie Mniszkówny.

Komisja przydzieliła nam wóz na rzeczy i pozwoliła zabrać kilka łóżek i materaców dla osób ciężko chorych oraz po jednej walizce rzeczy osobistych na osobę (to samo co Niemcy w Kruchowie) [majątek w Wielkopolsce, z którego rodzina została wysiedlona przez Niemców w 1939 r.]. Nikt nas nie zapytał, czy mamy dokąd jechać, nikt nie zadbał o tzw. dach nad głową dla nas. Często myślę o tym teraz, gdy w świetle dyskusji o reprivatyzacji tyle się mówi o tym, że nie można ludzi wyrzucać z mieszkań. To prawda. Zresztą ustawa o ochronie lokatorów skutecznie ich ochroni. Niemniej jednak jedna warstwa ludzi w PRL została wyrzucona na bruk i to pomija się milczeniem, nie myśląc w ogóle o naprawieniu krzywd w wolnej Polsce, nie tylko jeśli chodzi o ziemię, ale także o domy rodzinne. Dla mnie utrata Szelig to przede wszystkim była utrata domu rodzinnego, to było ostateczne zamknięcie całego rozdziału mojego życia.

Było nas szesnaście osób: babcia, rodzice moi i rodzice Stasia, Jadwisia z mężem i trójką dzieci (najstarsze miało 5 lat), Stefania Duglasowa z małym Oskarkiem oraz my dwoje z dwoma córeczkami. Mróz był poniżej 20 stopni, a jedynym „dachem nad głową” było nasze dwupokojowe mieszkanie we Włochach, o którym nikt poza nami nie wiedział, a któ-



Szeligi, lata 40. Obecnie przebudowany na trzykondygnacyjny blok mieszkalny

re nadal wynajmowaliśmy od właściciela po wyprowadzeniu się do Szelig w 1943 r. Było to prawdziwie opatrnościowe dla nas schronienie. Mieszkała tam nasza służąca Marynia, stara, zgryźliwa, niezbyt zachwycona przybyciem szesnastu osób. Moi teściowie i Stefania z synkiem znaleźli pokój do wynajęcia u gospodarzy, a my roztasowaliśmy się w dwóch pokojach: młodzi i dzieci na podłodze, starzy i chorzy na łózkach.

Zaczął się dla nas nowy rozdział życia. Wszystko, co było przedtem, „przeminęło z wiatrem”. Warszawa leżała w gruzach. Sojusznik niszczył warstwę ludzi, do których należałam przed wojną, ich dorobek, ich kulturę. Naszym błędem było mniemanie, że celem rządu lubelskiego będzie zniszczenie tej warstwy – walka z arystokracją i ziemiaństwem. Wkrótce miało się okazać, że to jest walka z całym narodem.

Był koniec stycznia 1945 r. Wysiedleni z Szelig i pozbawieni środków do życia, musieliśmy natychmiast szukać pracy. Już na drugi dzień po wysiedleniu mój teść, mój mąż i mój szwagier wyruszyli piechotą wzdłuż torów kolejowych do Warszawy. Od ich zaradności zależały teraz losy pozostałych trzynastu osób. My dwie z Jadwisią zabrałyśmy się do sprzedawania na stacji pierogów zrobionych w domu. Z naszego sklepu w tym czasie wpływały zaledwie grosze, a dostawy z Szelig urwały się automatycznie.

Najłatwiej było znaleźć pracę Stasiowi, w tym czasie bowiem przystąpiono już do odbudowy stolicy. Na Pradze powstało Biuro Planowania i Odbudowy, przekształcone wkrótce w słynne – przez lata następne – BOS (Biuro Odbudowy Stolicy).

Kilka dni po wejściu do Warszawy wojsk sowieckich przybyła z Lublina grupa operacyjna pod przewodnictwem inż. arch. Józefa Sigalina, która po zobaczeniu stanu, w jakim znajdowała się Warszawa, złożyła przed Krajową Radą Narodową wstrząsający raport o wielkości zniszczeń, jakich doznało miasto. Trudno mi dziś ocenić, jaka była reakcja PKWN na raport inż. Sigalina. Przypominam sobie tylko opinie i plotki, jakie kursowały w tym czasie w środowisku architektów, w którym dominowała niepewność co do dalszego losu Warszawy. Mówiło się, że rząd lubelski chce przenieść stolicę do Łodzi, miasta o najsilniejszym środowisku robotniczym. Inna wersja głosiła, że Warszawa, a przynajmniej jej część najbardziej zniszczona (Stare Miasto), zostanie zachowana w formie ruiny, na wieczną pamiątkę hitlerowskiej zbrodni.

Faktem jest, że od samego początku, w chwili, gdy mostem pontonowym ciągnął do Warszawy tłum jej dawnych mieszkańców, rozpoczął się swoisty wyścig pomiędzy stanem faktycznym a rozporządzeniami władzy. Dekret o „stołecznym charakterze Warszawy” (niepotrzebny, bo rząd nie był władny odebrać jej roli stolicy) wydano wprawdzie w styczniu, ale „dekret o odbudowie” dopiero w maju tego roku. Ten ostatni nie przesądzał jeszcze o jej kształcie i nie poświęcał uwagi zabytkom przeszłości. W styczniu niektóre urzędy centralne zaczęły działać na Pradze, inne instalowano w Łodzi, ale wkrótce już „vox populi” miał zdecydować inaczej.

Od pierwszych dni wejścia wojsk sowieckich na teren zburzonej Warszawy płynął do niej nieustający strumień warszawiaków z tobołkami na plecach, okutych w chustki, ponieważ mróz był tęgi. Ludzie wracali. Zapalali świece na grobach prowizorycznie pochowanych warszawiaków. Powracający lokowali się, jak kto mógł – w nielicznych, częściowo ocalałych domach, ryjąc jak krety wśród gruzów wąskie ścieżki do jakichś drzwi oderwanych od murów, do bram tajemniczo otwartych w ciemność, do schodów wiszących nad ruinami. To ci ludzie zdecydowali o odbudowie Stolicy. Będę zawsze dumna z tego, że należeliśmy do tych, którzy pierwsi przyszli do Warszawy. Już w pierwszych miesiącach liczba jej mieszkańców wzrosła do 400 tys., co zmusiło władze do działania.



Po odgruzowaniu przez samych architektów ulicy Chocimskiej BOS wprowadziło się do na wół spalonego domu na ulicy Skolimowskiej i rozpoczęło urzędowanie. Tam znalazł pracę mój mąż, który w gronie równie zapalonych jak on kolegów usuwał gruzy, ścigał deski na rajzbrety i rozpoczął pracę, z chwalebą datą 1 lutego 1945 (data na umowie). Wszystko tam było improwizacją, bohaterskim wyczynem w jeszcze nierozminowanym mieście, w otoczeniu domów-widm, mogących lada moment upaść im na głowę.

Zobaczyłam Warszawę po raz pierwszy po wojnie w mroźny dzień stycznia, kiedy przyszedłam z Włoch szlakiem dawnej, nieistniejącej już kolei. Ujrzałam wtedy obraz zburzonego miasta, wręcz nierealny, niespotykany, a z którym przecież tak szybko mieliśmy się oswoić. Wokół mnie, w okolicy dawnego skrzyżowania ulicy Towarowej i Alej Jerozolimskich, sterczały ze zwałów gruzu kikuty domów, ściany bez okien, bramy wiodące donikąd, wszystko to lekko przyprószone miłosierną warstwą cienkiego śniegu, leżącego gdziegdzie jak podarty nierówno całun. Spalone, nagie drzewa, cisza i pustka przerywana zaledwie od czasu do czasu odgłosem ludzkiego życia, jak chrobotem niewidzialnych zwierząt.

Trupy ludzkie nie leżały już na wierzchu, spoczywały pod cienką warstwą ziemi i śniegu, ale na środku Alej Jerozolimskich leżał trup konia, zamarzły z wyszczerzonymi zębami. Śnieg znaczyły gdziegdzie małe, czarne krzyżyki, przy nich zapalone świece – znak, że ktoś z bliskich wrócił, czuwa i pamięta.

Wróciliśmy i my ze Stasiem z gotowością do pracy, z nadzieją zbudowania własnego domu. Dzieci na razie pozostały we Włochach pod opieką Władków i rodziców.

Pierwszym mieszkaniem, jakie Staś znalazł w Warszawie, był lokal dwupokojowy, który zajmowaliśmy z kolegą Stasia, Mikołajem Kokozowem i jego żoną, w Alejach Jerozolimskich 89, na czwartym piętrze, w jednym z tych upiornych domów, w 80 proc. zniszczonych. Do kogo ono należało? Nikt o to nie pytał, nikt się o to nie troszczył. Ocalałe – nie wiadomo dlaczego – mieszkanie i przylegająca do niego klatka schodowa wisiały w próżni nad czarną wypaloną czeluścią. Gruz wyprzątnięty z pokoi rzucaliśmy beztrasko w przepaść pod nogami. Nad schodami rozciągało się styczniowe niebo, w mroźne noce usiane gwiazdami.

Mikołaj Kokozow, przystojny, milczący brunet, razem ze Stasiem pracował w BOS. W mieszkaniu nie było szyb, więc nasi panowie zabili okna dyktami. Nie było też oczywiście żadnego ogrzewania. Ustawiliśmy na środku pokoju wyszabrowaną wśród gruzów „kozę”, ale trudno było w niej rozpaścić, bo bardzo dymiała. Pamiętam piękną żonę Kokozowa, jak owinięta w grubą chustę i uwalana węglem po końce palców i klasycznego nosa, próbuje rozpaścić ogień. Jedynym oświetleniem były świece, ale i te pierwsze, prowizoryczne urządzenia wymagały wielkiej przedsiębiorczości. Tylko opału było pod dostatkiem – drzewa ze spalonych mebli, resztek węgla w otwartych piwnicach.

W tych pierwszych dniach nie było też w Warszawie nic do jedzenia. Obiad przynosiłam z Włoch w plecaku – jedyny gorący posiłek odgrzewany na dymiącej „kozie”. Wodę można było czerpać z pompy o kilka ulic dalej. W nocy dojmujące zimno przenikało przez kożuchy, którymi byliśmy okryci, śpiąc w ubraniu i czapkach na głowach. W tej sytuacji nie mogło być mowy o przywiezieniu dzieci do Warszawy. Ale wkrótce warunki naszego życia uległy radykalnej zmianie.

Biorąc Aleje Jerozolimskie za punkt wyjścia, zaczęłam robić coraz dalsze wyprawy, do domów znajomych mi przed wojną, których ogromna większość leżała w gruzach. W ten sposób trafiłam pewnego dnia na Kolonię Staszica, do willi moich przyjaciół, pp. Zielińskich. Z biciem serca weszłam do willi, która miała drzwi i oszklone okna. Z jaką radością witałam jej właścicieli. Ten pierwszy kontakt z przedwojennymi przyjaciółmi, w ich własnym

domu, prawie niezniszczonym, był dla mnie radosnym szokiem. Oni też zaraz nam zaproponowali mieszkanie w pokoju „chłopców”. Na dole pp. Zielińscy prowadzili dom noclegowy dla wracających z tułaczki mieszkańców Warszawy. W tym okresie zamieszkanie w pokoju u znajomych było dla nas sygnałem powrotu do normalniejszego trybu życia. Nadal jednak przeżywaliśmy ze Stasiem prawdziwą robinsonadę, straszną i romantyczną, podniecającą i pełną nadziei na lepsze jutro. Kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie, jak ekscytujące jest obserwowanie budzącego się życia w mieście umarłym!

Ludzi napływało coraz więcej. Wkrótce pojawiły się przekupki. Siadały na ruinach i handlowały tym, co przyniosły z okolicznych wsi i miasteczek. Było to pieczywo, jajka i mleko, a niedługo po tym gorące potrawy, pyzy, kluski i bigosy. Na Koszykowej, róg Chałubińskiego, powstał punkt rozdawnictwa zupy. Ponieważ ludzie po zakupy przychodzili z dalekich krańców miasta, powstała samorzutnie miejska komunikacja – tzw. wozacy. Były to przeważnie chłopskie wózki zaprzężone w jednego konia, ale także wojskowe samochody. Do wozów wskakiwało się w biegu, a woźnice krzyczeli: „Za 20 złotych na Pragę”, „Za 10 złotych na Mokotów”.

Chyba już w lutym pojawił się na ul. Marszałkowskiej pierwszy bar w spalonym tramwaju, który w jakimś momencie Powstania zatrzymał się na tym miejscu i już dalej nie ruszył. Czy była to profanacja tych, co zginęli? Cała warszawska ziemia pod naszymi nogami była ziemią prochów, na której postanowiliśmy rozpalic światło życia. Jedliśmy gorące kiełbaski, stojąc przed tramwajem-trumną. Po kilku tygodniach bar na ulicy Marszałkowskiej był lepiej zaaprowizowany niż niejedna warszawska restauracja w późniejszych latach PRL, a sprzedawane w nim dania były tak tanie, że pomimo naszego ubóstwa mogliśmy sobie na nie pozwolić.

Bary, kawiarenki i prywatne sklepiki powstawały w następnych miesiącach jak grzyby po deszczu, a lokowały się w parterach domów przy ul. Marszałkowskiej, których wyższe piętra były spalone. W jednym z nich, na ul. Pięknej blisko rogu Marszałkowskiej, moje koleżanki – Plasterki – sprzedawały bigos i kołduny w stróżówce pałacu Okuńskich.

Staś dostał zaliczkę na poczet lutowej pensji w BOS. Wynagrodzenie miesięczne wynosiło 3000 starych złotych. Utrzymanie czteroosobowej rodziny za tę sumę byłoby niemożliwe, gdyby nie sprowadzenie do minimum naszych potrzeb. Pieniądze wydawało się tylko na jedzenie, a ono było tanie. Nie było jeszcze świadczeń na rzecz miasta, bo nie było światła, gazu i wody. Nikt nie pobierał komornego. Po wodę chodziło się z kubłami do najbliższej pompy. Opał był za darmo. Jeśli chodzi o jedzenie, to wkrótce pojawiła się darmowa pomoc amerykańska w postaci przydziałów z UNRRA. Do dziś pamiętam olbrzymią puszkę świetnej margaryny. Była też mąka, ryż i cukier.

Staś codziennie rano chodził na skos przez Pole Mokotowskie do BOS. W oddanym nam przez pp. Zielińskich pokoju stał tapczan, stara wysłużona kanapa (na której leżąc po raz pierwszy przeczytałam *Noce i dnie* Dąbrowskiej, niezapomniane chwile!). Był też stół i nieodzowna „koza”, w której wesoło buzował ogień. O węgiel trzeba było się postarać. W związku z tym pamiętam zabawną historię. Ze Stasiem i p. Rutkowskim, miłym starszym panem, który też mieszkał u pp. Zielińskich, znaleźliśmy zapas węgla w na pół zawalonej piwnicy na ulicy Filtrowej. Pojęcie cudzej własności nie było bardzo wyczulone w tej dzikiej, powojennej Warszawie. Bez cienia wyrzutów sumienia postanowiliśmy węgiel wyszabrować, ale jedynym dojściem do piwnicy było zakratowane okienko. Byłam wtedy bardzo szczupła i tylko ja mogłam się przedostać przez kraty. Stałam na górze węgla i wrzucałam kawały do wiader trzymanych przez obu panów. Ale gdy przyszło mi wrócić tą samą drogą, okazało się, że w za-

den sposób nie mogę przesunąć głowy. Przykra sytuacja, zostać w piwnicy prawdopodobnie ze szcurami, aż do odwalenia gruzów lub wypłowania kraty. Po wielu rozpaczliwych próbach znalazłam jednak właściwy kąt, pod którym przeszła głowa, a za nią ramiona i reszta ciała. Ale najadłam się strachu! Więcej niż przy bombardowaniu.

Dzieci sprowadziliśmy 4 marca, w dzień imienin babci Kazi obchodzonych przez nas we Włochach, w rodzinnym gronie. Była już z nami babcia Wanda Jawornicka, wyrzucona z „drugich” Szelig, z ukochanym starym wyżłem.

Przejazd do Warszawy z dwojgiem małych dzieci nie był rzeczą łatwą. Wsadzaliśmy je do dzieciennego wózka, przenosząc na ramionach w bardziej niebezpiecznych miejscach, na przykład nad zerwanymi torami. Było bardzo zimno i po długiej drodze dobrnęliśmy na Prokuratorzką półżwi. Pani Walinka dała dzieciom gorącego mleka, a nam herbaty. Co za rozkosz! Poczuliśmy się w domu! Gdy zapadł mrok, zapaliliśmy małe naftowe lampki, takie jak przed wojną w Kruchowie służyły do oświetlania obory.

Dzieci budziły sensację, gdy na drugi dzień wyjechałam z nimi na ulicę. Były jednymi z pierwszych dzieci w Warszawie. Ich widok rodził w sercach otuchę i nadzieję na lepsze jutro. Odtąd rozpoczęło się dla mnie żmudne zdobywanie dla nich jedzenia, a w szczególności mleka, którego wciąż w Warszawie było za mało. Tak przeżyliśmy wiosnę 1945 r., zbyt zajęci naszym pionierskim życiem, zbyt szczęśliwi, że udało nam się przeżyć, aby myśleć o tym, co nas czeka dalej.

17 marca został wydany akt prawny o rozminowaniu miasta. Min i niewypałów było wszędzie jeszcze pełno. Grupy inwentaryzacyjne BOS, którymi Staś kierował, po bohater-sku pełniły swoje zadania – spisywanie strat i tego, co pozostało z historycznej zabudowy w Warszawie. Na Starym Mieście straty sięgały 90 proc. Odgruzowywanie tego rejonu, gdzie gruzy leżały do wysokości pierwszego piętra, a wypalone ściany domów groziły w każdej chwili zawaleniem, stanowiło nieustające niebezpieczeństwo utraty życia dla robotników i architektów, którzy z zapalem i świadomym brakiem wyobraźni podjęli się tej pracy. Pamiętam opowiadanie Waclawa Tokarza (inż. arch.), jak to dziewczyny, świeżo „skończone” architektki, wspinały się na dach Teatru Wielkiego, mając na nogach drewniane chodaki. Trzeba bowiem pamiętać, że ci, co byli teraz zaangażowani w odbudowę Warszawy, byli w większości ludźmi wypędzonymi z niej przed paru miesiącami i nie mieli nic – ani pieniędzy, ani odpowiednich ubrań, chroniących ich przed zimnem i deszczem. Nie mogę dziś pojąć, jak to się stało, że w tym czasie nie bałam się o Stasia. Oczywiście, byłam niespokojna, gdy późno wieczorem wracał z pracy – nie było wówczas telefonu, żeby uprzedzić o spóźnieniu. Tak, czy inaczej, lęk o Stasia nie zatruwał mi wtedy życia – to przyszło później, z powodu stanu jego zdrowia. Myślę, że w latach 1945–1950 miłosierny Bóg sparaliżował na jakiś czas moją wyobraźnię.

Na wezwanie dwóch młodych wówczas architektów – prof. Jana Zachwatowicza i dr. Piotra Biegańskiego – zgłosiło się do Wydziału Architektury Zabytkowej w BOS wielu młodszych od nich o kilka lat architektów, którzy studia ukończyli przed samym wybuchem wojny lub w tajnej Politechnice Warszawskiej, w czasie okupacji. Byli to koledzy Stasia ze studiów, przeważnie trzydziestolatkowie lub o kilka lat od niego młodszy. Wszyscy oni byli pełni energii i zapału, szczęśliwi, że przeżyli koszmar wojny, gotowi budować nowe powojenne życie wśród największych nawet trudności i za cenę wielu wyrzeczeń. Ci, co nie myśleli tak jak oni, nie powrócili do Warszawy w 1945 r., gdy życie było bardzo trudne i niebezpieczne.

Wkrótce zaczęliśmy bywać na różnych zebraniach towarzyskich, na których nikt nie dbał ani o strój, ani o jedzenie, bo nikt niczego nie posiadał. Lubiłam to sympatyczne, BOS-owskie towarzystwo. Była wśród nich panna Marzenka Referowska, ideał mojego męża z lat młodzięcych, koledzy i przyjaciele Stasia: błyskotliwie inteligentny Janek Maass, przystojny blondyn Jerzy Staniszkis, młode uroczne małżeństwo Danusia i Andrzej Strachoccy, owiani legendą Powstania, Zosia i Jacek Hydzikowie, dowcipna, zawsze roześmiana Zosia Czeczott-Krotkiewska, sympatyczna blondynka Krysia Kognowicka, szczupły jak szparag Jaś Laube. Byli też koledzy ze studiów Stasia: Waław Tokarz, uchodzący za łamacza serc niewieścich, dynamiczny Jacek Bogusławski, spokojny i zrównoważony Stefan Krasieński, mały Janek Grudziński i inni. Przeważali nad tym gronem młodych nieco starsi – Jan Bieńkowski o szczupłej, charakterystycznej twarzy i dobrotliwie uśmiechnięty Waław Podlewski. Z tym ostatnim związała Stasia szczególnie silna nić sympatii. Kilka lat współpracowali na Starym Mieście, ale zasługi tego wybitnego znawcy zabytków zostały z biegiem lat zupełnie zapomniane. Umarł w końcu lat sześćdziesiątych, w zakładzie opieki społecznej, przez wszystkich opuszczony.

Dziś, po pięćdziesięciu latach, mogę powiedzieć, że o tych ludziach, którzy ofiarą pracą związali się od początku ze Starym Miastem, najmniej się pisze i mówi. Nie ma w tym nic dziwnego. Nikt z nich nie zrobił kariery w PRL, nikt nie był członkiem partii, nie współpracował z komunistami i nie miał zasług na tym polu. Dziś, kiedy nowe pokolenie tak łatwo potępia cały „okres PRL”, najwyższy czas, moim zdaniem, odrzucić plewy od ziarna i o tych ludziach z Wydziału Architektury Zabytkowej powiedzieć prawdę. Większość z nich umarła, inni są na skromnej emeryturze, a przecież to ci ludzie, z których część wymieniłam, wzniesli to miasto z gruzów, nadali mu taką a nie inną formę, oparli się tendencji do stawiania szeregu „pałaców kultury” na zabytkowych trasach. Ryzykowali co dzień zdrowie i życie; nie poszukiwali drogi do kariery, bo sprawa zabytków, pomimo kilku nieśmiałych wypowiedzi ze strony władz rządzących, nie leżała w interesie tych, którzy nami zarządzili.



Dwór w Kruchowie od strony jeziora, lata 30. XX wieku. Zbudowany w 1545 r., wielokrotnie przebudowywany, wpisany w latach 40. do rejestru zabytków. Widoczna sentencja NON DORMIT QUI CUSTODIAT (nie śpi, kto chroni) Zdjęcia z archiwum Aleksandry Żaryn

## NOTY O AUTORACH

**Sławomir Cenckiewicz** – dr historii, przewodniczący Komisji ds. Likwidacji WSI (2006), naczelnik OBEP IPN w Gdańsku, specjalizuje się w dziejach polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej, aparatu bezpieczeństwa PRL i ruchów antykomunistycznych w PRL, autor m.in. pracy „Tadeusz Katelbach (1897–1977). Biografia polityczna” (2005).

**Andrzej Czuma** – działacz opozycji antykomunistycznej w PRL, prawnik i historyk. Założyciel „Ruchu”, doradca „S” w Regionie Śląsko-Dąbrowskim, więziony, internowany, od 1986 r. na emigracji w Chicago, poseł na Sejm RP.

**Waldemar Handke** – dr historii, ostatnio opublikował m.in. „Semper Fidelis. Dzieje Pułku 6 Pancernego »Dzieci Lwowskich«”, „»Zwyczajny« urząd. PUBP w Kościanie 1945–1954. Redaguje kwartalnik „Grot. Zeszyty historyczne poświęcone historii wojska i walk o niepodległość”. Naczelnik OBEP IPN w Poznaniu.

**Janina Hera** – filolog, autorka monografii poświęconych artystom polskim, m.in. „Z dziejów pantomimy, czyli Pałac zaczarowany”, Warszawa 1975, „Losy niespokojnych”, Warszawa 1993. Publikowała we „Współczesności”, „Dialogu”, „Pamiętniku Teatralnym” i „Arcanach”.

**Łukasz Kamiński** – dr historii, badacz opozycji i oporu społecznego w PRL, autor szeregu publikacji poświęconych najnowszej historii Polski, pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego, wicedyrektor BEP IPN.

**Marek Klecel** – dr nauk humanistycznych, wykładowca literatury polskiej XX wieku na UKSW, publicysta, wydawca.

**Robert Klementowski** – dr nauk humanistycznych, historyk, kierownik referatu naukowego w OBEP IPN we Wrocławiu, autor szeregu publikacji związanych z historią literatury polskiej i najnowszą historią Polski.

**Marzena Kozak** – absolwentka Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego, specjalizuje się w historii najnowszej Polski.

**Kazimierz Krajewski** – prawnik, historyk, zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego w okresie II wojny światowej i powojennym, kierownik referatu naukowego w OBEP IPN w Warszawie, współautor m.in. pracy „»Łupaszka«, »Młot«, »Huzar«. Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)”.

**Tomasz Łabuszewski** – dr historii, zajmuje się dziejami podziemia niepodległościowego w okresie II wojny światowej i powojennym, naczelnik OBEP IPN w Warszawie, współautor m.in. pracy „»Łupaszka«, »Młot«, »Huzar«. Działalność 5. i 6. Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)”.

**Ryszard Mozgol** – absolwent Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pedagog młodzieży licealnej i gimnazjalnej, publicysta. Od 2006 r. pracownik OBEP IPN w Katowicach.

**Wojciech Muszyński** – historyk, badacz dziejów Obozu Narodowego w Polsce, pracownik BEP IPN, autor m.in. prac „W walce o Wielką Polskę. Propaganda zaplecza politycznego NSZ w latach 1939–1945” (2000).

**Piotr Niwiński** – dr historii, pracownik OBEP IPN w Gdańsku, zajmuje się dziejami wileńskiej AK i konspiracji powojennej.

**Paweł Piotrowski** – pracownik OBEP IPN we Wrocławiu. Zajmuje się kadrami, strukturą oraz metodami działania SB oraz historią wojskowości.

**Andrzej Poczobut** – prawnik, dziennikarz „Głosu z nad Niemna” oraz niezależnej białoruskiej gazety „Narodnaja Wola”, zastępca redaktora naczelnego gazety „Dień”, redaktor naczelny „Magazynu Polskiego”, członek Rady Naczelnej Związku Polaków na Białorusi.

**Tadeusz Ruzikowski** – historyk, pracownik BEP IPN. Zajmuje się historią społeczno-polityczną Polski powojennej. Opublikował m.in. „Instrukcje pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa 1945–1989” (2004).

**Piotr Serwaczak** – w szkole średniej uczestnik młodzieżowych struktur niezależnych we Wrocławiu (Międzyszkolny Komitet Oporu, Ruch Młodzieży Niezależnej Dolny Śląsk), związany także z „Solidarnością Walcząca”. Pod koniec lat osiemdziesiątych prowadził nadsłuchy radiowe MO i SB. Kierownik projektu badawczego dotyczącego Kontrwywiadu „S” Walczącej.

**Jarosław Szarek** – historyk, dziennikarz, redaktor. Pracownik OBEP IPN w Krakowie. Opublikował m.in.: „Czy ktoś przebiję ten mur. Sprawa Stanisława Pyjasa”, „Ofiara Sprawiedliwych. Rodzina Ulmów – oddali życie za ratowanie Żydów”, „Czarne juwenalia. Ludzie Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie”.

**Piotr Szubarczyk** – pracownik OBEP IPN w Gdańsku, specjalizuje się w edukacji historycznej, autor ponad 400 artykułów o tematyce związanej z najnowszą historią Polski, współpracuje z radiem i TV. Był m.in. konsultantem spektaklu TVP „Inka 1946”. Główny temat badawczy: Opór młodzieży polskiej przeciwko sowietyzacji kraju w latach 1945–1956.

**Wojciech Trębacz** – historyk, kierownik referatu wystaw w OBEP IPN we Wrocławiu, autor opracowań i artykułów na temat ideologizacji oświaty, okresu stalinowskiego i edukacji młodego pokolenia. Przygotowuje publikację o wrocławskim SKS – „Sprawa operacyjnego rozpracowania »Kaskader«”.

**Grzegorz Waligóra** – dr historii, pracownik OBEP IPN we Wrocławiu, zajmuje się badaniami nad historią opozycji w PRL. Opublikował m.in. „Dokumenty Uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce 1977–1981” (2005), „Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela” (2006).

**Aleksandra Żaryn** – prawnik, ziemianka, wyrzucona z majątków w Kruchowie (przez Niemców) i Szeligach (przez komunistów). Po wojnie współwłaścicielka czytelnicy „Exlibris” przy ul. Pięknej w Warszawie. Od roku 1964 pracownik Muzeum Narodowego, w latach 70. MKiS, członek ICOMOS (Międzynarodowej Organizacji Ochrony Zabytków przy UNESCO); odznaczona medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

**Joanna Żelazko** – historyk, pracownik OBEP IPN w Łodzi. Specjalizuje się w problematyce działalności aparatu bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości w latach 1944–1956. Przygotowuje rozprawę doktorską „Żołnierze konspiracyjnych organizacji niepodległościowych przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi (1946–1955)”.

**Kryptonim „Wasale”.  
Służba Bezpieczeństwa  
wobec Studenckich  
Komitetów Solidarności,  
wstęp i opracowanie  
Łukasz Kamiński i Grzegorz  
Waligóra, Warszawa 2007**

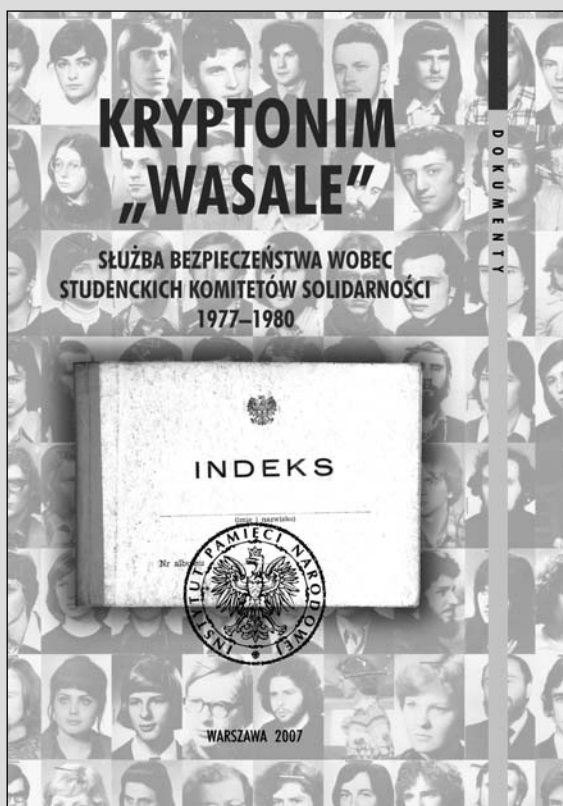
Komunistyczne władze już od wiosny 1976 r. obawiały się możliwości powstania masowego ruchu opozycyjnego wśród studentów. Tuż przed rozpoczęciem nowego roku akademickiego 1976/1977 rektorów i „czynniki partyjne” największych uczelni zapoznano z planem działania na wypadek niepokojów w środowisku akademickim. Spodziewano się w najbliższym czasie nawet wybuchu strajków i starć ulicznych.

Nic więc dziwnego, iż z ogromnym niepokojem zareagowano na wzburzenie środowisk studenckich po śmierci Stanisława Pyjasa. Manifestacje, wiece, liczne ulotki i klepsydry na uczelniach, a przede wszystkim powstanie pierwszego Studenckiego Komitetu Solidarności i zapowiedź powołania kolejnych postawiły władze w stan najwyższej gotowości. Podobnie jak w innych tego typu przypadkach, czołową rolę w kontrakcji odegrać miała Służba Bezpieczeństwa.

Podstawowym celem SB było ograniczenie liczby powstających SKS, objęcie ich kontrolą operacyjną, a przede wszystkim niedopuszczenie do powstania centralnej struktury kierowniczej ruchu studenckiego. Zadania te realizowano w ramach licznych lokalnych spraw operacyjnych. Potrzeba ich koordynowania oraz chęć organizowania ogólnopolskich akcji spowodowały, że od września 1977 r. prowadzono także centralną sprawę operacyjną o kryptonimie „Wasale”.

W prezentowanym tomie przedstawiony został, w krytycznym opracowaniu, wybór materiałów źródłowych z zachowanych sześciu tomów akt sprawy „Wasale”. Opublikowano 120 dokumentów, obrazujących różnorodne aspekty działań SB. Są to zarówno meldunki, plany pracy operacyjnej, analizy, jak i doniesienia agenturalne. Dokumenty przypominają nazwiska setek osób zaangażowanych w studencką opozycję tamtych lat. W miarę możliwości opatrzone je notkami biograficznymi.

Atrakcyjnym uzupełnieniem publikowanych źródeł jest aneks, zawierający liczne zdjęcia osób związanych z SKS. Pochodzą one z materiałów operacyjnych SB. Aczkolwiek ich zbiór daleki jest o reprezentatywności, z pewnością wielu osobom przypomni nie tylko twarze dawnych kolegów, lecz także atmosferę tamtych, mimo wszystko niezapomnianych dni.



bunt w imperium

Studencki Komitet Soliderności

